JAN LORENTOWICZ

POLSKA PIEŚŃ MIŁOSNA

POLSKA
PIEŚŃ MIŁOSNA

POLSKA PIEŚŃ MIŁOSNA

ANTOLOGIA

WYBRAŁ I WSTĘPEM OPATRZYŁ

JAN LORENTOWICZ

WYDANIE DRUGIE, ZMIENIONE

KRAKÓW — WARSZAWA — POZNAŃ
NAKŁADEM J. CZERNECKIEGO I F. GUTOWSKIEGO

CZCIONKAMI DRUKARNI L. KAPELI W POZNANIU

SŁOWO WSTĘPNE.

Pieśń miłosna rozbrzmiewa w poezyi polskiej melodyą bogatą i różnorodną. Bywały epoki, gdy wyrażała w sobie zasadniczy ton całej liryki. Najbliższa twórcy w jego młodości, stanowi to nieskazitelne świadectwo jego istoty, które najmniej ulega fałszom chwili, więc najwymowniej odsłania tajnię charakterów, nastrojów i smaku.

Liryka miłosna zjawia się w Polsce odrazu w kształtach doskonałych, bo ją wnosi do piśmiennictwa bujna kultura humanistyczna. O tem, jak brzmiała poprzednio w duszach prostych, wiemy niewiele. Olbrzymie zasoby pieśni ludowych są dowodem, iż geniusz rasy wypowiadał się w nich zawsze bardzo dobitnie. Miłosna piosenka ludu krąży zazwyczaj około realnych objawów życia. Wylicza różne troski niewieście, ostrzega, poucza, przypomina. Najwięcej skarg i żalów, najwięcej barwy i melodyi zawiera wówczas, gdy opłakuje utratę wianka, roztaczając całą skalę uczuć, od lekkiej wymówki do lekceważenia, wzgardy i przekleństwa. Czasem opowiada o prostym targu pieniężnym albo o posłuszeństwie woli rodziców;

często opiewa boleść rozstania się; chwilami szydzi i drwi, a niekiedy wpada w żałosny ton dumy lub ballady, głoszącej dzieje związku występnego. Niestety, cała ta ustna, anonimowa poezya nie może nam nic pewnego wyjawić ani o chwili swych narodzin, ani o swych kolejnych nawarstwieniach.

W literaturze polskiej rozwój poezyi miłosnej miał kilka faz, które dość łatwo wyodrębnić. Przez trzysta z górą lat panowały tu naśladownictwa wzorów obcych. Oto najpierw wpływy włoskie, trwające przez wiek szesnasty i siedemnasty. Zrazu uczucie poetów szuka kształtów dosłownie klasycznych, bo wypowiada się w łacinie. Tak śpiewa swym kochankom, Izabelli hiszpańskiej i Grinei niemieckiej Jan Dantyszek, tak również wysławia swe miłośnice padewskie i tajemniczą Lydyę — Jan Kochanowski w swych pięknych »Elegiach«. Łacińskim pieśniom Kochanowskiego stawiano częste zarzuty, że posiadają zbyt mało wyrazu indywidualnego, że są, jak u wszystkich poetów łacińskich tego czasu, konwencyonalne, przeładowane cudzemi metaforami, pełne pożyczek od pisarzów staro-rzymskich. A przecież, pomimo słuszności tych uwag, nie brak w »Elegiach« miejsc silnych, świadczących o niekłamanym żalu i szczerej goryczy. Bywają w nich inwektywy tak śmiałe, że nie chciał ich tłómaczyć skromny Brodziński. Wielka to jednak strata dla literatury, że Kocha-

nowski właśnie w pierwszych latach młodości, kiedy kochał bez zastrzeżeń, nie poczuł jeszcze natchnienia do tworzenia pieśni miłosnych po polsku. Stanie się to dopiero po powrocie do Polski: otrzymamy znaczny poczet cokolwiek chłodnych i rozważnych, ale ślicznych, pierwszych naszych pieśni miłosnych, obejmujących szeroką skalę uczuć, od cichej tęsknoty do swawolnej fraszki. W skali tej braknie może żaru bezpośredniego uczucia, ale to już wynikało raczej z wymagań epoki. I tak pieśni Kochanowskiego były dość odważną nowością, z którą nie umiano oswoić się przez długi czas. Echa tego stosunku niektórych ludzi współczesnych do liryki erotycznej Kochanowskiego znajdujemy jeszcze u Wacława Potockiego, który wieszczowi z Czarnolasu taką poświęca fraszkę:

Jana Kochanowskiego, choć dobre i krzeczne
Fraszki, ktoś cenzorując, twierdzi, że wszeteczne,
Że tylko o miłości; choćby i tak, panie,
Nie wiecież, że to jedno miłość a kochanie?
Przezwisko temu winno, bo się tymże woskiem
Pieczętuje Miłkowski w Polszcze z Kochanowskim.

Już za czasów Kochanowskiego pieśń miłosna zyskuje snać szerokie prawa w społeczeństwie, skoro w wieku następnym Opaliński oburza się, że już małe dziewczątka śpiewają o urodnych młodzieńcach. Poeci tworzą, zapatrzeni we wzory Owidyusza, Tybulla, Propercyusza, a przede-

wszystkiem wsłuchani w rytm pieśni Petrarki, Tassa, Guarina, Aryosta oraz Marina i »koncettystów« włoskich. W pięknych rymach odezwie się Mikołaj Sęp Szarzyński, pierwszy sonecista polski, a obok niego i po nim prześcigać się będą w twórczości miłosnej: Daniel Naborowski, Szlichtyng, Gawiński, a zwłaszcza świetny cyzelator słowa polskiego, Andrzej Morsztyn. Miłość »dworska« staje się obowiązującą formą wylewu uczuć. Morsztyn poznaje sztukę poetyckiego kochania u najpierwszych mistrzów w Europie. Zna wszystkie miłosne metafory, porównania, fortele; zna przepisy dla oczu, uśmiechu, chodu, stroju; wie, kiedy wolno się śmiać, a kiedy należy m e l a n k o l i ą się okrywać. Zmysłowy w każdym calu, zapewnia, że i »wiersz niedobry, kiedy nie swywolny«. Chociaż pożycza całemi garściami z Marina, przewyższa zazwyczaj wzory oryginalne, zarówno w doborze słów, jak w konstrukcyi i rytmice wiersza. Poezye jego należą do najwytworniejszych kwiatów dawnej liryki polskiej. Z pod panujących wpływów wydobywa się szczęśliwie Szymon Zimorowicz, tworząc w niektórych swych sielankach arcydzieła tkliwości i prostoty uczuciowej.

Epoka pełna była obłudy i władzy jezuickiej, to też najlepsze pieśni siedemnastego wieku spoczywać musiały przez dwieście lat w manuskryptach. Tak się stało z A. Morsztynem, toż samo

spotkało, między innemi »Wirydarz poetycki«, ową skarbnicę liryki miłosnej XVII wieku, »z różnych poetów wiadomych i niewiadomych, wielką i kilkunastu lat pilną pracą wystawioną i skończoną roku Pańskiego 1675« przez Jakóba Teodora Trembeckiego a wydaną dopiero w r. 1910 przez A. Brücknera. Publiczność łaknęła zbiorów samych pieśni miłosnych, więc zjawiały się w siedemnastym wieku pierwsze nasze antologie tych utworów, często drukowane i przedrukowywane pod dość malowniczymi tytułami: »Dama dla uciechy młodzieńcom y pannom, w którey się zamykaią pieśni, tańce y padwany rozmaite, teraz nowo wydane«; »Pieśni y tańce zabawam uczciwym gwoli« (1614); »Światowa rozkosz z ochmistrzem swoim i dwunastu służebnych panien swoich« (nowowydrukowane 1630); wreszcie »Pieśni, tańce y padwany kwoli zabawam uczciwym szlachetnej młodzi, teraz nowo wydane a bardzo ucieszne«. Wydawnictwa te dostawały się na indeksy książek zakazanych, chociaż więc były bardzo popularne i często przedrukowywane, należą dziś do białych kruków, zachowanych w unikatowych egzemplarzach. Trzy takie drobne antologie miłosne anonimowych autorów XVII w. wydał w r. 1903 prof. T. Wierzbowski. Obok naśladownictw literackich są w nich widome pokrewieństwa z motywami ludowymi.

Najbardziej swojską formą będzie fraszka, utrwalona przez pierwszego jej mistrza. Celuje w niej później W. Kochowski, a gdy Gawiński pragnie ją przekształcić na nieco delikatniejszą »dworzankę«, otrzymuje napomnienie w takim epigramacie:

I ty Janie za Janem pięknie szedłeś w szranki,
Polskim rymem wydawszy za fraszki dworzanki.
Alec widzę dworzanki twe cerę zmieniły,
Gdy od pióra do Krety ciebie przeciągnęły [1]).

Wyobrazicielem rodzimego na miłość poglądu jest w tych czasach Wacław Potocki w swym nieocenionym »Ogrodzie fraszek«. Kobietę traktuje on jeszcze w sposób zgoła średniowieczny: jest to dla niego dziecko, z którem należy postępować odpowiednio, to znaczy uczynić je zależnem wyłącznie od woli rodziców w sprawach »serca«. Wychowany w aryańswie, Potocki jest wrogiem zmysłów. Kobieta jest, podług niego, tylko kandydatką na żonę, która winna mieć takie zalety: równość stanu z mężem, równość wieku i równość majątku. Z miłości Potocki drwi lub maluje ją w żartach grubych, pozbawionych nawet zmysłowości.

Krótka przerwa w wieku osiemnastym ustala wpływy francuskie. Na długi szereg lat władzę w poezyi miłosnej zyskują pasterki rokokowe.

---

[1]) W. Kochowski.

Usunięto dawne Kachny, Jagi, Zosie i Marynie Kochanowskich i Morsztynów, a kochanki występują w maskach sztucznych Doryd, Palmir, Rozyn, Laur, Lindor i Klorynd, którym towarzyszą w słodkich dyalogach różne: Korydony, Akasty, Medony, Dorysy i Filony. Najpospolitszym kształtem liryki erotycznej staje się sielanka, ale sielanka również zamaskowana: pod osłoną arkadyjko-pasterskiej prostoty ukrywa się wyrafinowana zmysłowość i lubieżność. Strojne, w atłasy ubrane damy chodzą środ »słodkich« wieczorów pod »umówione jawory«, noszą na schadzkę koszyki z malinami i, śród konwencyonalnego krajobrazu, toczą z kochankami te same, zawsze »czułe« rozmowy, podniecają ich zapachem perfum, słuchają ich nieskończonych, płaczliwych żalów i skarg. Po parkach wielkopańskich budują się »świątynie dumań«, w których kwili nieustannie rozłzawiona pozornie miłość.

We Francyi, od czasów La Chaussée, a zwłaszcza Diderota i Rousseau, dawne świadome i rezonujące typy literackie zamieniły się na sentymentalne, melancholijne, eutuzyastyczne. U nas wpływy francuskie rozszczepiły się na dwa prądy: jedni poeci traktowali pasterską sielankę na zimno, biorąc z niej tylko wyrafinowaną zmysłowość (Trembecki, Węgierski), lub podnietę do uśmiechu satyrycznego (Bohomolec); inni — i ci właśnie zyskali największą popularność — wprowadzili do

pasterstwa Filonów i Klorynd płaczliwy sentymentalizm. Wyrazy »tkliwy« i »czuły« powtarzane są nieustannie. Kniaźnin, bardzo rytmiczny w swych monotonnych »odach«, nie umie nawet swej głębokiej, obłędem zakończonej miłości dla Maryi Czartoryskiej, wyrazić szczerze; odziewa ją w kształty mdłej rzewności i łzawości. Karpiński, pasowany na wieszcza narodowego »poeta serca«, głośny na cały kraj »śpiewak Justyny«, opiewa w swej wsi urojonej tkliwe uczucia pasterek, płaczących przy najdrobniejszej okazyi. Te sztuczne omdlenia i żale brano za wzór prostoty. »Laura i Filon« przez całe dziesiątki lat krążą po dworach wiejskich i zachwycają jeszcze Mickiewicza.

Nadchodzi wreszcie epoka zupełnej prawdy uczuciowej. Czekaliśmy na nią przez całe trzy wieki. Po jałowych w liryce, chociaż niedocenionych czasach pseudoklasycyzmu, zjawiają się sonety i pieśni Mickiewicza, pełne szczerości i wyrazu, a po nich kolosalny »manifest uczucia« w »Dziadach«. Utwory te odrywają na zawsze miłosną pieśń polską od sztuczności i stają się rzeczywistą szkołą uczucia. Słowacki w przepysznej formie spowiada się ze swych afektów i daje narodowi arcydzieła liryki w »W Szwajcaryi«, w »Beniowskim«, w drobnych pieśniach. Krasińskiemu do każdego słowa miłości miesza się bolesna myśl, ale przynosi on głębokie, nieznane dotychczas akcenty.

Romantyzm wyzwala miłość z konwencyonalizmu, pomimo jednak wielu prób oddzielnych, ustala na długie lata w poezyi polskiej ideał wzniosłego jedynie uczucia, który nazwano żartobliwie »celibatem literackim«. Całe zastępy liryków tworzą w myśl tradycyi romantycznej. Asnyk wnosi w pieśń miłosną nutę smętnej, melancholijnej ironii; Konopnicka w »Romansie miłosnym«, naśladuje Słowackiego, a jednocześnie w sławnym wierszu: »Czy wiesz ty piękna i ty uśmiechniona« wykłada retorycznie, na wzór Gabryeli, »co znaczy kocham, to najświętsze słowo«. Tworzy się bogata, nowa liryka, w której podziwiamy już to przedziwny kunszt Miriama, już to głębię nastrojów Kasprowicza, już to skomplikowaną różnorodność motywów Langego, już to szczerość Tetmajera, który wraca w treści do tradycyi wieku siedemnastego, ale ma własną, pełną prostoty formę, gdy opiewa miłość codzienną, zmysłową.

Świeża fala naszej najmłodszej poezyi przynosi nie tylko pełnię motywów, ale zupełną bezpośredniość wyrazu i ogromną rozmaitość rytmiki. Wracają kształty dawne, zapomniane i wyszukane; powstają kształty nowe, pełne niespodzianek; liryk opowiada z całą swobodą głód ciała i skargi duszy, wyczerpuje wszystkie tony i akcenty.

Zestawienie typów tej całej naszej poezyi miłosnej w porządku chronologicznym daje nie

tylko wzory najtrwalszego piękna, ale przynosi żywe, barwne, wymowne świadectwo rozwoju kultury uczuć polskich w ciągu czterech wieków.

JAN LORENTOWICZ.

HYMNY DO MIŁOŚCI.

JAN KOCHANOWSKI.

DO MIŁOŚCI.

Matko skrzydlatych miłości,
Szafarko trosk i radości:
Wsiądź na swój wóz uzłocony,
Białym łabęciom zwierzony.
Puść się z nieba w snadnym biegu,
A staw się na Wiślnym brzegu,
Gdzie ku twej czci ołtarz nowy
Stawię swą ręką darnowy.
Nie dam ci krwawej ofiary:
Bo co mają srogie dary
U boginiej dobrotliwej
Czynić, i światu życzliwej?
Ale dam kadzidło wonne,
Które nam kraje postronne
Posyłają, dam i śliczne
Zioła w swych barwach rozliczne.
Masz fijołki, masz lelliją,
Masz majeran, i szałwiją.
Masz wdzięczny swój kwiat różany,
To biały, a to rumiany.
Tem cię błagam, o królowa
Bogatego Cypru! owa [1])

---

[1]) azali.

Abo rózne serca zgodzisz,
Abo i mnie wyswobodzisz?
Abo raczej nas oboje
Wzow[1]) pod złote jarzmo swoje,
W którem niechaj ci służywa[2]),
Póki ja, i ona żywa.
Przyzwól, o matko miłości,
Szafarko trosk i radości:
Tak po świecie niechaj wszędzie
Twoja władza wieczna będzie.

1) wezwij, weź,
2) służy.

KAZIMIERZ TETMAJER.

HYMN DO MIŁOŚCI

Tyś jest najwyższą z sił, wszystko ulega tobie,
miłości.
Życie jest żądzą, a tyś z żądz największą,
prócz samej żądzy życia; duszą duszy
i sercem serca życia tyś jest,
miłości.

Jeśli najwyższem szczęściem zapomnienie,
bezwiedza i niepamięć własnego istnienia:
toś ty jest szczęściem szczęścia, ty, co dajesz
omdlenie duszy i omdlenie zmysłom
i myśli kładziesz kres upajający,
miłości.

Jeśli złudzenia są jedynem dobrem:
toś ty największem dobrem, najsilniejsze
ze wszystkich złudzeń, ty, moc mocy,
pierwotna, dzika, nieznająca kiełzań,
święta potęgo,
miłości.

Jeśli pragnienia są jedyną ową
poręczą, która chroni
od upadnięcia w przepaść rozpaczy i wstrętu;

Jeśli są jedynym
mostem, po którym można iść nad odmęt nudy;
jeśli jedynem są lekarstwem, które
broni od cierpień zwątpienia i zbrzydzeń,
pogardy świata i od samowzgardy:
to ty, o matko pragnień, jesteś ową
poręczą, mostem i lekarstwem, jesteś
zbawczynią ludzi,
miłości.

Czas idzie i zmieniają się wiary,
bóstwa w proch upadają jedne po drugich,
dziś czczone, jutro deptane,
przechodzą przed oczyma ludzkości,
by więcej nie powrócić:
ty trwasz wieczysta, jak strach, głód i zawiść,
pierwotna, tak jak one,
jak one tryumfalna,
nad wszystko wyniesiona, niepokonana
niczem i nigdy, tak, jak one,
pierwotna, dzika potęgo,
miłości.

Wdzięku piękności natury,
kędyś jest wobec wdzięku i piękna miłości?
jesteś, jak rama
do obrazu, jak otęcz promieni
skrzącemu kręgowi słońca.
Kędyś jest, liściu róży,
wobec ust ukochanej?

Kędyś szafirze niebios, morza błękicie
wobec ócz ukochanej?

Kędyś szumie jaworów i śpiewie ptaków
w wiosenne rano,
wobec głosu ukochanej?
Kędyś ciszo grot pośród paproci,
pod gęstemi zaplotami bluszczów,
wobec milczenia ukochanej?
Kędyś jest śniegu, różowiony blado
od blasku słońca,
wobec koloru ciała ukochanej?
Kędyście linie cudowne
gór i skał, kędy łuk tęczy świetlisty,
kędy przepysznych wodospadów wstęgi,
smukłe narcyzy, palmy wybujałe,
kędy obłoki lotne i powiewne,
wobec kształtów ciała ukochanej?
Kędyś mchu miękki, liściu aksamitny,
wobec jej piersi dotknięcia i dłoni?
Kędyś marmurze gładki, grzany słońcem,
wobec jej białych bioder, spływających
cudowną linią
w odurzający wzrok, dech wstrzymujący
kształt, który rękę przykuwa do siebie?
Kędyś jest czarze nocy księżycowej,
czarze poranku, kiedy słońce wschodzi
z za gór dalekich;
uroku jezior, co się nagle jawią
pośród skał, senne,
i tej zieleni złocistej, ze szczytów
widzianej w dali,
wobec czaru ukochanej?
Kędyś jest melancholio wieczorów jesiennych
wobec jej smutku?

Kędyś wesele letniego południa
przy jej radości?
Kędy o sławie sny, sny o potędze,
zwycięztwach dumy, odpłaceniu krzywdy,
o nieznoszeniu niesprawiedliwości,
wobec snów o ukochanej?
Kędyś pragnienie posiadania złota
przy posiadania jej ciała pragnieniu?
Kędyś jest żądzo poznania wszystkiego,
co jest poznanem, albo niem być może,
wobec pragnienia poznania wskróś duszy
ukochanej kobiety?
Tak, tyś najwyższą z sił, tyś życiem życia,
miłości.
Najsłodszą rozkosz i najsroższą boleść
ty sprawiasz; tyś jest tak, jak śmierć, królową
wszechistnień ziemskich, pierwotna potęgo,
miłości.

ANTOLOGIA
POLSKIEJ POEZJI MIŁOSNEJ

ANONIM Z XV WIEKU[1])

LIST.

W jedności, stałości serca mego
Żadnemu nie objawiam tego,
Jedno tobie, namilejsza!
Moje pocieszenie,
A przytem pozdrowienie
I pokłonienie,
Bo tego jest w obyczajach wiele,
I po wtóry kroć pozdrowienie
I pokłonienie
Na obiedwie kolanie,
Aż do samej ziemie.
Przytem, namilsza, nawiedzam zdrowie twoje,
A tobie też opowiedam swoje.
Toć na mię wie Pan Bóg z wysokości,
Iż ja ciebie miłuję z serdecznej miłości,
Tak, iż też o tobie nie mogę przestać myślić
we dnie i w nocy,
Dobrze, że ze mnie zdrowie nie wyleci.
Toć bych ja ciebie nic nie żałował,
Bych się jedno z tobą, moja namilsza,
nagadał
I do wolej namiełował...

---

[1]) Według odpisu prof. Ignacego Chrzanowskiego.

O Boże wszechmogący, który panujesz
stworzeniu swemu.
Oddal dziś smutek, który panuje sercu memu,
Boć muszę na każdę godzinę wzdychać
A ciebie, miłą, zawsze wspominać.

By się wszyscy doktorowie argowali, [1]
Jeszczeby mojego smutku nie wypisali,
Bo tak me serce jest wielmi [2] zranione.
By były wsyćki maści zebrane,
Apteki przyrównane,
Nie mogłyby mieć pomocy,
Kromia [3] bożej mocy.
Jedno ty, przyjacielu namilszy,
Ty jeś też ze wszech nawdzięczniejszy,
Ty pocieszysz, ty ochłodzisz,
Ty uzdrowić raczysz!

Aby [4] sie też wsyćcy ptacy zlecieli,
Tedyby się takowej miłości dziwowali.

A jeszcze, moja namilejsza,
Przez ten list niniejszy pytam,
Powiedz mi co wesołego
Dla pocieszenia serca mego...

A zatem cię poruczę Onemu,
Co służy wszytek świat Jemu,
I po wtóry kroć poruczam ja Panu Bogu,
Który wstał trzeciego dnia z grobu.

---

1) dowodzili, rozwodzili się.
2) bardzo.
3) oprócz.
4) gdyby, choćby.

Imienia, miła, swego,
Nie wypisuję dla podejrzenia ludzkiego,
Bo dziś, co młodzi ludzie baczą,
Na to i wrony kraczą...

A jeślim ja tobie mił,
Chcę, aby ten list na cię zawżdy patrzył,
A póki się nie zedrą słowa listu tego,
Póty ty, ma namilsza, nie wynidziesz
ze serca mego. Amen

JAN KOCHANOWSKI
(1530—1584).

SŁODKIE WIĘZY MIŁOŚCI.

Srogie łańcuchy na swem sercu czuję,
Lecz to szczęściem szacuję,
Żem jest tak pięknem sidłem ułowiony;
Wesoło żywię w trosce położony.
A w tem swojem wzdychaniu
Mam rozkosz przeciw ludzkiemu mniemaniu.
Oczy dziwnej piękności,
W których się wszystkie najdują wdzięczności!
Dzień to błogosławiony,
Kiedym ja waszem sidłem upleciony.

PIEŚŃ ŚWIĘTOJAŃSKA O SOBÓTCE.

Skrzypku, by w tej pięknej rocie,
Usłyszeć co o Dorocie,
Weźmi gęśle, jakoć miła,
A zagraj, nie myśląc siła.

Nieprzepłacona Doroto:
Co między pieniędzmi złoto,
Co miesiąc między gwiazdami,
Toś ty jest między dziewkami.

Twoja kosa rozczosana,
Jako brzoza przyodziana;
Twarz, jako kwiatki mieszane,
Leliowe i różane.

Nos, jako sznur upleciony,
Czoło, jak marmor gładzony,
Brwi wyniosłe i czarnawe,
A oczy dwa węgla prawe [1]).

Usta twoje koralowe,
A zęby szczere perłowe;
Szyja pełna, okazała,
Piersi jawne [2]), ręka biała.

Serce mi zakwitnie prawie
Przy twej przyjemnej rozprawie;
A kiedy cię pocałuję,
Trzy dni w gębie cukier czuję.

W tańcuś jak jedna bogini,
A co cię skutniejszą [3]) czyni:
Nie masz w tobie ni hardości,
Co więc rzadko przy gładkości.

Tymeś ludziom wszystkim miła,
I mnieś wiecznie zniewoliła;
Przeto cię mę głośne stróny
Będą sławić na wsze stróny.

---

1) węgle prawdziwe.
2) wydatne.
3) przyjemniejszą.

TY ŚPISZ, A JA SAM NA DWORZE...

Ty śpisz, a ja sam na dworze,
Jeszcze od wieczornej zorze,
Cierpię nocne niepogody,
Użałuj się mojej szkody.

Słuchaj, jako bije w ściany
Z gwałtownym dżdżem grad zmieszany:
Ocknij się a przemów słowo,
Nieużyta białagłowo.

Nie na żadną kradzież godzę,
Chocia tak po nocy chodzę:
Wziąłbych przed się, by co dano,
Łupiestwo czartu porwano.

Nigdziej miejsca mniej hardości
Nie najdziesz, jako w miłości.
Gładkość wprawdzie sługi daje,
Ale dzierżą obyczaje.

Słuchasz? czy mój głos nie może
Dolecieć na twoje łoże?
Słuchajcie wy nocne cienie,
I nieumowne kamienie.

Do Amphionowej lutnie,
Spieszyły się lasy chutnie,
A niezwyczajne opoki,
Ścisnęły się w mur szeroki.

Orpheowych strón słuchały
Srogie jędze, i płakały,

Gdy miłością utrapiony
I pod ziemią szukał żony.

Jego pieśni żałościwe
Zjęły bogi nieżyczliwe.
I miał w ręku, co miłował,
By był nędznik lepiej chował.

Ale nie strzymał umowy,
Więc przyszedł o smutek nowy:
Bo źle się obejrzał, ali
Czarci panią zaś porwali.

Czekać już, nieboże, było,
Ale gdy co komu miło,
Trudno wytrwać i czas mały:
Godzina tam, jak rok cały.

A ja długo mam bić w strony?
Już u mnichów słyszę dzwony:
Dziwnośmy sie pomieszali,
Jam nie spał, a ci już wstali.

Dobra noc, jeśli kto słyszy.
A mój wieniec w tej złej ciszy,
Niechaj wisi do świtania,
Świadek mego niewyspania.

PRÓŻNA TWA CHLUBA...

Próżna twa chluba, nie kochaj się w sobie,
Nie wszytkoć prawda, com pisał o tobie.

Miłość mnie zwiodła, i przez mię mówiła,
Że nad cię nigdy wdzięczniejsza nie była!

Jako lelija różą przeplatana,
Zdała mi się twarz twoja malowana;
Oczy twe, jako gwiazdy się błyskały;
Piersi twe śniegu sromotę działały.

Gniewliweś morze śmiechem uśmierzała,
Kamienneś serce słowy przenikała.
Teraz w mych oczach wszytko sie zmieniło,
Obłudne serce wszytko pokaziło.

I twa niewdzięczność, którą pokazujesz
Tam, gdzie powolność i chuć prawą czujesz,
Czego mi tedy stateczne namowy,
Nie mogły wybić żadną miarą z głowy.

Czegom zbyć nie mógł, przez zioła, przez czary,
To sam dziś wyznam na się z prawej wiary
Żem był zabłądził w swej niemądrej sprawie,
A byłcić, jeśli komu, jak żyw prawie.

Ale żeś tego wdzięczna być nie chciała,
Dalej nie będziesz ze mnie sługę miała.
To, com ci służył, niech już w niwecz idzie,
Bo jednak ten czas kiedyśkolwiek przyjdzie,

Że ty, wspomniawszy na me powolności,
Musisz zapłakać nieraz od żałości.
A ja-bych jeno o tobie nie wiedział,
I w pustych lesiech sam rad będę siedział.

Z FRASZEK.

NA NIESŁOWĄ.

Miałem nadzieje, że mi zyścić miano,
Tak jako było z chucią obiecano;
Ale co komu rzecze białogłowa,
Pisz jej na wietrze i na wodzie słowa.

DO ANNY.

Wczora, czekając na twe obietnice,
I zabawiając niejako tęsknice,
Napisałem ci krom rozmysłu wszego,
Ten rym niegładki, skądbyś serca mego
Frasunek poznała, i myśl utrapioną,
Anno, twojemi słowy zawiedzioną:
Bom ustawicznie rachował godziny,
A szukał twego mieszkania[1]) przyczyny.
Chciałemli czytać, tom nic nie rozumiał,
Chciałemli zagrać, tom począć nie umiał.
Nakoniec wziąwszy we mdłą rękę piórko,
Pisałem: ojca prawdziwego córko,
Nieprawie słowna: a wtem mię sen zmorzył,
Gniew uspokoił, nadzieję umorzył.

---

[1]) opóźnienia.

MIKOŁAJ SĘP SZARZYNSKI
(1555—1581)

DO KASI.

Im pilniej na twe oblicze nadobne
Patrzę i na oczy twe gwiazdom podobne,
Tem mię srodzej palą płomienie miłości!
Dla Boga, daj ratunek: ginę w tej ciężkości!

O wdzięczne stworzenie, pani urodziwa,
Bacz to, że dla ciebie serce me omdlewa,
Cierpiąc niewymowny żal i dolegliwości;
Dla Boga, daj ratunek: ginę w tej ciężkości!

Ustawne wzdychanie, słowa niezmyślone
I smętnemi łzami lice pokropione
Niechaj cię przywiodą do słusznej litości.
Dla Boga, daj ratunek: ginę w tej ciężkości!

Co za zysk stąd weźmiesz, że zginę dla ciebie,
Który cię miłuję bardziej, niż sam siebie,
I twojej się wdzięcznej dziwuję piękności?
Dla Boga, daj ratunek: ginę w tej ciężkości!

Żywot, szczęście i śmierć i nieszczęście moje
Dzierży w swojej władzy możne serce twoje:
Co ty będziesz chciała, to się ze mną stanie.
Dla Boga, daj ratunek, me wdzięczne kochanie!

DANIEL NABOROWSKI
(ur. 1573)

O NECIE.

Miałem tę dobrą wolę zalecać się Necie,
Ale mię ona chciała musnąć po kalecie.
Dawna powieść płaci:
Droga rzecz smak traci.

Jużem pisał i rymy o gładkości Nety,
Ale ona wolała pieniądze z kalety.
Dawna powieść płaci:
Droga rzecz smak traci.

Całowałem to w usta, to w czoło swą Netę,
Alem zawsze miał pilne oko na kaletę.
Dawna powieść płaci:
Droga rzecz smak traci.

Prosiłem, by łaskawą słudze swemu była,
Ale bardziej o mojej kalecie myśliła.
Dawna powieść płaci:
Droga rzecz smak traci

Jednęm rękę w zanadrzu trzymał u swej Nety,
A drugą zawsze miewał przecie u kalety.
Dawna powieść płaci:
Droga rzecz smak traci.

Owo zgoła, jeśli chcę ujść z całą kaletą,
Przyjdzie mi, nie kosztując, pożegnać się z Netą.
Dawna powieść płaci:
Droga rzecz smak traci.

JÓZEF BARTŁOMIEJ ZIMOROWICZ
(1597—1682)

KOMU KWIATECZKI...

Komu kwiateczki me kwitniecie?
Komu zapachy gotujecie?
Kto waszym zechce być strażnikiem?
Kto waszym będzie ogrodnikiem,
Ponieważ przyjaciel mój serdeczny
Odchodzi ode mnie w on kraj wieczny?
Ehej róże śliczne, o róże!
A któż mi was zrywać pomoże?
O lilje, młode lilije!
Któż mi z was wianek uwije,
Kiedy największe moje kochanie
Ze mną się ostatecznie rozstanie?
Ach, fiołeczki me rumiane!
Dla kogo będziecie zerwane?
Oj wianeczku, luby wianeczku!
Komuż cię daruję w taneczku,
Gdy się odemnie spieszno wybiera
I gdy mój najmilszy umiera?
Rozmarynie, hej rozmarynie!
Już przyjemny zapach twój zginie.
Nietylko rozmaryn sam, zgoła
Wszystkie wonne zniszczeją zioła —
Oto kwiatek żywy z niemałym
Uwiądł świata wszystkiego żalem.

JERZY SZLICHTYNG
(WIEK XVII)

PIEŚŃ.

O cożeś się, pani matko, na mnie rozgniewała?
Żem się swego najmilszego rozmiłowała?
A jakoż to nie miłować, gdy to umie zasługować
Krasny pachołek?

Czyś mniemała, żebym miała w wiecznej niewoli
Mieszkać z tobą, głód z chudobą, ciężko to boli.
Karałaś mnie bez przyczyny, teraz mi się trafił inny
Smaczny opiekun.

Opuść, matko, wszakeś gładko chodzić kazała,
I mnieć było skusić miło rozkoszy ciała.
Toć mnie było co i tobie, miałam i ja iskry [w sobie
Cielesnej żądze.

Daj[1]) wściekli, co wyrzekli, żem sławy zbyła.
Łgą i plotą, bym niecnotą ja kiedy była.
Zgrzeszyłam, żem z nim spała, bodajżem się roz- [stękała
Na dziecko małe.

W tę godzinę niechaj zginę, jeśli żałuję,
Żem doznała, czegom chciała, aż mu dziękuję,
Że mnie był namówił na to, a ja mu syneczka [zato
Wrychle powiję.

Ani wierzę, by w tej mierze wstyd miał być jaki,
To sromota, gdy ma cnota szwank ladajaki.

---

[1]) Daj się wściekli, ci co rzekli.

Lecz to sam Bóg w raju kazał, aby człek ludzkie
Na świecie plemię. [rozmnażał

Na to godzi, kto się rodzi, by zażył świata,
W zeszłym wieku, zysk człowieku są młode lata.
Gdy bez pociechy upłyną, wszystkie nam korzyści
Grunt ci przyjaciel. [giną.

Każdej radzę a nie zdradzę, niech się nie droży:
Kto całuje i miłuje, ten nasz a Boży.
Bądźcież powolne dzieweczki i miłujcie parobeczki.
Wasze to żniwo było jak żywo.

SAMUEL TWARDOWSKI
(ur. około 1600, zm. 1660).

PIEŚŃ NA POŻEGNANIU PIERWSZE[1])

Niech serce moje swój żal opowie,
Jaką ma krzywdę od was, bogowie.
  Czuję, że smutne opiewa treny,
  Czuję płaczliwe wewnątrz kameny.

Aza nie krzywda? ledwo ujrzałem
Wdzięczną perełkę, z którą mniemałem,
  Żem swej miał dłużej użyć pieszczoty,
  I dłużej patrzeć na jej przymioty,

A wyście z ręku — czyście zajrzeli? —
Drogie kochanie moje wyjęli.
  Precz ma pociecha, gdy od twej twarzy
  Odjeżdżam, w której róża się żarzy;

Precz ma pociecha, kiedy me oczy
Po twej pogodzie zażyją nocy.
  Sam nie wiem, kiedy twarz twą obaczę,
  A nieraz w żalu serce zapłacze.

PIEŚŃ NA POŻEGNANIU DRUGA.

Okrutne niebo, czem mię kochany
Od oczu mojej oddałasz panny?
  Com ta zawinił i ona tobie,
  Gdyśmy się wzajem kochali w sobie?

---

[1]) Dwie pieśni dodane do poematu „Daphnis w drzewo bobkowe przemieniła się“ (1638).

Tobą, Dyanno, któraś ślubiła,
Byś zawsze w świętej czystości żyła —
Świadczę, żem kochał tę, która twoje
Niebieskiej cnoty lubiła zdroje.

I teraz kocham, lubo zajrzało
Niebo, gdy się nam rozstać kazało.
Wstawaćli słońce lub spadać będzie,
Ty przecie ze mną przytomna wszędzie.

Oto cię proszę, racz moje chęci,
Nie w wywietrzałej chować pamięci.
Nie bądź tyranką, pamiętaj tego,
Który cię kocha, kochajże jego.

Wszakem nie zdradził— i owszem cnota,
Ta mi do ciebie skazała wrota,
Którą kochając, kochałem ciebie,
I sam w niewolę podałem siebie.

Niech, kto chce, bije ku cnocie w czoło,
Patrzać na wieki będzie wesoło.

SZYMON ZIMOROWICZ
(1604—1629).

ROXOLANKI.

CICERINA.

Widziałam cię z okieneczka, kiedyś przechodził,
Rozumiałam, żeś się ze mną obaczyć godził.
Aleś ty pokoje
I mieszkanie moje
Prędkim minął skokiem,
A na mię nędznicę,
Twoją niewolnicę,
Aniś rzucił okiem.

Żal mię przejął niesłychany, gdym to ujrzała.
Bóg strzegł, martwą zaraz w oknie żem nie została,
Lecz to niebaczeniu
Abo też niechceniu
Twemu przyczytałam;
A wieczornej chwile,
Tusząc sobie mile,
Tylko wyglądałam.

Przyszedł wieczór, mrok mię nocny w okienku zastał;
Trwałam przecie, dokąd księżyc pełny nie nastał.
A ciebie nie było,
Ani cię zoczyło
Oko moje smutne.
Aniś listkiem cisnął,
Aniś słówka pisnął,
O serce okrutne!

Kędy teraz twe usługi, kędy ukłony?
Kędy lutni słodkobrzmiącej głos upieszczony?
Który bez przestanku,
Z zmierzchem do poranku
Słyszećeś mi dawał?
Przy nim winszowania
I ciche wzdychania
Lekuchnoś podawał.

Niemasz teraz dawnych zabaw, nie słychać pienia,
Pełne serce tęsknic, uszy pełne milczenia?
Gdzie zwyczajne śmiechy?
Gdzie dawne uciechy?
Niebaczny człowiecze!
Nie wiesz, że pogoda
I godzina młoda
Prędziuchno uciecze.

Przeto żeś mi nie winszował szczęśliwej nocy,
Nie uznały snu miłego biedne me oczy.
Także ty wzajemnie
Łaskawej przezemnie
Nocy nie zakusisz,
Lecz przykre niespania
I częste wzdychania
Co noc cierpieć musisz.

DANIŁO.

Czemu narzekają smutno moje strony [1])
Czemu żałobliwie kwili flet pieszczony?
Dla ciebie, nadobna Halino,
Dla ciebie, kochana dziewczyno!

[1]) struny.

Miasto lubych pieśni, miasto słodkiej lutnie,
Muszę ciężko wzdychać, lamentując smutnie:
Niemasz cię, nadobna Halino,
Niemasz cię, kochana dziewczyno!

Kędy teraz oczy są powabne twoje,
Z których miłość codzień wypuszczała roje?
Niemasz cię, nadobna Halino,
Niemasz cię, kochana dziewczyno!

Jużże to zagasły ust twych ognie żywe,
Którymiś paliła serca natarczywe?
Niemasz cię, nadobna Halino,
Niemasz cię, kochana dziewczyno!

Próżno mój ogródek fijołki pachniące,
Próżno mój różaniec rozwija swe pącze:
Niemasz cię, nadobna Halino,
Niemasz cię, kochana dziewczyno!

Gdyby mię Kupido odział swemi pióry,
Żebym mógł polecieć przez lasy, przez góry
Do ciebie, nadobna Halino,
Do ciebie, kochana dziewczyno!

Najmniejbym się nie bał skrzydłami pospieszyć,
Abym mógł raz oczy tobą me pocieszyć;
Kędyś jest, nadobna Halino,
Kędyś jest, kochana dziewczyno?

Lecz próżno cię moje szukają powieki,
Której nie obaczą pod słońcem na wieki;
Dobranoc, nadobna Halino,
Dobranoc, kochana dziewczyno!

ANDRZEJ MORSZTYN
(1613—1693)

DO ZOSIE.

Żeś w swej twardości niezmienna,
Nie dziw, boś wszystka odmienna.
I usta masz rubinowe,
I rzędy zębów perłowe,
I ciało alabastrowe,
I serce djamentowe.
Co za dziw, że bożek mały
Nie przestrzelił twardej skały!
Bo i kołczanik złocisty,
I łuk niezaderewisty,
I bożek nazbyt łaskawy.
Jednak jeśli do tej sprawy
I ja się pilnie przyłożę,
Na zakład i gardło łożę.

O SWEJ PANNIE.

Biały i polerowany jest marmur z Karary,
Białe mleko, przysłane w sitowiu z koszary,
Biały łabędź i białem okrywa się piórem,
Biała perła nie częstym zażywana sznurem,
Biały śnieg świeżo padły, nogą niedeptany,
Biały kwiat liljowy na świeżo zerwany;
Ale bielsza mej panny płeć twarzy i szyje
Niż marmur, mleko, łabędź, perła, śnieg, lilije.

NA KWIATKI.

Kwiateczki świeżo urwane z ogroda,
Puśćcie się chętnie dla Kasie swej grzędy;
Czeka was wielka nagroda:
Natka was za kształt i w swe włosy — wszędy.
Nie mogło szczęście lepiej igrać z wami,
I nie żałujcie ni gruntu, ni rosy,
Mając, gdy was skropię łzami,
Me łzy za rosę, a za grunt jej włosy.
Lecz przy jej złotym bawcie się warkoczu,
I byście w twardość równały się z stalą,
Chrońcie się pilno jej oczu,
Jedno was rodzi słońce — te dwie spalą.
I choćby się wam i to przytrafiło,
Piękną wam szczęście wasze śmierć przybiera,
I niech wam mdleć będzie miło
Dla tej, dla której wszystek świat umiera.

PIESZCZOTY.

Ta, w której ręku żywot mój i zdrowie,
Pieści się ze mną i dzieckiem mię zowie;
Ale kiedy chcę, jak małe dzieciny,
Trochę bezpieczniej poigrać bez winy,
Ostro się stawia, na śmiałość narzeka,
I ust i piersi dziecięciu umyka.
Dotknij jej Wenus zwyciężnym orężem,
Wnet mię nie dzieckiem pozna, ale mężem.

CUDA MIŁOŚCI.

Karmię frasunkiem miłość i myśleniem,
Myśl zaś pamięcią i pożądliwością,
Żądzę nadzieją karmię i gładkością,
Nadzieję bajką i próżnem błądzeniem.

Napawam serce pychą, omamieniem,
Pychę zmysłowem weselem z śmiałością,
Śmiałość szaleństwem pasę z wyniosłością,
Szaleństwo gniewem i złem zajątrzeniem.

Karmię frasunek płaczem i wzdychaniem,
Wzdychanie ogniem, ogień wiatrem prawie,
Wiatr zasie cieniem, a cień oszukaniem!

Kto kiedy słychał o takowej sprawie,
Że i z tem o głód cudzy się staraniem —
Sam przy tej wszystkiej głód ponoszę strawie.

DO MOTYLA.

Lekko motylu! Ogień to szkodliwy,
Strzeż się tej świece i tej jasnej twarzy,
W której się skrycie śmierć zdobna zarzy,
I nie bądź swego męczeństwa tak chciwy.

Sam się w grób kwapisz i w pogrzeb zdradliwy,
Sam leziesz w trunę i tak ci się marzy,
Że cię to zbawi, co cię na śmierć sparzy.
— Ach! jużeś poległ, gachu nieszczęśliwy!

Aleś w tem szczęśliw, że z pocałowaniem
I dokazawszy zawziętej rozpusty,
Z twoją kochaną rozstałeś się świecą.

O! gdybyż wolno równem powołaniem
Dla tej, której się ognie we mnie niecą,
Umrzeć, złożywszy usta moje z usty!

NA UŚMIECH.

Czarowny śmiechu, który w ślicznem ciele
Różanych jagód wiercisz dwie łożnice
I dwie kolebki, w których bez różnice
Wdzięk z Kupidynem łóżko sobie ściele, —

Czuj się na siłach i następuj śmiele
Na troskę, żałość, twoje przeciwnice,
Ból, płacz w mem sercu, niesmak i tęsknice,
Bij na mym gruncie twe nieprzyjaciele.

Wszystka ta zgraja bez zysku nadzieje
Uciecze, ani powrócić pomyśli,
Gdzie się wdzięcznego śmiechu będzie bała.

Niechże ustawnie będzie dobrej myśli
Dziewka ma smaczka, niech się zawdy śmieje,
Choćby się nawet z mych lamentów śmiała.

NIEPEWNOŚĆ.

Chciałbym cię z dusze, dziewczę, pocałować,
Ale muszę wprzód to w sobie uknować,
Oczy są tego godniejsze, czy usta?
Jaka to we mnie, z łaski twej, rozpusta!
Przecie ja do was, oczy, serca mego
Zwierciadła, gwiazdy nieba miłośnego...
Mylę się; raczej do was się udaję,
Rubiny żywe, których ogniem taję.
Bo oko płaczu studnicą jest, a wy
Nie wydajecie tylko śmiech łaskawy.

ZBIGNIEW MORSZTYN
(ur. około r. 1698)

NA TWARZ JEDNEJ GRZECZNEJ DAMY.

Nowy cud widzę dzisiaj w ślicznej twarzy
Rumiany ogień pod śniegiem się zarzy.
Śniegi nie tają w ogniu, a płomienie
Nie gasną w śniegu; gwałt mu przyrodzenie.
Ja widząc, co się z przyrodzeniem dzieje,
Jak ogień pałam, i jak śnieg topnieję
I między dwiema położon żywioły,
W strumień wypłynę lub zgoram w popioły.

NA SPÓŁZALOTNIKA.

Ja się niewinnie suszę,
Ja ciężkie wzdychania
Wylewać zawsze muszę,
Nędzny bez przestania,
A podobno nie ułapię
Tego, o co się trapię.

Ja się ciągnę, ja tracę,
A pono do tego
Przyjdzie, że choć przypłacę,
Nie dokażę swego
I widzę, że ten wszytek
Ztąd odniosę pożytek.

Co się zgryzę, sfrasuję,
A wszytko daremnie,

Bo czy tegoż nie czuję,
Że polują ze mnie?
    Czasem mię nie znają
    A już kochać mają.

Sam sobie dać nie umiem
Rady, lecz inaczej
Już teraz nie rozumiem,
Że ktoś drugi raczej
    Przypadł z drugiego boku,
    I tak na pilnem oku

Me chęci, me usługi,
Me szczyre starania,
Którem przez czas długi
Czynił bez przestania,
    I wszytkie moje rzeczy
    Miał na swej pilnej pieczy.

Ale ja ktosia tego
Choćby mi umierać,
Zsadzę z nadziei jego,
Bo ja chcę zawierać,
    I krwią moje kochanie,
    Choćby i zginąć za nie.

WACŁAW POTOCKI
(ur. około 1622, um. 1696)

ABRYS MIŁOŚCI.

Czyj to chłopiec skrzydlaty, rumiany a biały?
  Wedle wzrostu ma łuczek, wedle łuczku strzały.
Kupido, syn Wenery. Co ta Venus znaczy
  I czemu się tak to jej chłopię usajdaczy?
Bogini to miłości, w morskiej kiedyś spumie,
  Z Saturna urodzona. A miłość co umie?
Zaraza i serc ludzkich okrutna wścieklizna.
  Komu w nie ta zawiedzie strzałkę chłopięcina,
Naprzód wzroku pozbędzie, potem go ślepota
  Rozumu, naostatek zbawi i żywota.
To go nie może złapać? Kiedyć by nie skrzydła,
  To nie znajdzie pancerza na te jego szydła?
I myśleć o tem szkoda; same tylko nogi
  Wyzwolić człowieka mogą od tak wielkiej trwogi,
Lub się czem dobrem bawić. Ma przecie te cnoty:
  Kto ucieka, nie goni; kto robi roboty,
Nie przeszkadza; ale cóż jeśli ludzie święci
  Nie mogli, któż się z jego obierzy[1]) wykręci?
Słodkać jest, jednak co miód musze, lep sikorze,
  To ona człowiekowi. Zginął jako w morze
Rzucony kamień, kto się nie ma na ostroży
  I poda głupi szyję do jego obroży.

KAWALER DO DAMY, PTAKI POSYŁAJĄC.

Ptakić posyłam, pewnym moich chęci znakiem,
  Ach, gdzieżby mi się wolno stać samemu ptakiem,

---

[1]) Obierz = powróz, sznur.

Z orłem bym na wyścigi o met szedł, z sokołem,
A dziś jeszcze biłbym ci, śliczna damo, czołem.
Rozśmiejesz się podobno, moje słysząc wota,
Trudnoć mu latać, który ptak się w sieci mota.
Ja nie dbam, chociaż z sieci, gdy nie można lotem,
Byle twoim być, prawda, tu prędzej, tam potem,
Kędy, chociaż z dzisiejszych puchów się wypierzy,
Dosyć krótko bujawszy na tym świecie Jerzy,
Skoro osiądzie drzewko ulubione w lesie,
Znowu buje [1]) wyrości u pięknej Olesie.

[1]) skrzydła.

HIERONIM WESPAZJAN KOCHOWSKI
(ur. około r. 1630, um. 1699)

ZNIKOMA UCIECHA SNU LUBEGO.

A we śnież to, czy na jawi,
Ten mię widok luby bawi?
Czy przez jakie zachwycenie,
Patrzę na śliczne stworzenie?

Nie wiem, sami i anieli
By tej postaci być mieli;
I Helena, chwalna strasznie,
Przed jej cerą pewnie zgaśnie.

Twarz białością śnieg przechodzi,
W niej rumieniec środkiem brodzi.
Korale tę farbę mają,
Gdy je z perły pomieszają.

Płeć nadobna, oczy wdzięczne,
Jak w pełni światło miesięczne,
Brwi tej co kruk są czarności,
A ząbki z słoniowej kości.

Czoło śliczne, wygładzone,
Jako niebo wypogodzone.
Usty kiedy najmniej ruszy,
W zachwyceniu być mej duszy.

W mowie swojej ma te dary,
Że przechodzi i nektary.
Gdy się gniewa, tej postaci,
Jak gdy kanar[1]) z miodem zbraci.

---
[1]) cukier.

W drobne cyrki warkocz kręty,
Tuż się wiesza nad draźnięty[2]).
Na nie oko snadnie natrze,
Dwa ich ryte w alabastrze,

Z którego kształt wszystek ciała
Natura uformowała,
Jakby ją przed wszystkim ludem,
Chciała mieć gładkości cudem.

Kiedy chwalę to, co widzę,
Lubo się niczem nie brzydzę,
Dopierożbym chwalił i to
Co przed oczyma zakryto.

Aliści sen te rozkoszy,
Odbiegłszy mię, w lot rozpłoszy,
I ono śliczne widziadło,
Z oczu moich się wykradło.

ZIELONE.

Maj wesoły nam nastaje,
Zielenią się sady, gaje,
Wiosna ziemie gnuśnej łaje,
A zielone w rękę daje.

Zakwitły piękne dziardyny,
Zgoła wszystek świat jak inny,
Ogrodów Flora bogini,
W oczach ludzkich cuda czyni.

Patrz, jako jawór wyniosły,
Już gęstym liściem porosły.

[2]) draźnięta = piersi.

Kochaneczek wawrzyn Feba,
Ma odzieży co potrzeba.

Jabłoń w porosłe gałęzi
Sama siebie kryjąc więzi.
Na cytryny, gruszki, wiśnie,
Gęsty przez gwałt list się ciśnie

I wszystek rodzaj skołoźrzy [1]),
Wierzchołka z pniaku nie dojrzy.
Wraz wzgardzone swym niepłodem,
Zielenią się wierzby przodem.

Więc z nich zrywam latorośle,
Te Marynie pięknej poślę.
Zielonem się niech zabawi
A niech słuszny zakład stawi.

Ta gra tem się prawem chlubi:
Komu zwiędnie, kto je zgubi,
Lub go zbędzie innym kształtem,
Opłacze zakład ryczałtem.

Więc ja stawiam łańcuch złoty,
W grochowe ziarka roboty,
Choć nie kanak, nie haldzbanty [2]),
Na jakie się zdobył fanty;

A zaś moja stawi dama,
Już nie kruszec, siebie sama.
Droższy zakład jej osoby,
Niż złoto węgierskiej proby.

---

[1]) skołożrzy, skoroźrzy = wcześnie dojrzały.
[2]) naszyjniki.

Przyjmie prawo, i gałązki
Pięknemi zwięzuje wstążki.
Pokrowczyk z skóry wierzbowej
Kładzie, by nie wiądł list płowy.

Tak jej miły, tak jej wzięty,
Wespół go chowa z drażnięty,
I z nim sypia, i z nim chodzi,
Patrzaj, drewnu co się godzi?

Gdy już długo na nię schodzę,
I podejść ją we grze godzę,
Aż mi się trafiło wcześnie,
Napaść na nię zrana, we śnie.

Dobry dzień panno, zielone?
Ta trze snem oczy zmorzone,
Że się ledwo zorza bieli,
Maca wszędzie po pościeli.

Ja znowu: Maryś, zielone?
Darmo się przysz[1]), bo stracone.
Potem się sama przyznała,
A w zakładzie fawor dała.

[1]) wypierasz się.

PIEŚNI, TAŃCE I PADWANY XVII WIEKU[1])

TANIEC.

Nie będę chciała,
Bom się zgniewała
Na ciebie,
Że śinszych miewał,
O mnie-ś nic nie dbał
U siebie.
Będę ja też miała,
Kiedy będę chciała,
Do razu,
Już ci gębki nie dam,
Bo się na cię gniewam
I razu.
Serce dla ciebie,
Trapię u siebie,
Daremnie.
Że innym służysz,
W łasce ich płużysz
Foremnie.
Z nimi się częstujesz,
I z nimi żartujesz
Pomyślnie,
One z tobą siedzą,
Choć też o czem wiedzą
Umyślnie.
Oba cię chcieli,
Bo w radę weszli
O tobie,

---

[1]) Według przedruku prof. Teodora Wierzbowskiego. Warszawa 1903. Wyd. Kasy Mianowskiego.

By cię zniszczyli,
W swej szczęsnej chwili
A sobie,
Gwoli myśli golą,
Ciebie w oczy chwalą,
Na stronie.
Inszych radzi widzą,
Z ciebie się naszydzą
W zasłonie.
Przeproś mię raczej,
Przegrasz inaczej,
Przyjmę cię
W pokoje swoje,
Kochanie moje,
Proszę cię.
Nie baw się z inszemi,
Bo nie skórasz z niemi,
Choćbyś chciał,
Masz ty u mnie dosyć,
Bo się nie dam prosić,
Byleś chciał.

PIEŚŃ.

Cypryjskie gasięta
Krakowskie dziewczęta,
Gdzieście mi się zabłąkały,
Pastuszkę-ście oszukały
Tyś to winna, Hilareczko,
Tyś to winna, figlareczko.
Dajże pokój,
Dajże pokój.

Pastuszko, pastuszko,
Kochane serduszko,
Jeśliśmy się zabłąkały
Dla tego, żeś chłop ospały,
Mikołaj,
Nie wołaj,
Będziesz w czas.

Winnaś według prawa,
Bom cię za przystawa
Uczynił moim gasiętom,
Postawił moim dziewczętom.
Tyś to winna, Hilareczko,
Tyś to winna, figlareczko.
Dajże pokój,
Dajże pokój.

Pastuszę, pastuszę,
Miłuję cię z dusze,
Jednak na co fuki twoje,
Znajdę ja też huki moje,
Mikołaj,
Nie wołaj,
Będziesz w czas.

Więc się pojednajmy,
Ręce sobie dajmy,
Gasięta nas powadziły,
Bogdaj się były nie śniły.
Boś ty grzeczna, Hilareczko,
Boś ty grzeczna, figlareczko.
Dajże pokój,
Dajże pokój.

Pastuszko, pastuszko,
Kochane serduszko,
Dajże ty mnie rączkę swoję,
A ja tobie gębkę moję.
Mikołaj,
Pójdźmy w gaj,
Sam pod maj.

PADWAN NA DOBRANOC.

Kryją się gwiazdy, nocne ćmy zachodzą,
Które za sobą rumiany świt wodzą,
Księżyc skrył światłość swoję,
Dobranoc, serce moje.

A opuść, że twoje spokojne spanie
Moje płaczliwe przerywa wzdychanie:
Bo miłość serce rani,
Dobranoc, moja pani.

A jeśli kiedy me tęskliwe łoże
Strapionym oczom moim sen dać może, —
Niech mi się śni o tobie:
Ja z tobą igram sobie.

A choć też próżnych obietnic nadzieje
Precz tej zawistnej nocy czas rozwieje,
Znowu się zaś pokuszę,
Że cię miłować muszę.

Tymczasem serce niech się przez sen bawi,
Coby rado widziało na jawi,
Tę jednę widzę drogę,
Którą się cieszyć mogę.

KURANT[1]).

Filis, choć czuję,
Że darmo psuję
  Serce sobie, mam nadzieję,
Że kiedy dłużej,
Serceć posłuży,
  Bez nagrody nie zgoreje.
Nie pragnę zbroje
Na oczy twoje.
  Choć się kiedy im nawinę,
W pośród twej złości,
Pewien miłości
  Cierpieć będę — a nie zginę.

---

[1]) Z „Wirydarza poetyckiego“ J. T. Trembeckiego. Wyd. A. Brücknera. Lwów. 1910.

JAN GAWIŃSKI
(um. około r. 1700)

(DWORZANKI).

DO HANNY.

Róża się w swojej purpurze rumieni,
Rozmaryn pięknie wszystek się zieleni,
Lilia nad śnieg i mleko bieleje,
A fijołeczek w swej się barwie śmieje:
Lecz gdy cię, Hanno, pośród siebie mają,
Wszystkie przed tobą kwiatki się wstydają.

O WALECZNYM KUPIDYNIE.

Prosiłaś mię o obraz Kupida małego
Wdzięczna Anno, w pokoju moim będącego,
I dajęć; jednak pytam, coć po malowanym,
Gdy jest żywy Kupido w twem ciele kochanem?

VILANESCA.

Szymku, duszo moja,
Wiesz, żem jest twoja,
A ty zdrajca przecież,
Innym nóżki gnieciesz.
Często szarafana [1])
Hysujesz w kolana [2])
I w ucho coś prawisz,
A bębenki dławisz.

---

[1]) szarafan = szara suknia domowa.
[2]) hysować = podnosić żagiel.

Szymku, nie inaczej
    Źle to bardzo znaczy,
Że teraz mną brzydzisz,
    A inne nawidzisz.
Me gronka dostałe
    I nóżeczki białe,
Przedtymeś je chwalił,
    Kiedyś mną nie szalił [1]),
Me lice rumiane,
    Giezłeczko pisane
I co więcej miło,
    Twe to wszystko było.
Teraz ja niestoty,
    Patrząc w twe niecnoty,
Aże z żalu taję,
    Żeć inna sprzyjaje.
Bogdaj te maszkary
    Swej nie uszły kary,
Że mi z pola moczki
    Kradną ktosia w nocki.
Byś gdzie w wielu potem
    Nie napił się z błotem,
Szymku, z jednej wody
    Zażywaj ochłody.

[1]) szalić kogo = omamić, oszukać.

STANISŁAW TREMBECKI
(1730—1812)

KUPIDO.

(Anakreontyk).

Chłopczyk z rączką uzbrojoną
Skoczył mi był raz na łono,
I, złapawszy mnie za szyję,
Ukazał strzałeczek dwoje:
— Wiesz, kogo niemi przeszyję?
Temiry serce i twoje.

Na mnie nie potrzeba strzały,
Dwie nadto, chłopczyku mały!
Jest inny sposób w twej sile,
Oto bież do okrutnicy,
Ja tam przybędę za chwilę,
Czekaj mnie na jej źrenicy.

DO KOSOWSKIEJ W TAŃCU.

Cóż to za lube natury dzieło
Wdzięcznym się zrywa w tany podskokiem?
Cóż to za bóstwo igrać zaczęło
I świat czarownym bawi widokiem?

Lud się zgromadza cały w zdumieniu,
Widząc piękności i wdzięków dziwy,
Kupid wzdychając zdala w milczeniu,
Próżno zaostrza swoje cięciwy.

Śliczna z postaci, żywa jak łania,
Oczki jak zorza, usta w rubinie,
Z rączym się wiatrem w tańcu ugania,
Chwyta za serce, kto się nawinie.

Nóżki się ledwo widzieć pozwolą,
I tylko czasem tykają ziemi,
Wszystkie w niej członki razem swawolą,
A zefir igra z szaty wiotkiemi.

Zefir, który sam godzien zazdrości,
Bo wszystkie jego chęci spełnione,
Najtajemniejsze widzi skrytości,
Całując zawsze usta pieszczone.

Gdy się na zwrocie nieco zawinie,
Lotny fartuszek albo spódniczka,
Ledwo z chciwości oko nie zginie,
Żeby zobaczyć chociaż trzewiczka.

Daremna chluba, Gracje, wasza,
Że Olimp swemi pląsy dziwicie,
Ta to na ziemi Kosowska nasza
Umie śmiertelnych zabawić życie.

Do malowania widoku tego,
Jaka jest kształtność i wdzięk oblicza,
Pióro zostawiam dla Krasickiego,
Pędzel malarski dla Smuglewicza.

Lecz to im zdając, słuszną mam trwogę,
I ta robota nim jest skończona,
Uczynić muszę wczesną przestrogę:
Bójcie się losu Pigmaliona!

FRANCISZEK KARPIŃSKI
(1741—1825)

PRZYPOMNIENIE DAWNEJ MIŁOŚCI.

Potok płynie doliną,
Nad potokiem jawory:
Tam ja z tobą, Justyno,
Słodkie pędził wieczory.

Noc się krótką zdawała,
Żegnamy się świtaniem;
Miłość sen nam zabrała:
Miłość żyje niespaniem.

Nikt nie widział, nie szydził,
Niebo świadek jedyny.
Jam się nieba nie wstydził,
Miłość była bez winy.

Raz się chmura zerwała,
Piorun skruszył dębinę:
Tyś mię drżąca ściskała,
Mówiąc: „sama nie zginę“.

Oto przy tem strumieniu,
Oto przy tej jabłoni,
Wieleż razy w pragnieniu
Wodę piłem z jej dłoni?

Dziś, kiedy nas w swym gniewie
Los rozdzielił opaczny,
Znaki nasze po drzewie
Popsuł pasterz niebaczny.

I ślady się zmazały,
Las zarasta krzewiną!
Potok, drzewa, zostały:
Ciebie niemasz, Justyno!

MAZUREK.

Dobra noc Jacenta,
I wam usta czyste.
I słodkie oczęta,
I piersi parzyste!

Ja nie spać statecznie
Całą noc gotowym:
Bo kto śpi bezpiecznie
Przy skarbie takowym?

Wzięłaś mi sen cały
Oczu twych czarami;
Nie będę zuchwały
Żartował z oczami.

Pójdęż ja do fary,
Jak się na dzień zbierze,
Na te twoje czary
Zakupię pacierze.

Kupięż ja i świecę
Za złotowiec cały,
Bym nie miał tęsknice
Po Jacentej białej.

Przynajmniej uproszę,
Jeśli jest zuchwała,
By, co ja ponoszę,
Toż persi omaciała.

LAURA I FILON.

(Fragment).

LAURA.

Już miesiąc zeszedł, psy się uśpiły,
I coś tam klaszcze za borem.
Pewnie mnie czeka mój Filon miły,
Pod umówionym jaworem.

Nie będę sobie warkocz trefiła,
Tylko włos zwiążę splątany,
Bobym się bardziej jeszcze spóźniła,
A mój tam tęskni kochany.

Wezmę z koszykiem maliny moje,
I tę pleciankę różową:
Maliny będziem jedli oboje,
Wieniec mu włożę na głowę.

Prowadź mię teraz miłości śmiała;
Gdybyś mi skrzydła przypięła!
Żebym najprędzej bór przeleciała,
Potem Filona ścisnęła.

Oto już jawor... Niemasz miłego!
Widzę, że jestem zdradzona!
On z przywiązania żartuje mego;
Kocham zmiennika Filona.

Pewnie on teraz koło bogini
Swej, czarnobrewki Dorydy,
Rozrywkę sobie okrutną czyni
Kosztem mej hańby i biedy.

Pewnie jej mówi: że obłądzona
Wpieram się w drzewa i bory.
I... zamiast jego białego łona,
Ściskam nieczułe jawory.

Filonie! wtenczas, kiedym nie znała
Jeszcze miłości szalonej,
Pierwszy raz-em ją w twoich zdybała
Oczach i w mowie pieszczonej.

Jakże mię mocno ubezpieczała,
Że z tobą będę szczęśliwą!
A z tęm się chytrze ukryć umiała,
Że bywa czasem fałszywą.

Słabą niewinność łatwo uwiodą!
Teraz wracając do domu,
Nauczać będę moją przygodą,
Żeby nie wierzyć nikomu.

Ale któż zgadnie: przypadek jaki
Dotąd zatrzymał Filona?
Może on dla mnie zawsze jednaki,
Możem ja próżno strwożona?

Lepiej mu na tym naszym jaworze
Koszyk i wieniec zawieszę,
Jutro paść będzie trzodę przy borze...
Znajdzie... jakże go pocieszę!

Oh nie! on zdrajca; on u Dorydy,
On może teraz bez miary
Na sprośne z nią się wydał bezwstydy...
A ja mu daję ofiary...

Widziałam wczoraj, jak na nią mrugał;
Potem coś cicho mówili:
Pewnie to dla niej ten kij wystrugał,
Co się mu wszyscy dziwili.

Jakżeby moję hańbę pomnożył,
Gdyby od Laury uwity
Wieniec, na głowę Dorydy włożył,
Jako łup na mnie zdobyty?

Wianku różany! gdym cię splatała,
Krwią cię rąk moich skropiła,
Bom twe najmocniej węzły spałała,
I z robotąm się kwapiła.

Teraz bądź świadkiem mojej rozpaczy,
I razem naucz Filona,
Jako w kochaniu nic nie wybaczy
Prawdziwa miłość, wzgardzona.

Tłukę o drzewo koszyk mój miły,
Rwę wieniec, którym splatała,
Te z nich kawałki będą świadczyły,
Żem z nim na wieki zerwała...

Kiedy w chróścinie Filon schroniony
Wybiegł do Laury spłakany,
Już był o drzewo koszyk stłuczony,
Wieniec różowy stargany.

JÓZEF SZYMANOWSKI
(1748—1801)

ANUSIA.

Anusia ładna
Gdy się bawiła,
Miłość ją zdradna
Sobie złowiła.

Antek oszczerca
Ułożył minę;
Mówił do serca,
Uwiódł dziewczynę.

Przy krzewiu róży
Bujała trawa,
Antek był hoży,
Anusia żwawa.

Anuś nie płocha,
Cóż czynić miała?
Przysiągł, że kocha,
Zdrady nie znała.

Opadły róże,
Trawka zbledniała,
Anuś nieboże!
Miłość niestała.

Antek zdradliwy,
Już cię porzucił,
Dla innej tkliwy,
Ankę zasmucił.

Wtem przyszedł Kuba,
Kuba wesoły.
Anusia luba,
Porzuć mozoły!

Przestań już szlochać,
Niech Antek zginie,
Chciej Kubę kochać,
Siądź przy krzewinie.

Anusia wrzasła:
Tu ciernie kole,
Tu miłość zgasła —
Przy dębie wolę.

FRANCISZEK DYONIZY KNIAŹNIN
(1750—1807)

O AMARYLLI.

Daj ucałować ponęty kochane,
Dajże, prosiłem, dajże, Amarylko!
Ona mi do ust swe usta różane
Przytknęła tylko.

I zaraz, jak ten, co węża nadepce,
Z nagłego strachu na stronę uskoczy, —
Odjąwszy róże tej miłej przylepce,
Zwróciła oczy.

Dajże raz jeszcze, raz jeno, — nie więcej!
Ona się z gniewem na mnie obejrzała,
Możesz brać — rzekła — i do stu tysięcy,
Kiedym raz dała.

KROSIENKA.

Darmo mi, matko, stawisz krosienka:
Insza mię teraz myśl wiedzie.
Ach, pozwól raczej wyjrzeć z okienka,
Czyli mój Filon nie jedzie?

Gdyśmy na siebie spojrzeli mile,
Powiedział tylko dwa słowa.
Bez niego teraz przykre mi chwile:
On mojej duszy połowa!

Cóż go tak długo tam zatrzymało?
Drogać mu nie jest daleka,
Serce on moje zna jeszcze mało,
Które na niego tak czeka.

Przez ten ma gaik jechać mój miły.
Kiedyż twarz jego zaświeci?
Ptaki się stamtąd nagle ruszyły,
Zapewne on to już leci?

I sroczka z płotu skrzeczy na niego:
Cóż to? nie widać go jeszcze.
Filonie! na blask wzroku twojego
W ręce z radości zakleszczę.

Otóż i widać, — gość luby jedzie,
Sercu mojemu życzliwy;
Miłość w te strony wzrok jego wiedzie,
A pod nim igra koń siwy.

Siędę w krosienkach na moment miły,
Abym tę radość ukryła,
By nie zrozumiał Filon przybyły,
Że ja tu po nim tęskniła.

FRANCISZEK ZABŁOCKI
(1754–1821)

PIEŚŃ PASTERSKA.

Darmo mnie młoda lubi Zofija,
Darmo się sama do mnie nabija;
Darmo i Basia przez swe zamęście
Stawia mi wielkiej nadziei szczęście.
Nie trwam ja o te zysku zalety,
Chęć moja dąży do innej mety:
To jest, do ciebie, śliczna Rozeto!
Ty jesteś celem moim i metą.

Raz, gdy wieczornej kwoli zabawie
Na chłodnej sobie siadłem murawie,
Przyszła Marysia; jej postać cała
W słodką mnie miłość uplątać chciała.
Szturm to był ciężki, lecz bezskuteczny,
Bo umysł chowam tobie stateczny,
Bo ciebie tylko, mych chęci meto,
Raz ukochawszy, kocham, Rozeto!

Niechaj tu stanie w swej przemożności
Najobszerniejszych dziedziczka włości!
Niech ma za sobą tytuły dumne,
Liczne bogactwa i służby tłumne.
Jej się ukłonię; a serca przecie
Zachowam stałość swojej Rozecie.
Bo ciebie tylko, mych chęci meto,
Raz ukochawszy, kocham, Rozeto!

ANAKREONTYK.

W rozkosznym biegu siedząc strumyka,
Pasterka młoda
Patrzała, jak się czysto pomyka
Od źródła woda.

Tak prędko nasze zmykają lata,
Pomyśli sobie;
Więc trzeba wcześnie używać swiata,
Póki czas w dobie.

Cóż bez miłości schnąć będę dłużej?
Trzeba pastuszka!
Z tobą mi milsze czas chwile wróży,
Dafni, mój duszka!

Zdobić ofiarę już przymuszonej
Będziem skromności?
Wiek nasz do kresów swych nachylony,
My bez miłości?

Czas na to wspominać, że wiosna chyża
Lat naszych mija;
Okrzepła starość tuż się przybliża,
Co nas zabija.

Trudno ci wtenczas wykrzesać będzie
Czucia iskierki,
Gdy ciężka we krwi flegma osiędzie
Twojej pasterki.

Ach, czas i miłość biegną galopem
Nigdy niewrotnym.
Ni jej przywabisz żadnym syropem,
Byś był zalotnym.

Jako ten strumyk, skoro raz swoje
Porzuci łoże,
Pierwotne potem odwiedzić zdroje
Nigdy nie może, —

Tak naszych wdzięków biegną koleje:
Gdy je czas zwarzy,
Wiekiem nadpsutej, nie ma nadzieje
Umilić twarzy.

Nic na tym świecie nie jest bez celu,
I zatrudnienia;
Więc się nam kochać trza, przyjacielu,
Z losów zrządzenia.

Idzie za nocą ciemność ponura,
A dzień za słońcem;
Nam za miłością każe natura!
Miłość serc końcem!

KAJETAN WĘGIERSKI
(1755—1787)

NICE.

Tam pod zielonym lasem
  Poniżej małą dolinę,
Gdym do domu wracał, nawiasem
  Zoczyłem śliczną dziewczynę.
Pasła bieluchne owieczki,
  A siedząc w cieniu bukowym,
Wiła różane wianeczki
  Z rutą i liściem mirtowym.
Ledwiem ją zoczył zdaleka
  Serce mi goreć zaczyna,
Przyskoczę do niej, przywitam
  Mile przyjmuje, co czynię.
Skąd i co robi nie pytam,
  Siadam przy grzecznej dziewczynie.
Z oczu, z uśmiechu, wejrzenia
  Poznałem, że mną nie gardzi.
Przyjęła mile ściśnienie,
  Pocałowałem tem bardziej.
Ślicznych ust wdzięczne jagody
  Niezbronne ustom mym były,
Nie dla każdego te gody
  Podobnoby się zgodziły.
I mleczne piersi choć z strachem
  Potrosze przecie ściskałem,
Ale tym samym zamachem
  Że więcej wolno, doznałem.

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

A gdy dla miłej ochłody
Położyła się na trawie,
Pozwoliła mi swobody
Z sobą używać łaskawie...
Skorom skosztował dowoli,
Co Nice miała słodyczy,
Opuściłem ją powoli,
Wziąwszy wianeczek w zdobyczy.
Odtąd jużem jej nie zoczył,
Choć nieraz długo szukałem,
Choć okolicem wszystkie okroczył,
Choć nie jednego pytałem.
Aże dopiero pszenicę
Kiedyśmy żęli w tem lecie,
Postrzegłem, jako ma Nice
Niosła na ręku swe dziecię.
Ale bojąc się, by z żalu
Nie chciała wydać mię komu,
Ominąwszy ją pomału,
Uciekłem śpieszno do domu.

DO ROZYNY.

Spojrzyj, Rozyno, jak świat szeroki,
Na ziemię, morze i na obłoki.
Bogów i ludzi, ryby, zwierzęta
Słodka miłości wabi ponęta.

Jaki błąd próżny wielu z nas łudzi,
Że miłość tylko służy dla ludzi!
Już my się dzisiaj bardzo zepsuli,
Ptaszki, ach! ptaszki kochają czulej.

Czyś nie widziała gołębi dwoje,
Jak pyszczki łączą miłośnie swoje?
Czułość wzajemna, co ich upaja,
Zda się, że każde piórko podwaja.

Dlaczego słowik przed słońcem wstaje?
Bo miłość tkliwa spać mu nie daje.
Czemu tak jego przyjemne pienie?
Bo to miłości czułej natchnienie.

I takich istot w naturze siła,
Którym że czucia dar odmówiła,
Same się kochać nie będąc w stanie,
W innych przynajmniej niecą kochanie.

Dlatego strumyk szemrze w swym biegu,
By amant wzdychał przy jego brzegu.
I wonne kwiaty i miękkie trawy
Są dla miłosnej stworzone sprawy.

Idąc, Rozyno, za przyrodzeniem,
Żyjmy jedynie miłości tchnieniem;
Związek na wieki słodki i ścisły,
Niech nasze spaja serca i zmysły.

JULIAN URSYN NIEMCEWICZ
(1758—1841)

SEN MARYSI.

[Duma].

Już księżyc krążył po lazurach czystych,
Blask jego nad wód strumieniem,
Na ciemnych liściach buków rozłożystych,
Łagodnym migał promieniem.
Marysia we śnie widzi Stasia swego,
Jak gdyby tam był przytomnie,
I słyszy głos ten z morza dalekiego:
„Marysiu, nie płacz już po mnie!“

Zrywa się, pyta: „Kto zuchwałym krokiem
Chodzi tutaj nocną dobą?“
Aż z bladą twarzą, z wklęsłem w licu okiem
Postrzega Stasia przed sobą.
„O luba moja, już to zimne ciało
Stos piasku przykrył ogromnie,
Głębokie morze sen mi wieczny dało,
Marysiu, nie płacz już po mnie.

„Przez trzy dni burza z wściekłością straszliwą
Wznosi się w spienionych ścianach,
Pogrąża z trzaskiem nawę nieszczęśliwą
W bezdennej głębi bałwanach.
Lecz i w tej chwili myślałem o tobie,
Ginący światu niepomnie;
Ustała burza, spoczynek mój w grobie,
Marysiu, nie płacz już po mnie!

„I ty dokończysz wkrótce dni twych biegu;
Jak anioł, ubraną w bieli,
Ujmę cię wkrótce na szczęśliwym brzegu,
Tam już nic nas nie rozdzieli...“
Tu kogut zapiał, zniknęło widzenie,
Głos się dał usłyszeć skromnie,
A raczej ciche, słodkie poszepnienie:
„Marysiu, nie płacz już po mnie!“

LUDWIK KROPIŃSKI
(1767—1844).

PIEŚŃ.

Te brzóz kilka, bieg tej wody
Tak mi wiele przypomina!
Tu przeskakałem wiek młody,
Tu niegdyś była Emina.

Ona tak miło i snadnie
Przez oczy weszła do duszy,
Jak wietrzyk, gdy w listki wpadnie
I spokojność drzewa wzruszy.

Czemuż z miłych rzeczy zgubą,
Pamięci człowiek nie traci?
Nie wzdychałbym za mą lubą,
Ni płakał poległych braci.

Gaje, pagórki, doliny,
Przeszłości obrazie miły!
Bez ojczyzny i Eminy
Jakżeście wiele straciły!

ANDRZEJ BRODZIŃSKI
(1786—1812).

POŻEGNANIE Z KOCHANKĄ.

Czyliż ojczyzny nie kochasz, o luba,
Że mi iść bronisz, piersi stawiać za nię,
Czyliż nie znasz, jak wielka stąd chluba
I jak jest słodkie na placu skonanie?

Alboż tak dufasz męstwu memu mało,
Że się pociskom nie zdołam odwinąć
Że bić nie zdolę nieprzyjaciół śmiało,
Lub ich zwyciężyć, lub z honorem zginąć?

Wrócę-li, wrócę zwycięzcą, a tobie
Nie miłoż będzie oglądać mię w chwale?
A gdy nie wrócę, wiedz, żem poległ w grobie.
Lecz pomnij na to, żem poległ wspaniale,

Żal-że ci będzie, żeś mą lubą była,
Gdyć rzekną: poległ dla ojczyzny sławy!
Lub czyż się ze mnie nie będziesz pyszniła
Na głos: twój luby był bojownik żwawy?

Jeszczem na względy nie zasłużył twoje.
Czegoż kosztowne twe nie warte wdzięki?
Pójdę na wojnę, ty mi przywdziej zbroję,
A wnet pokażę, żem twojej wart ręki.

Bądź zdrową, luba; daj mi chustkę twoją,
Nią otrę czoło z marsowego potu,
Pod nią się prędko rany moje zgoją:
Będę do ciebie pisywał z namiotu.

WINCENTY REKLEWSKI
(1786—1812).

JOLENTA.

Słońce jeszcze z różanej nie wyszło osłony,
Szary dzionek rozległe odkrywał zagony.
Wieńczone drzewem wioski i wody w dolinie,
I gór rozległe pasmo w niebieskiej mgle ginie.
Jolenta na przydrożne ugoru wzniesienie
Wesołe ojca stada zasmucona żenie.

Usiadła pod jaworem, co stoi przy drodze,
I te słowa z bladawych ust płyną niebodze:
„Paś się, trzodo! te pola dłonie jego siały;
Tu z niego pot ciągnęła praca i upały,
Pij ze zdroju, wszak on go wydobył z pod góry;
Tutaj go zimnym deszczem często zlały chmury.
Pamiętne są, kochanku, polom twe zasługi,
Tyś z jutrzenką wywodził na ugory pługi;
Przez ciebie ojciec niwy uprawne dziedziczy,
Chowam ja twoją kosę, chowam sprzęt rolniczy.
Obyś ty jeszcze w łąki niósł porankiem kosę,
Obyś orał! te prośby codzień w niebo niosę.

Witaj, słońce! na ciebie czekam utęskniona,
Prędko zajaśnisz wpośród bławatnego łona.
Niech ten dzień, który twoja obecność wyleje,
Przyjemne poda wieści i zmocni nadzieje.
Uprzedzam po pagórkach twoje złote kroki,
Skąd śledzę dróg rozlicznych dalekie widoki;
Każdy jeździec, do mego podobny z odzieży,
Każdy mnie biedną zwodzi, gdy w te strony
[mierzy.

Niechaj z was który spocznie, niechaj tu zaczeka!
Czyliście nie widzieli, przechodnie zdaleka
Urodnego na wronym koniu gdzie młodziana?
Mówcie o nim, co wiecie! jam jemu kochana.
Nosi teraz błękitne z czerwonem odzienia,
Dzida w ręku, na wronym koniu prędko żenie;
Z białem piórem za czapką czerwoną, nad
[głową
Na znak mojego żalu ma rózgę świerkową.
Czyliście nie widzieli takiego młodziana?
Mówcie o nim, co wiecie! jam jemu kochana.
Tutaj przeciwko niemu co ranek wychodzę;
Jego gościnne dłonie dały cień tej drodze.

O kochanku! jakże ci wojny los posłuży?
Będęż się jeszcze z tobą kiedy cieszyć dłużej?
Bo mnie bojaźń z rozpaczą przychodzi do serca:
Sroga bojaźń! jako samo nieszczęście morderca.
Gdy z mężnymi młodziany ku dzielnej obronie
Ojczyzny poświęciłeś mężne twoje dłonie,
Do serca ja twojego prawo mam jedyne:
Niech me imię z miłości twojej po wsi płynie.

Może przed tobą miłość przykra w oddaleniu
Oskarża moją wierność w samotnem myśleniu,
Nie biadaj na mnie! Ani mnie bukowe gaje,
Ani strumień mnie widział, że z innym przestaję,
Nie biadaj, bo jeżeli—niech nie mówię wiele!..
Nieme świadki zmienności niech będą mści-
[ciele.
Pamiętam ja, na konia rękem ci dawała,
Przysięgając przed niebem, że ci będę stała.
Kochanku! chowam chustkę, ostatniego rana
Którą, kiedyś mnie łajał, żem jest zapłakana,

Otarłam zaszłe łzami czarne oczy twoje:
Przyciskam do óez moich i łzami ją poję.
Gdy w lasku dumam między świerkami smut-
[nemi
Ze drżeniem ucho moje przyciskam do ziemi;
Żaden odgłos wystrzału mej duszy nie mija,
W każdym słyszę śmierć twoją i to mnie zabija.
Strzał każdy, gdy okropny we mnie zgon
[powtarza,
Nadzieja boską mocą życie moje stwarza,
A ciekawość do nowej prowadzi mnie zguby,
Tysiąc razy umieram — raz ty giniesz, luby!
Siedząc w okienku, wlepiam oczy w tamte
[strony,
Gdzie zwycięstwa lub śmierci szukasz, ulubiony:
Lubo przez góry, lasy wzrok przebyć nie może,
Widzę krew, widzę ogień i gonitwy hoże.

Upadasz—napróżno cię twój przyjaciel broni,
Widzę cię, krwią zbroczonyś pod kopytem
[koni...
Znów cię widzę, jak toczysz koniem upocony,
Zawalasz gęstym trupem krwią naszłe zagony.
Rzucasz się na pioruny, dymu chmury sine
Biorą cię oczom moim, ja za tobą ginę...
Lecz wychodzisz szczęśliwy!—tu nadziei wiele
Zawcześnie radość z twojej waleczności dzielę
Oj! nie dla ciebie wiosna w tym się sadzie sili:
Spadną kwiaty, nie zerwiesz ty ich w rannej
[chwili,
Ani ja w twoje włosy wleję z kwiatów wonie;
Marną tylko nadzieję zapłakana gonię.

O nadziejo przyjemna! smutne omamienie!
Gdzie mnie znowu przezorność niedołężna
[żenie?
Nie wiem wyroku niebios, czy się niebo śmieje,
Czy na moją zagładę ostry piorun leje.
Znużonam, przez noc całą i od wschodu zorzy,
Niepewna przyszłość do mnie śmieje się i sroży.

Koniu, którego moje głaskiwały dłonie...
I ty, widzę, z twym panem leżysz na zagonie,
Zrywasz się i upadasz, grzebiąc nogą ziemię;
Pan pod tobą, w strzemieniu noga, cięte ciemię.

O smutne przeznaczenie! kiedy w obcej ziemi
Tarzać się będziesz, luby! z trupami obcymi,
A ktoś uszczęśliwiony wróci do ojczystej roli,
Powie, żeś zginął—kogoż los mój nie zaboli!
Precz, okropność! przynieś go do mnie, koniu
[wrony,
Kiedy pierzchnie najezdnik z kraju zwyciężony,
Przynieś go! o północy u mnie sen nie bywa,
Uderz nogą o wrota, wybiegnę szczęśliwa.
Pozna go serce moje mimo nocne cienie,
Przywita go kochanki wymowne milczenie.
Na nowe jego wąsy całą czucia siłę,
Całą duszę wyleję przez całunki miłe.
Zagęszczaj twardym liściem, twe, dębie, konary,
W twoim cieniu odbierze najmilsze mu dary;
Broń tu złoży, co w piersiach nieprzyjaciół
[tonie:
W twoim cieniu odpocznie na kochanki łonie.

Rośnij bluszczu! co rano pilnie cię podleję,
Rośnij bluszczu! ziszczą się miłosne nadzieje,

Sam cię zerwie kochanek na wieńce weselne,
Głowę moją uwieńczą jego dłonie dzielne.

Lecz gdy zginął! — o nieba! — moja miłość
[wściekła
Poniosłaby mnie za nim do samego piekła.
O radość! o pociecha! o weselne gody!
Cieszyć się będą na nich piekielne narody.

Ale precz, udręczenia! ustąp myśli sroga,
Wznieś się, duszo, od piekła do dobrego Boga:
Ty, co dajesz nadzieję, z dobroci nam znany,
Który odwracasz kule i łamiesz kajdany,
Boże, obrońco cnoty! o Stwórco potężny!
Wiem, że się nie ochrania kochanek mój mężny;
Niechaj go Twoja dzielna prawica ochrania,
Niech wróci i odbierze nagrodę kochania,
Niechaj skutecznie swemi nadstawia piersiami,
Niechaj go podła bojaźń nigdy nie omami;
A jeśli mu okropne naznaczysz koleje,
Niechaj wprzódy najeźdzców hojnie krew
[rozleje.

Ale nie — tak nie będą srogie Twoje losy,
Miłością oddychają szczęśliwsze niebiosy!
Krople tego napoju darowałeś ziemi...
Wróci się do mnie luby z wieńcy zwycięskimi.
Powracaj, ulubiony! gdy się skończy wojna,
Kiedy przeżegna ziemię dłoń Boga spokojna;
Na niwy, któreś orał, wiosna dar wylewa,
Pierwszy raz zakwitnęły, któreś szczepił
drzewa".

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI
(1791—1835).

PASTERKA.

Kto doniesie sercu memu,
Co z moim lubym się dzieje;
Któż ode mnie powie jemu,
Że tęskna łzy po nim leję?

Miły ptaszku mijasz gaje,
Z dalekiej lecisz krainy,
Powiedz, gdzie mój Jaś zostaje,
Ach! powiedz, pośle jedyny!

Weź te kwiaty, weź ode mnie
Spłakanem okiem szukane!
Serce bije mu wzajemnie,
Dopóki żyć nie przestanę.

Choćby go daleko w świecie
Morzami okręt prowadził,
Śpiesz się, wracaj, donieś przecie,
Czy żyje, czy mię nie zdradził?

Ale ptaszek płocho leci
W jodłowym gubi się lesie;
Śpieszy, śpieszy do swych dzieci,
I kłosek w dziobku im niesie.

Leć, ptaszyno moja droga!
Bo twoja luba cię czeka,
Nie dziw tobie, że uboga
Pasterka tęskna, narzeka!

PASTERZ DO ZOSI.

Pojrzyj przecie mile,
Moja Zosiu płocha!
Daruj aby chwilę
Temu, co cię kocha.

Kiedy cię nie staje,
Ciemno mi na niebie.
Łąki, wody, gaje
Niczem są bez ciebie.

Tyś jest moje mienie,
Ty wesele moje,
Za twoje spojrzenie
O nic już nie stoję.

Gdybym ja się kiedy
Stał niewiernym Zosi,
Niech mnie wicher wtedy
W górach poroznosi.

Niechaj się zapadnę,
Niewierny kochanek,
Za oczęta ładne,
Za twój Zosiu wianek.

ANTONI MALCZEWSKI
(1793—1826).

MARYA.
(FRAGMENT).

Nie drżyj! wszystko minęło, gdym ciebie zobaczył —
Jeszcze pierwiej: jak tylko, żeś moją, oświadczył,
Tak mi tem jednem słowem serce usposobił,
Jak gdyby mi nikt, nigdy, nic złego nie zrobił.
To wziąwszy moją szablę, której blask odsłonię
Nie prywacie, lecz twojej i kraju obronie,
To wziąwszy mego konia, co nieraz w te niwy
Tak szybko mnie unosił — jechałem szczęśliwy.
Och! z jakąż ja radością te lipy ujrzałem!
Jakże ich chłodu dusza pragnęła z zapałem!
Ty nie wiesz — ty umiesz bez chluby łzy koić —
Co to jest dzikie serce do siebie przyswoić,
Co tęsknić za dobrocią, a wdzięków żałować,
W których wspomnieniu umysł chciałby istność
[schować.
Maryo, czyś ty nie chora? bo masz taką postać,
Jakbyś się do aniołów myślała już dostać,
I w nowem udręczeniu, choć się tobą pieszczę,
Prawie się spytać pragnę, czy mię kochasz jeszcze?
— Czy Marya ciebie kocha? mój drogi, mój miły!
Więcej niż kochać wolno i niż mogą siły;
Więcej, niż wątłe serce, gdy jemu już zadość,
Znieść umie tak niezmierną, niespodzianą radość.
I gdyby nie Tatarzy, co mi w oczach błyszczą,
I gdyby nie ich strzały, co mi w uszach świszczą—

Tak mi lekko, tak słodko, tak mi nic nie trzeba,
Jakbym w twojem objęciu leciała do nieba.
Czy Marya ciebie kocha? pytaj się jej cienia,
Czem dla Maryi świat cały bez twego spojrzenia?
Czem dla Maryi świat przyszły — bez twego
[wspomnienia!
Nieraz w zmysłów zamknięciu, nad tą dużą księgą
Zniżona całem czuciem przed Stwórcy potęgą,
Gdym chciała ciebie stłumić modlitwy pociechą—
Zaraz mi brzmiało jakby twego żalu echo!
To może Pan Bóg skarze tak żywe kochanie,
I tatarska ci strzała w serce się dostanie.
Widzisz ten jasny promień, co z liści osnowy
Ciągnie swój drżący połysk między nasze głowy?
Ten promień żywi, zdobi, każdego weseli:
Czemuż, gdyśmy złączeni, on jeszcze nas dzieli?
Próżno, próżno, mój luby! choć usta z ustami,
Patrzaj — chyli się z liściem i jest między nami.
Ach! śród uniesień bitwy i zwycięstwa wrzawy,
Przypomnij sobie, drogi, że promień twej sławy,
Tak czysty, taki świetny, jak słońce na niebie,
Jaskrawym swym wieczorem noc spuści na ciebie!
Och! niechaj pierwiej Marję w ciemnościach za-
[grzebie!
Nieprawdaż, mój Wacławie? ty będziesz odważny,
Stały, wytrwały, dzielny — ale i uważny!
A gdy już moje oczy, wdrążone zgryzotą,
Długo patrząc w swój żywioł, swe życie rozplotą,
Gdy serce wytchnie z trwogi przy piersiach bez
[stali —
To może się na miłość Wacław nie pożali?
Cieszyć się twą radością, twój smutek łagodzić,
Nie myśleć tylko o tem, w czem tobie dogodzić,

Być twoich chwil osłodą, czasem ich ozdobą,
Żyć dla ciebie i w tobie, umierać przed tobą, —
I w tej ostatniej chwili, choć w cierpień natłoku,
Gasnącym wzrokiem szczęście składać w twojem
oku,
A gdy nie wolno z tobą—żyć w twojej pamięci:
To Marji cała miłość, wszystkie Marji chęci.
Skoro mi szczęśliw wrócisz — mą harfę nastroję,
I przy blasku księżyca usiadłszy oboje,
W tkliwej, smutnej, jak lubisz, unosząc się nucie,
To, co nikt nie wyraził, przywłaszczysz uczucie.
Ach! — z jaką okropną trąby zagrały żałobą!
Och! nie rzucaj mnie znowu! och! zabierz mnie
[z sobą.

TOMASZ ZAN
(1796—1855).

TRJOLET.

Marylko wdzięczna i luba,
Na twój widok czuję trwogę.
Gdzież moje męstwo, gdzie chluba,
Marylko wdzięczna i lube.
Patrzeć na cię — wieczna zguba,
A ja nie patrzeć nie mogę.
Marylko wdzięczna i luba
Na twój widok czuję trwogę.

Kto cię ujrzał, gnie kolana,
I twym więźniem zostać woli,
Choć wolność jest pożądana,
Kto cię ujrzał, gnie kolana.
Słodszego nad cię tyrana
I słodszej niemasz niewoli.
Kto cię ujrzał, gnie kolana
I twym więźniem zostać woli.

ADAM MICKIEWICZ
(1798–1855).

WIDZENIE SIĘ W GAJU.

»Tyżeś to? i tak poźno?...« »Błędną miałem drogę,
Śród lasów, przy niepewnym księżyca promyku.
Tęskniłaś? myślisz o mnie?...« »Luby niewdzięczniku!
Pytaj się, czy ja myśleć o czem innem mogę!«

»Pozwól uścisnąć dłonie, ucałować nogę.
Ty drżysz! czego?...« »Ja nie wiem. Błądząc po gaiku,
Lękam się szmeru liścia, nocnych ptaków krzyku:
Ach! musimy być winni, kiedy czujem trwogę!«

»Spojrzyj mi w oczy, w czoło: nigdy z takiem czołem
Nie idzie zbrodnia, trwoga nie patrzy tak śmiele.
Przebóg! jesteśmyż winni, że siedzimy społem?

»Wszak siedzę tak daleko, mówię tak niewiele,
I zabawiam się z tobą, mój ziemski aniele!
Jak gdybyś już niebieskim stała się aniołem«.

DZIEŃ DOBRY.

Dzień dobry! nie śmiem budzić. O wdzięczny widoku!
Jej duch napoły w rajskie wzleciał okolice,
Napoły został, boskie ożywiając lice,
Jak słońce napół w niebie, pół w srebrnym obłoku.

Dzień dobry? Już westchnęła, błysnął promyk w oku.
Dzień dobry? Już obraża światłość twe źrenice,
Naprzykrzają się ustom muchy swawolnice.
Dzień dobry! Słońce w oknach, ja przy twoim boku.

Niosłem słodszy dzień dobry: lecz twe senne wdzięki
Odebrały mi śmiałość. Niech się w przódy dowiem:
Z łaskawem wstajesz sercem, z orzeźwionem zdrowiem?

Dzień dobry! Nie pozwalasz ucałować ręki?
Każesz odejść? Odchodzę: oto masz sukienki,
Ubierz się i wyjdź prędko — dzień dobry ci powiem.

DOBRANOC.

Dobranoc! Już dziś więcej nie będziem bawili,
Niech snu anioł modremi skrzydły cię otoczy.
Dobranoc! Niech odpoczną po łzach twoje oczy.
Dobranoc! Niech się serce pokojem zasili.

Dobranoc!... Z każdej ze mną przemówionej chwili,
Niech zostanie dźwięk jakiś cichy i uroczy,
Niechaj gra w twojem uchu; a gdy myśl zamroczy,
Niech się mój obraz sennym źrenicom przymili.

Dobranoc! Obróć jeszcze raz na mnie oczęta,
Pozwól lica... Dobranoc! chcesz na sługi klasnąć!
Daj mi pierś ucałować... Dobranoc! zapięta.

— Dobranoc! Już uciekłaś, i drzwi chcesz zatrzasnąć.
Dobranoc ci przez klamkę, Niestety zamknięta.
Powtarzając dobranoc! nie dałbym ci zasnąć.

DO M***

Precz z moich oczu!... posłucham od razu;
Precz z mego serca!... i serce posłucha;
Precz z mej pamięci!... Nie — tego rozkazu
Moja i twoja pamięć nie posłucha!

Jak cień tem dłuższy gdy padnie zdaleka,
Tem szerzej koło żałobne roztoczy:
Tak moja postać, im dalej ucieka,
Tem grubszym kirem twą pamięć pomroczy.

Na każdem miejscu i o każdej dobie,
Gdziem z tobą płakał, gdziem się z tobą bawił,
Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie,
Bom wszędzie cząstkę mej duszy zostawił.

Czy zadumana w samotnej komorze
Do arfy zbliżysz nieumyślną rękę,
Przypomnisz sobie: właśnie o tej porze
Śpiewałam jemu tę samą piosenkę.

Czy grając w szachy, gdzie pierwszemi ściegi
Śmiertelna złowi króla twego matnia,
Pomyślisz sobie: tak stały szeregi,
Gdy się skończyła nasza gra ostatnia.

Czy to na balu w chwilach odpoczynku
Siędziesz, nim muzyk tańce zapowiedział,
Obaczysz próżne miejsce przy kominku,
Pomyślisz sobie: on tam ze mną siedział.

Czy książkę weźmiesz, gdzie smutnym wyrokiem
Stargane ujrzysz kochanków nadzieje,
Złożywszy książkę, z westchnieniem głębokiem
Pomyślisz sobie: ach, to nasze dzieje...

A jeśli autor, po zawiłej probie
Parę miłosną na ostatek złączył,
Zagasisz świecę i pomyślisz sobie:
Czemu nasz romans tak się nie zakończył...

Wtem błyskawica nocna zamigoce,
Sucha w ogrodzie zaszeleszczy grusza,
I puszczyk z jękiem w okno załopoce...
Pomyślisz sobie, że to moja dusza.

Tak w każdem miejscu i o każdej dobie,
Gdziem z tobą płakał, gdziem się z tobą bawił,
Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie,
Bom wszędzie cząstkę mej duszy zostawił.

ROZMOWA

Kochanko moja! na co nam rozmowa?
Czemu, chcąc z tobą uczucia podzielać,
Nie mogę duszy prosto w duszę przelać?
Za co ją trzeba rozdrabiać na słowa,
Które, nim słuch twój i serce dościgną,
W ustach wietrzeją, na powietrzu stygną?

Kocham, ach! kocham, po sto razy wołam,
A ty się smucisz i zaczynasz gniewać,
Że ja kochania mojego nie zdołam
Dosyć wymówić, wyrazić, wyśpiewać;
I, jak w letargu, nie widzę sposobu
Wydać znak życia, bym uniknął grobu.

Strudziłem usta daremnem użyciem,
Teraz je z twemi chcę stopić ustami,
I chcę rozmawiać tylko serca biciem,
I westchnieniami i całowaniami,
I tak rozmawiać godziny, dni, lata,
Do końca świata i po końcu świata.

DO D... D...

Moja pieszczotka gdy w wesołej chwili,
Pocznie szczebiotać i kwilić i gruchać,
Tak mile grucha, szczebioce i kwili,
Że nie chcąc słówka żadnego postradać,
Nie śmiem przerywać, nie śmiem odpowiadać,
I tylko chciałbym słuchać, słuchać, słuchać.

Lecz mowy żywość gdy oczki zapali,
I pocznie mocniej jagody różować,
Perłowe ząbki błysną śród korali;
Ach! wtenczas śmielej w oczęta poglądam,
Usta pomykam i słuchać nie żądam,
Tylko całować, całować, całować.

SEN.

Chociaż zmuszona będziesz mnie porzucić,
Jeżeli serca nie zmienisz w kochaniu,
Rzucając nawet, nie chciej mnie zasmucić,
I, rozstając się, nie mów o rozstaniu!

Przed smutnem jutrem, niech jeszcze z wieczora
Ostatnia spłynie na pieszczotach chwilka;
A kiedy przyjdzie rozstania się pora,
Wtenczas trucizny daj mi kropel kilka.

Do ust twych usta przycisnę; powieki
Zamykać nie chcę, gdy mię śmierć zamroczy;
Niechaj rozkosznie usypiam na wieki,
Całując lica, patrząc w twoje oczy.

A po dniach wielu, czy po latach wielu,
Kiedy mi każą mogiłę porzucić,
Wspomnisz o twoim sennym przyjacielu,
I zstąpisz z niebios, aby go ocucić.

Znowu mię złożysz na twem łonie białem,
Znowu mię ramię kochane otoczy;
Zbudzę się, myśląc, że chwilkę drzemałem
Całując lica, patrząc w twoje oczy.

DO...

(NA ALPACH W SPLUGEN).

Nigdy, więc nigdy z tobą rozstać się nie mogę
Morzem płyniesz i lądem idziesz za mną w drogę,
Na lodowiskach widzę błyszczące twe ślady,
I głos twój słyszę w szumie alpejskiej kaskady,
I włosy mi się jeżą, kiedy się oglądam,
I postać twoją widzieć lękam się i żądam.

Niewdzięczna! Gdy ja dzisiaj, w tych podniebnych
Spadający w otchłanie i niknący w chmurach, [górach,
Wstrzymuję krok, wiecznemi utrudzony lody,
I oczy przecierając z lejącej się wody,
Szukam północnej gwiazdy na zamglonem niebie,
Szukam Litwy i domku twojego i ciebie:
Niewdzięczna! może dzisiaj, królowa biesiady,
Ty w tańcu rej prowadzisz wesołej gromady,
Lub może się nowemi miłostkami bawisz,
Lub o naszych miłostkach śmiejąca się prawisz!

Powiedz, czyś ty szczęśliwsza, że ciebie poddani,
Niewolnicze schylając karki, zowią *Pani!*
Że cię rozkosz usypia i wesołość budzi,
I że cię nawet żadna pamiątka nie nudzi?
Czy byłabyś szczęśliwsza, gdybyś, moja miła,
Wiernego ci wygnańca przygody dzieliła?

Ach! jabym cię za rękę po tych skałach wodził,
Jabym trudy podróżne piosenkami słodził,
Jabym pierwszy w ryczące rzucał się strumienie,
I pod twą nóżkę z wody dostawał kamienie,
I przeszłaby twa nóżka wodą niedotknięta,
A całowaniem twoje ogrzałbym rączęta!
Spoczynek by nas czekał pod góralską chatą;
Tam, zwleczoną z mych barków okryłbym cię szatą,
A tybyś, przy pasterskim usiadłszy płomieniu,
Usnęła i zbudziła na mojem ramieniu!...

FRAGMENT Z »DZIADÓW«.

Gustaw *(z żalem)*

O, nie! nas Bóg urządził ku wspólnemu życiu:
Jednakowa nam gwiazda świeciła w powiciu;
Równi, choć różnych zdarzeń wykształceni ciekiem,
Postawą sobie blizcy, jednostajni wiekiem,
Ten sam powab we wszystkiem, toż samo niechcenie,
Też same w myślach składnie i w czuciach płomienie.
Gdy nas wszędzie tożsamość łączy niedościgła:
Bóg osnął przyszłe węzły,

(z żalem największym)

a tyś je rozstrzygła!

(Mocniej, gniewny)

Kobieto! puchu marny! ty wietrzna istoto!
Postaci twojej zazdroszczą anieli,
A duszę gorszą masz, gorszą niżeli...
Przebóg! tak ciebie oślepiło złoto,
I honorów świecąca bańka wewnątrz pusta!
Bodaj!... Niech, czego dotkniesz, przeleje się w złoto;
Gdzie tylko zwrócisz serce i usta,
Całuj, ściskaj zimne złoto!
Ja, gdybym równie był panem wyboru,
I najcudniejsza postać dziewicza,
Jakiej Bóg dotąd nie pokazał wzoru,
Piękniejsza niźli aniołów oblicza,
Niźli sny moje, niźli poetów zmyślenia,
Niźli ty nawet... oddam ją za ciebie,
Za słodycz twego jednego spojrzenia!
Ach, i gdyby w posagu
Płynęło za nią wszystkie złoto Tagu,
Gdyby królestwo w niebie:
Oddałbym ją za ciebie!
Najmniejszych względów nie zyska odemnie,
Gdyby za tyle piękności i złota
Prosiła tylko, ażeby jej luby
Poświęcił małą cząstkę żywota,
Który dla ciebie całkiem poświęca daremnie!
Gdyby prosiła o rok, o pół roka,
Gdyby jedna z nią pieszczota,
Gdyby jedno mgnienie oka:
Nie chcę! nie! i na takie nie zezwolę śluby!

(Surowo)

A ty — sercem oziębłem, obojętną twarzą,
Wyrzekłaś słowo mej zguby,
I zapaliłaś niecne ogniska,

Któremi łańcuch wiążący nas pryska,
Które się wiecznem piekłem między nami żarzą,
Na moje wieczne męczarnie!
Zabiłaś mnie, zwodnico! Nieba cię ukarzą!
Sam ja... nie puszczę bezkarnie...
Idę, zadrżyjcie odmieńce!

(Dobywa sztylet i ze wściekłą ironią)

Błyskotkę niosę dla jasnych panów!
Ot, tym wina utoczę na ślubne toasty...
Ha! wyrodku niewiasty!
Śmiertelne ścisnę wkoło szyi twojej wieńce!
Idę, jak moję własność do piekła zagrabić,
Idę...

(Wstrzymuje się i zamyśla)

O nie, nie... nie... Żeby ją zabić,
Trzeba być trochę więcej, niż pierwszym z szatanów!
Precz to żelazo! *(Chowa)* Niech ją własna pamięć goni

(Ksiądz odchodzi)

Niech ją sumienia sztylety ranią;
Pójdę, lecz pójdę bez broni,
Pójdę tylko spójrzeć na nią.
W salach, gdzie te świecące od złota pijaki
Przy godowym huczą stole,
Ja w tej rozdartej sukni, z tym liściem na czole,
Wnijdę i stanę przy stole...
Zdziwiona zgraja od stołu powstała,
Przepijają do mnie zdrowiem,
Proszą mię siedzieć: ja stoję jak skała,
Ani słowa nie odpowiem.
Plączą się skoczne kręgi przy śpiewach i brzęku,

Prosi mię w taniec drużba godowa:
A ja z ręką na piersiach, z listkiem w drugim ręku,
Nie odpowiem ani słowa!
Wtem, ona z swoim anielskim urokiem:
Gościu mój, rzecze, pozwól, niech się dowiem,
Skąd przychodzisz, kto jesteś? — Ja nic nie odpowiem;
Tylko na nią cisnę okiem,
Ha, okiem! okiem jadowitej żmije:
Całe piekło z mych piersi przywołam do oka;
Niech będzie ślepą, martwą jak opoka:
Na wskroś okiem przebiję!
Wgryzę się, jak piekielny dym, pod jej powieki,
I w głowie utkwię na wieki;
Będę jej myśli czyste przez cały dzień brudził,
I w nocy ją ze snu budził.

(Powolniej, z czułością)

A ona tak jest czuła, tak łacno dotkliwa,
Jako na trawce wiosenne puchy,
Które lada zefiru zwiewają podmuchy,
I lada rosa obrywa.
Każde wzruszenie moje natychmiast ją wzruszy,
Każdy przyostry wyraz zadraśnie;
Od cienia smutku mego jej wesołość gaśnie:
Tak znaliśmy nawzajem czucia wspólnej duszy,
Co jedno pomyśliło, już drugie odgadło.
Całą istnością połączeni ścisło,
Spojrzawszy tylko na twarzy zwierciadło,
Serce nasze jak w czystym widzieliśmy stoku.
Jakie tylko uczucie na mych oczach błysło,
Natychmiast lotem promyka
Aż do jej serca przenika
I napowrót błyszczy w oku.

Ach tak! tak ją kochałem!... Pójdęż teraz trwożyć,
I na kochanka larwę potępieńca włożyć?
Poco? czego chcę od niej? O, zazdrości podła!
I jakież są jej grzechy?
Czyli mię słówkiem dwuznacznem podwiodła?
Czy wabiącemi łowiła uśmiechy?
Albo kłamliwe układała lice?
I gdzież są jej przysięgi, jakie obietnice?
Miałemże od niej choć przez sen nadzieję?
Nie! nie! sam urojone żywiłem mamidła,
Sam przyprawiłem jady, od których szaleję!
Pocóż ta wściekłość? jakie do niej prawa?
Co za moją wzgardzoną przemawia osobą?
Gdzie wielkie cnoty? świetne czyny? sława?
Nic! nic! ach, jednę miłość mam za sobą!
Znam to; nigdym śmiałemi nie zgrzeszył zapędy,
Nie prosiłem, żeby była mnie wzajemną:
Prosiłem tylko o maleńkie względy,
Tylko żeby była ze mną,
Choćby, jak krewna z krewnym, jak siostrzyczka
Bóg świadkiem, przestałbym na tem! [z bratem:
Gdybym mówił: widzę ją, widziałem ją wczora,
I jutro widzieć będę:
Z nią zrana, w dzień koło niej, koło niej z wieczora,
Oddam pierwszy dzień dobry, u stołu z nią siędę:
Ach, jak byłbym szczęśliwy!

(Po pauzie)

Zapędzam się marnie:
Ty pod zazdrośnych oczu, chytrych żądeł strażą!
Ani obaczyć nie wolno bezkarnie!
Pożegnać, porzucić każą...
Umrzeć!... *(Z żalem)* kamienni ludzie! wy nie
Jak ciężka śmierć pustelnika! [wiecie,

Konając, patrzy na świat, sam jeden na świecie;
Dłoń mu przychylna powiek nie zamyka,
Żałobne grono łoża nie otoczy,
Nikt nie pójdzie za trumną do wieczności domu,
Garsteczki piasku nie rzuci na oczy,
Zapłakać niemasz komu!
O, gdybym mógł choć przez sen pokazać się tobie,
Gdybyś, na mojej pamiątkę męki,
Jeden przynajmniej dzionek chodziła w żałobie,
Przypięła jedną czarną wstążkę do sukienki!...
Może spojrzysz ukradkiem... i łezka boleści...
I pomyślisz westchnąwszy: ach, on mię tak kochał!

(Z dziką ironią)

Stój, stój, żałosne pisklę! precz wrzasku niewieści!
Będęż, jak dziecko szczęścia, umierając szlochał?
Wszystko mi, wszystko niebiosa wydarły,
Lecz reszty dumy nie mogą odebrać!
Żywy, o nic przed nikim nie umiałem żebrać,
Żebrać litości nie będę umarły!

(Z determinacyą)

Rób, co chcesz: jesteś woli swojej panią,
Zapomnij!... ja zapomnę!

(Pomieszany)

Wszak już zapomniałem?

(Zamyślony)

Jej rysy... coraz ciemniej... tak już się zatarły!
Już ogarniony wieczności otchłanią,
Doczesnym pogardzam szałem...

(Pauza)

Ach, wzdycham! Czegóż wzdycham? Ha, westchną-
Nie! nie mogę zapomnieć o niej i umarły! [łem za nią...
Wszakże ją widzę. wszak tu, o tu stoi,
Płacze nademną... jaka łezka szczera!

(Z żalem)

Płacz, moja luba! twój Gustaw umiera!

(Z determinacyą)

No, dalej, śmiało Gustawie!

(Podnosi sztylet)

(Z żalem)

Nie bój się, luba, on się nic nie boi!
Czego żałujesz? On nic z sobą nie zabiera!
Tak! Wszystko, wszystko tobie zostawię,
Zostawię życie, i świat i rozkosze,

(Z wściekłością)

I twego!... wszystko... o nic... ani łzy nie proszę

(Do księdza, który wchodzi ze służącemi)

Słuchaj ty... jeśli kiedy obaczy...

(Z obłąkaniem i wzmagającą się gwałtownością)

Pewna nadludzka dziewica... kobieta,
I jeśli ciebie zapyta,
Z czego umarłem? nie mów, że z rozpaczy;
Powiedz, że byłem zawsze rumiany, wesoły,
Żem ani wspomniał nigdy o kochance,
Że sobie grałem w karty, piłem z przyjacioły...
Że ta pijatyka... tańce...
Że mi się w tańcu... ot *(uderza nogą)* skręciła noga...
Z tego umarłem...

(Przebija się).

STEFAN WITWICKI
(1800—1847).

CZARY.

To są czary, pewno czary,
Coś dziwnego w tem się święci,
Dobrze mówi ojciec stary:
Robię — gadam — bez pamięci!

W każdem miejscu, każdą dobą,
Idę w lasy, czyli w jary:
Zawsze widzę ją przed sobą...
To są czary istne czary!

Czy pogoda sprawia ciszę,
Czy wiatr łamie drzew konary:
Zawsze, wszędzie głos jej słyszę!
O! to pewno, pewno czary!

W dzień się myślą przy niej stawię,
W nocy kształt jej biorą mary:
Ona przy mnie w snach, na jawie...
Jestem pewien, że to czary!

Gdy z nią śpiewam — czuję trwogę,
Gdy odejdzie — żal bez miary;
Chcę być wesół i nie mogę...
Ani wątpić, że to czary!

Na to miłe słówko rzekła,
Przywabiła mnie do domu,
By zdradziła, by urzekła...
Ufajże tu teraz komu!

SEWERYN GOSZCZYŃSKI
(1801 – 1876).

ROZPACZ POLKI.

(Duma).

Noc świat odziała, gwiazdy nie świecą,
Płynie wiatrami tuman wilgotny,
W polu, przy drodze stoi krzyż samotny,
Stoi pod krzyżem młodzian z dziewicą.

Konik młodzieńca na bój poryża,
Serce młodzieńca na bój kołacze,
Łzami cichemi dziewczyna płacze,
Cichą boleścią żegna żołnierza:

— „Żegnam cię, luby! Jedź już, jedź sobie,
Ten krzyż, co dzisiaj nas błogosławi,
W każdej mi chwili twój los objawi,
Jeśli ty zginiesz, ja wiem, co zrobię.“ —

I wsteczną drogą znikli oboje —
Tylko krzyż został sam i milczący,
Wznosząc, jak ojciec błogosławiący,
Ściągnięte ku nim ramiona swoje.

Noc świat odziała, gwiazdy nie świecą,
Płynie wiatrami tuman wilgotny —
W polu, przy drodze tkwi krzyż samotny,
Widać pod krzyżem postać kobiecą.

— „Droga bezludna, chaty dalekie,
Pustka wokoło, wokoło głusza...

Tak pusta, głucha i moja dusza —
Przyjmij mię, krzyżu, w twoją opiekę.

— „Jam taka sama! — Z owym wieczorem,
Kiedy się życie nasze rozdarło,
Wszystko mi na tym świecie umarło:
Całemu światu jestem upiorem.

— „Sam mię porzucił, mroczy się głowa,
Dusza, jak puszcza, co granic nie ma:
Nic nie urodzi, nic nie zatrzyma,
Lub, jak do grobu, wszystko pochowa.

— „W próżne me serce czy boleść jęknie,
Czy śmiech wesela zabrzmi uciechą —
Takie im dzikie odpowie echo,
Ze swojej pustki samo się zlęknie.

— „Wszystko mię smuci, wszystko mię nuży:
Niebo i ziemia — cichość i wrzawa;
Wszystko i zewsząd mówić się zdawa:
Ty taka sama, a świat tak duży!

— „Równie samotny, równie cierpiący,
Chryste, ty widzisz, jak mój duch boli;
Zlituj się, Chryste, mojej niedoli!
Strumień łez moich taki gorący!“ —

Twarz Boska inne rysy przybrała —
Czarną krew sączy głowa strzaskana,
Czarną krew sączy śród piersi rana —
To twarz i postać lubego cała.

— „To on! — krzyknęła — A więc już zginął!
Dzięki Ci, Chryste! Teraz ja zrobię,
Com ślubowała w rozstania dobie!“
Poszła — i ślad jej nocą zapłynął.

Mrocznych wieczorów przeszło niemało —
Pod krzyż nie idzie nikt pokryjomu;
Dziewica znikła z rodziców domu,
Chrystus wie tylko, co się z nią stało.

Klęska zamknęła Polaków boje,
Polski potęga w świat rozpryskała —
Z ranami w duszy, z ranami ciała
Szli dwaj żołnierze w zagrody swoje.

Noc się spuszczała, gwiazdy nie świecą,
Płynie wiatrami tuman wilgotny —
W polu przy drodze tkwi krzyż samotny,
Pod krzyżem widać postać kobiecą.

Sparła na krzyżu strzaskane ciemię,
Białą sukienkę barwi krew skroni:
Wędrowcy chcieli przemówić do niej,
Postać pierzchnęła, poszła, jak w ziemię.

Był to duch tylko, szata niebianek —
Ciała jej szukaj na bitwy pola,
Tak Polce kończyć w serdecznym bolu,
Gdy za ojczyznę ginie kochanek.

J. B. ZALESKI
(1802—1886).

OCZAROWANY.

Trzy dni jeno żyłem och! przy niej,
Ale żyłem trzy dni te w niebie;
I przedumam wiek na pustyni,
A nie przyjdę nigdy do siebie.
O! nigdy nie będzie odmiany:
Bom oczarowany!

Rok za rokiem lecą mi lata,
Jak niemiłe — nieme — gdzieś ptaki!
Kraj za krajem zbiegłem pół świata;
Ale wszędzie pusty — nijaki.
O! nigdy nie będzie odmiany:
Bom oczarowany!

Krasawice — Boże swe kwiecie,
Ile wiosna co rok wyłoni;
Dla mnie jeden kwiatek na świecie,
Wszystkie — wszystkie insze bez woni.
O! nigdy nie będzie odmiany:
Bom oczarowany!

Jeśli na czas oczy ułudzę,
I wyciągnę ręcę ku łące;
O! nie dotknę kwiatów — bo cudze,
Jakieś mgławe, blade, kolące.
O! nigdy nie będzie odmiany:
Bom oczarowany!

Wiem, o jakiej godzinie wraca bólu fala,
Wiem, jaka ci rozmowa ludzi łzę wyciska.
Tyś mi widna, jak gwiazda, co się tam zapala
I łzę różową leje i skrą siną błyska.

A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać,
Znając twój dom i drzewa ogrodu i kwiaty,
Wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
Między jakiemi drzewy szukać białej szaty.

Ale ty próżno będziesz krajobrazy tworzyć,
Osrebrzać je księżycem i promienić świtem:
Nie wiesz, że trzeba niebo zwalić i położyć
Pod oknami i nazwać jeziora błękitem;

Potem jezioro z niebem dzielić na połowę,
W dzień zasłoną gór jasnych, w nocy skał szafirem;
Nie wiesz, jak włosem deszczu skałom wieńczyć
Jak je widzieć w księżycu odkreślone kirem. [głowę,

Nie wiesz, nad jaką górą wschodzi ta perełka,
Którąm wybrał dla ciebie za gwiazdeczkę-stróża;
Nie wiesz, że gdzieś daleko aż u gór podnóża,
Za jeziorem, dojrzałem dwa z okien światełka.

Przywykłem do nich, kocham te gwiazdy jeziora,
Ciemne mgłą oddalenia, od gwiazd nieba krwawsze;
Dziś je widzę, widziałem zapalone wczora,
Zawsze mi świecą — smutno i blado — lecz zawsze...

A ty wiecznie zagasłaś nad biednym tułaczem:
Lecz choć się nigdy, nigdzie połączyć nie mamy,
Zamilkniemy na chwilę i znów się wołamy,
Jak dwa smutne słowiki, co sie wabią płaczem.

STOKRÓTKI.

Miło po listku rwać niepełną stokroć
I rozkochanych słów różaniec cedzić,
Miło przy ludziach było raz powiedzieć,
Że się kochamy i mówić po stokroć.

Miło zabłądzić pod lipowe cienie
Z kwiatkami w ręku — i patrząc ukradkiem,
Wzajemnie mówić obrywanym kwiatkiem:
Kochasz!... i pani kochasz mnie szalenie...

Gdy nas różowa poróżniała sprzeczka,
A zgody ciągłe zabraniały świadki,
Pamiętasz, luba, jak te białe kwiatki,
Jeden mówił: nie — a drugi: troszeczka.

Dzisiaj samotny, dzisiaj bez nadziei
Błądząc po skałach, wszystkie moje smutki
Zbiegły się razem do białej stokrótki,
Co była siostrą stokrótek w alei.

Rwałem ją: listki leciały w błękicie
Aż na jezioro ze skały, gdziem siedział;
I wiesz, co listek ostatni powiedział? —
Luba, że jeszcze kochasz mnie nad życie.

PRZEKLEŃSTWO.

I.

Przeklęta! Ty wydarłaś ostatnie godziny
Szczęścia mego na ziemi; ty żądłem gadziny

Wygnałaś na samotność! Bądź wiecznie przeklęta!
Każdy mój jęk zna ciebie, każda łza pamięta.

II.

Bo kiedy nieszczęśliwy zaklinałem ciebie,
Abyś mi dała nieco przyjaźni i ciszy,
Toś ty mi łzy w powszednim podawała chlebie,
I jęcząc, z jękiem w sercu mówiłaś: — niech słyszy.

III.

Cierpiałem i uległem. Dziś samotny jestem,
Lecz wiedz, iż samotności okryty żałobą,
Oczy moje obracam za każdym szelestem,
Czekam — ale nie ciebie — tęsknię — nie za tobą.

IV.

Tej czekam omamiony, tej samotny płaczę,
Która mi była siostrą na wygnania ziemi —
Myśląc, że kiedyś duszy oczyma zobaczę
Tę, co w duszę oczyma patrzy anielskiemi.

V.

A nigdy serca mego nie umiała krwawić,
A tak się ze mną duszą i myślami dzieli,
Że już dziś sami Boscy nie wiedzą anieli,
Czy ją dla mnie potępić, czy mnie dla niej zbawić.

VI.

A ty! a ty, co lałaś żółciowe gorycze,
Skoro się otwierała serca mego rana,
O! gorzej niż przeklęta — widmo tajemnicze
Złej przeszłości... Przeklęta bądź! i zapomniana!

W SZWAJCARJI.

(Fragment).

Gaje! doliny! łąki i strumienie!
O nie pytajcie wy mię smutne o nią.
Są łzy, co mówić na zawsze zabronią.
A kiedy mówię, wpadam w zamyślenie;
I widzę jasne, błękitne spojrzenie,
Co się zaczyna nade mną litować,
I widzę usta, co mię chcą całować.
I drżę — i znów mię ogarną płomienie.
I nie wiem gdzie iść? i gdzie oczy schować?
I gdzie łzy ukryć? i gdzie być samotnym?
I staję blady i kreślę jej rysy:
Lub imię piszę na piasku wilgotnym;
Lub błądzę między róże i cyprysy,
Jak człowiek, który skarb drogi postrada,
Zmysły utracił i płacząc usiada
Tam, kędy urny na grobowcach siedzą;
Myśląc, że groby o niej co powiedzą.

Jest pod mojemi oknami fontanna
Co wiecznie jęczy zapłakanym szumem;
Jest jedno drzewo, gdzie harfowym tłumem
Żyją słowiki; jedna szyba szklana,
Gdzie co noc blada zaziera Dyanna,
I czoło moje smutnym blaskiem mami.
I tak mię budzą zalanego łzami,
To drzewo, księżyc ten, i ta fontanna,
I wstaję blady, przez okno wyzieram,
Słuchając różnych płaczów na dolinie.
Słowiki jęczą i fontanna płynie,
Mówią mi o niej — ja serce otwieram
I o śmierć prędką modlę się z rozpaczą,

I schnę, i więdnę — i ach, nie umieram...
I, co dnia budząc mnie, fontanny płaczą.

Kiedy się myślą w przeszłości zagłębię,
Nie wiem, jak sobie jej postać malować?
Czy kiedy przyszła śpiącego całować,
Jak z roztwartemi skrzydłami gołębie?
Czy wtenczas kiedy uciekała trwożna?
Czy gdy na jedną ze mną księgi kartę
Wbijała oczy błękitne, otwarte,
Na każde moje spojrzenie ostrożna?
Czy kiedy wiejskim otoczona dworem
Chodziła gdyby zaklęta królowa?
Czy kiedy cicho uśnie pod jaworem?
Czy kiedy goni, czy kiedy się chowa
W księżyca blasku biała — lub wieczorem
Od Alp na śniegu różowych — różowa.

Skąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą,
Tam pójdę, aż za ciemnych skał krawędzie.
Spojrzę w lecące po niebie łabędzie,
I tam polecę, gdzie one polecą.
Bo i tu — i tam — za morzem — i wszędzie,
Gdzie tylko poszlę przed sobą myśl biedną,
Zawsze mi smutno, i wszędzie mi jedno;
I wszędzie mi źle — i wiem, że źle będzie.
Więc już nie myślę teraz, tylko o tem,
Gdzie wybrać miejsce na smutek łaskawe,
Miejsce, gdzie żaden duch nie trąci lotem
O moje serce rozdarte i krwawe;
Miejsce, gdzie księżyc przyjdzie aż pod ławę,
Idąc po fali... zaszeleści złotem,
I załaskocze tak duszę tajemnie,
Że stęskni — ocknie się i wyjdzie ze mnie.

KRYSTYNA
(KRÓL-DUCH«, RAPSOD III).
(Fragment).

Razu jednego głos mię Sulamitki
Zaleciał — dziwnie gorący i młody,
Z umysłu pewnie na wiatr wypuszczony
Przez jeden światłem gołębnik czerwony.

— »O! przyjdź! śpiewała, bo gołębi stadem
Wysyłam na wsze wiatry ognie moje;
O przyjdź! — z kwiatami czekam, z winogradem,
Na łonie białem złożę i upoję...
O przyjdź — miesiąca i złodzieja śladem,
A otwórz cicho, jak anioł podwoje,
A od miesiąca weź kluczy złotego,
Cicho jak ogień szeptaj — bo mię strzegą.

»Gwiazdy zliczyłam idące na niebie,
A ciebie nie ma, mój piękny i młody;
O! przyjdź, w płomieniach cała czekam ciebie,
Rajskieć gotuję kwiaty i jagody:
Jestem pierzchliwa, jako młode źrebię,
Jestem jak jagnię najsmaczniejsze z trzody,
Jak gołębica jestem nieobronna,
A jestem, jak kwiat rajski, cała wonna.

»Nie znajdziesz, czegom nie obiecywała,
Lecz obiecuję, czego dusza pragnie;
Przyjdź, a lichtarze złociste zapalę,
Zakadzę drogim, wonnym cynamonem,
A jeszcze jaśniej przez mych ust korale
I jeszcze śnieżniej zabłysnę ci łonem«.[1])

. . . .
. . . .

[1]) Strofa niedokończona.

I dalej szła pieśń taka w ogniach cała,
Kolor jawiąca w słowach doskonale,
Klejnoty oczu — białą perłę ciała,
Ust uśmiechnionych najżywsze korale...

ANIELA

(»BENIOWSKI«. PIEŚŃ PIERWSZA).

(Fragment).

. . . . . Więc na progu stała
Panna Aniela prosta, dumna, czysta,
Dla zalotników zwyczajnych jak skała;
Z czego kochanek wybrany korzysta.
Albowiem nigdy nie kokietowała
Dlatego tylko, aby mieć ze trzysta
Kornych kochanków pod wachlarza trzonkiem,
Z których by żaden nie chciał być małżonkiem.

Lecz u Polaków tak! — Ciągną jak słomki
Za oczkiem jakiej Marysi lub Wandy,
Która im różne rozdaje przydomki,
A wiosną listkiem cyprysu, lewandy,
Z nimi w zielone gra, lub wiąże słomki,
Lub wędkę rzuca w te rybek girlandy,
Które za każdym wody pluskiem płyną,
Skosztują — haczyk obaczą — i miną.

Lecz u Polaków tak — widziałem całe
Przy jednej pannie gimnazya, licea;
Ta miała często rączęta nie białe,
A złość tak wielką w sercu jak Medea,
A zaś korzyści z tych miłości małe,
I małe bardzo na później trofea.

Rozdarły wiele włosów, łez, podwiązek:
Żadna nie weszła stąd w małżeński związek.
A stąd przestroga, że takie zbiorowe
Miłoście, nie są w miłości nie warte;
Że lepiej serce zawrócić, niż głowę;
Serca w miłości bowiem są uparte,
Choć głowy stokroć bardziej romansowe,
I stokroć bardziej ogniście zażarte;
I często widząc, że na świecie źle tym,
Z rozpaczy kończą tak, jak Werter w Götym.

Więc z drugiej strony w tem jest kompensacya
Dla tych, co dzisiaj są staremi panny,
Gdy na rozstajnej drodze jaka stacya,
I kamień i trup w białą czaszkę ranny,
Świadczą — że każda z nich, jako akacya
Okryta słodkim kwiatem w czas poranny,
Brzęczała w koło pszczół zalotnych wieńcem,
I ma kochanka w piekle potępieńcem.

Takim sposobem, wnet jest heroiną,
I poeci ją rymami zaszczycą:
Już jej nie nazwie nikt w pieśni dziewczyną,
Lecz musi nazwać posępnie dziewicą,
A kochanek jej jak Fingal lub Ryno,
W chmurach skłębionych igra z błyskawicą,
I śpiewa wichrom piekielny tryolet,
Mając łzy w oczach — a w ręku pistolet.

Ale to nie był los panny Anieli.
Chociaż tak piękna, jak żadna śmiertelna,
Zbliżyć się ludzie i kochać nie śmieli.
Została dumna i nieskazitelna.
Chodziła jako łabędź lub anieli,
Kołysząc się na giętkiej stopie — strzelna

Nie była swemi źrenicami — zgoła! —
Lecz oczy czarne jej, paliły czoła.
Włosy jej długie, krucze, w róg zwinięte,
Ciężyły głowie swą jedwabną wagą.
Ta sama głowa miała kształty święte,
I uświęcone snycerską powagą.
Smukłe, ku plecom w okrągłość ściągnięte. —
Ktokolwiek widział marmurową, nagą
Florencką Wenus, nie weźmie za fraszki
Tego — co mówię tu, o formie czaszki.

Jak owe jaje, w którem kiedyś Leda
Powiła syna Bogu łabędziowi —
Jak? — dzisiaj się to wytłomaczyć nie da
Przez żaden nowszy cud katolikowi;
A gdym tłomaczył, to panna Praxeda
Święta — Aniołek jezuicki, wdowi,
Jak na kazaniu siedziała sanskryckim,
A potem dała mi w sam łeb — Witwickim.

Więc dziękowałem Bogu, że z pod prasy
Nie wyszło jeszcze sześć psalmów Bojana,
Bobym te wszystkie katolickie kwasy
Miał na łbie, wszystkie sześć — bo ta kochana
Panna Praxeda, gdy chodzi w zapasy
I chce traktować kogo jak szatana:
Co ma pod ręką katolickich wieszczy,
Rzuca na głowę i bije i wrzeszczy.

Podziękowawszy więc Bogu, że tylko
Dostałem złotym Ołtarzykiem — który
Każdą klamerką mię ukłuł, jak szpilką;
Na niedźwiadkowe się bowiem pazury
Zamyka. — Czemże jest ból? Jedną chwilką!
Jak mówią w „Dziadach“ Mickiewicza chóry.

Podziękowawszy za chwilki chwilowość,
Wpadam w opisy znów i w romansowość.
Aniela miała cudną postawę,
W noszeniu głowy cudną lekkość — włosy
A l'antique — barwy troszeczka bladawe,
Oczy skier pełne, teraz pełne rosy,
Smutne i twarzy kochanka ciekawe,
I pytające się o własne losy.
Jej ręka piękna, maleńka i biała
Za szorstką, silną biorąc rękę — drżała.

„Ty wyjeżdżałeś! tyś mi nie powiedział!
Ale me serce jest miłośnym szpiegiem.
Nie mów mi, że jest między nami przedział
Fortuny. — Jestem nad przepaści brzegiem:
Usiądź — opowiem — wszystko będziesz wiedział!
Nie strasz się tylko trudności szeregiem,
Nie strasz się! jesteś ludziom w poniewierce...
Lecz ja cię kocham jedna — ja mam serce.

„Straciłeś cały majątek? — i cóż mi
Majątek? ludzi sąd? — ja kocham ciebie!
Ja twego serca chcę — a nie twych dusz mi
Potrzeba — pójdę o żebranym chlebie.
Nie odpowiadaj mi na to, nie krusz mi
Serca — mój los już zapisany w niebie!
Ja kocham ciebie! w twojem sercu żyję,
Kto nas rozdzielić chce — ten mię zabije!

„Dzisiaj przyjechał Dzieduszycki z drogi,
Znów się oświadczył i o moją rękę
Prosił. — Mój ojciec stał się dla mnie srogi,
I guwernantka, jak na moją mękę,
Za ojcem trzyma. I ludzie i Bogi
Przeciwko nam są — i wuja Sosenkę

Przekabacili już na swoją stronę.
Płakałam — patrzaj — oczy mam czerwone.
„A tu, jak na złość! dla Dzieduszyckiego
Był bal. — Czy widzisz, jak jestem ubrana?
Musiałam ubrać się dla ojca mego
W ten księżyc — lecz ja dla mojego pana
Dla ciebie tylko, dla ciebie samego
Ubrałam się tak w kwiaty — po kolana.
Prawda, że dobrze mi tak bez zawoja? —
Ja nie ubrałam się dla nich — ja twoja!

„Lecz ty wyjeżdżał? gdzie? — O! ty, niewierny!
Gdyby nie Diwa, byłbyś już daleko.
Gdzieżeś ty jechał? — gdy mię ból niezmierny
Dręczy — kiedy mię przed ołtarze wleką,
Gdy nie zostaje nic, jak się w cysterny
Rzucić, lub twoją się zakryć opieką:
Tyś mię opuszczał w chwilę tak okrutną!
Ja przebaczyłam już — ale mi smutno.

„Czy ty nie ufasz, że ja zdołam jedna
Oprzeć się — zostać twoją? — ja nie płocha!
Ty nie wiesz, co to jest kobieta biedna,
Kiedy ją dręczą, kiedy mocno kocha —
Zgubi się — potem u wszystkich wyjedna
Łzy nad swem sercem zgubionem i trocha
Kwiatów i więcej też żadnej nie trzeba...
Cóż to? — Nie mówisz nic do mnie? — O! nieba!

„Myślałam, że ty mi dodasz nadziei". —
Tu wypuściła z rąk rękę kochanka —
„Myślałam, że ty w tej smutnej kolei" —
Tu blizko, szczęściem, stała z wodą szklanka,
Wzięła ją... drżące w szkło usteczka klei,
Ząbki o kryszłał dzwonią, jak kraszanka,

Kiedy się z drugą spotka w dziecka dłoni.
Rzekłbyś, że perła o dyjament dzwoni.
„Myślałam“. — Głos jej o jedną oktawę
Zniżył się i pękł, jak pęknięcie struny. —
Boleść złamała jej giętką postawę,
Myślałbyś, że się chyliła do truny,
Tak nawet małe usteczka jaskrawe
Zbladły, uczuwszy gorzkich łez piołuny.
Padła na krzesło i przez łzawe deszcze
Błysnął ostatni jęk — „Kochasz mię jeszcze?“

Beniowski już był na kolanach; w dłonie
Wziął drżącą rączkę Anieli... Tu proszę
Włożyć mi wieniec Petrarki na skronie;
Bo na tem pieśń zakończę i ogłoszę
Po dawnych wieszczów umarłych koronie
Czas bezkrólewia; pobuntuję kosze,
Krytyków kupię z Grabowskim prymasem,
Reszta owczarzy moja.

KŁĘBAMI DYMU NIECHAJ SIĘ OTOCZĘ...

„BENIOWSKI", PIEŚŃ IV, FRAGMENT).

Kłębami dymu niechaj się otoczę;
Niech o młodości pomarzę półsenny.
Czuję, jak pachną kochanki warkocze,
Widzę, jaki ma w oczach blask promienny.
Czuję znów smutki tęskne i prorocze,
Wtóruje mi znów, szumiąc, liść jesienny.
Napróżno serce truciznami poim!...
Kochanko pierwszych dni! — znów jestem twoim.

Patrzaj! powracam bez serca i sławy,
Jak obłąkany ptak i u nóg leżę.

O! nie lękaj się ty, że łabędź krwawy
I ma na piersiach rubinowe pierze.
Jam czysty! — głos mój wśród wichru i wrzawy
Słyszałaś... w równej zawsze strojny mierze...
U ciebie jednej on się łez spodziewał,
Ty wiesz, jak muszę cierpieć — abym śpiewał.

Idź nad strumienie, gdzie wianki koralów
Na twoje włosy kładła jarzębina;
Tam siądź i słuchaj tego wichru żalów,
Które daleka odnosi kraina;
I w pieśń się patrzaj tę — co jest z opalów,
A więcej kocha ludzi, niż przeklina.
I pomyśl, czy ja duszę mam powszedną?
Ja — co przebiegłszy świat — kochałem jedną.

Twój czar nademną trwa. — O! ileż razy
Na skałach i nad morzami bez końca
W oczach twój obraz, w uszach twe wyrazy,
A miłość twoją miałem nakształt słońca
W pamięci mojej! — Anioł twój bez skazy
Na moich piersiach spał — a łza gorąca
Nigdy mu jasnych skrzydeł nie splamiła:
Twa dusza znała to — i przychodziła.

W gajach, gdzie księżyc przez drzewa oliwne
Przegląda blado, jak słońce sumienia,
Chodziłem z tobą, jak dwie mary dziwne,
Jedna z marmuru, a druga z promienia;
Skrzydła nam wiatru nie były przeciwne,
I nie ruszały włosów i odzienia.
Między kolumny na niebie się kryśląc,
Staliśmy jak dwa sny — oboje — myśląc.

Z taką więc ciszą i z taką powagą,
Wejdziemy kiedyś w Elizejskie bory.
My, cośmy ziemię tę widzieli nagą,
Przez piękne niegdyś widzianą kolory.
Cośmy poznali, że nie jest odwagą
Rozpacznym czynem skończyć żywot chory;
Lecz uleczeni przez trucizn użycie,
Sercu zadawszy śmierć — znaleźli życie.

Pierwszy to i raz ostatni, o miła,
Mówię do ciebie. Jest to błyskawica,
Która ci chmurę posępną odkryła,
I boleść wyszła z niej jak nawałnica;
W twoim ogrodzie pustym będzie wyła,
Gdy księżyc pełny, jak srebrna różyca
Gmachów gotyckich, biały blask rozleje,
W te — gdzieśmy niegdyś chodzili — aleje.

Bądź zdrowa — odejść nie mogę, choć słyszę
Wołające mnie duchy w inną stronę,
Wiatr mną, jak ciemnym cyprysem, kołysze.
I z czoła mego podnosi zasłonę,
Z czoła, gdzie anioł jakiś skrami pisze
Wyrok łamiący mnie między stracone...
Ja czekam, krusząc wyroki okrutne...
Twe oczy patrzą na mnie — takie smutne! —

Bądź zdrowa! drugi raz cud się powtórzy —
Martwy, odemknę ci w grobie ramiona,
Kiedy ty przyjdziesz, do zbielałej róży
Podobna, zasnąć.—Dosyć! Pieśń skończona!
Oko się moje senne łzami mruży,
Róże uwiędły — czara wychylona
I pieśń gdzieś leci odemnie echowa...
Już pożegnałem cię — jeszcze bądź zdrowa!

KONSTANTY GASZYŃSKI
(1809—1866).

TĘSKNY.

Zasiałem zboże, zboże mi wschodzi,
Szczepiłem jabłoń, owoc się rodzi;
Każda mi praca
Hojnie odpłaca; —
A dziewczynę ukochałem,
A dziewczynie przysięgałem,
A nie jest moją Maryla,
A nie jest moją!

Pierwej w doliny zmienią się wzgórza
Pierwej zapachy utraci róża,
Ptaszkowie leśni
Zapomną pieśni,
Niż ta, którą ukochałem,
Niż ta, której przysięgałem,
Stanie się moją Maryla,
Stanie się moją!

Niech się więc inni bawią wesoło,
Nie dla mnie skoczne tancerzy koło,
Nie dla mnie trunek,
Choć mi frasunek;
Bo ta, którą ukochałem,
Bo ta której przysięgałem,
Nie będzie moją Maryla,
Nie będzie moją!

SIELANKA MŁODOŚCI.

I.

Panna była prześliczna, — z błękitnych jej oczek
Zaledwie że piętnasty uśmiechał się roczek.
Panicz, równy jej wiekiem, bywał nieustannie
W jej domu — i z rozkoszą siadywał przy Pannie.
Znosił koszyczki, kwiatów i jagódek pełne,
Pomagał zwijać w kłębki włóczkę i bawełnę —
Nad rysowaniem wzorków strawił nieraz dzionek,
Grywał z nią w gotowalnię, w mruczka i w pierścionek;
Przyjaźnił się z jej bratem, grzecznie gadał z matką,
A Pannie tysiąc fraszek opowiadał gładko.
Lecz często, kiedy czulszem ośmielon wejrzeniem
Chciał wyznać, jakim dla niej rozgorzał płomieniem,
Wnet mieszał się, głos tracił i słów mu nie stało:
Tak pod szkolnym mundurkiem biedne serce drżało!
Raz przecież postanowił, bądź co bądź wypadnie,
Oświadczenie miłości wyraził jej ładnie,
Lecz zamiast arcydzieła, co tak długo składał,
Rumieniąc się, oświadczył.. że deszcz będzie padał!
Panna miała dla niego zawsze wzroczek słodki,
Gdy on przy niej, — to ciągle piosnki i chichotki —
A kiedy przez czas jakiś nie widać Panicza,
To jej coś, jakby smutek wyglądał z oblicza;
Siadała przy krosienkach, nie mówiąc i słówka,
I skarżyła się mamie, że ją boli główka!
Tak żyli blizko siebie jak na cichej łące,
Skryte w cieniu dwa drobne fijołki woniące —
A wokół nich krążyły w domu szeptów roje,
Że się Panicz i Panna kochali oboje!
Była to pierwsza miłość, niewinna, milcząca,
Święta — jak przed ołtarzem lampa gorejąca —

Bez zalotnych uśmiechów, bez słówek ponętnych,
Bez wyrzutów zazdrości i przysiąg namiętnych!
Ale gdy się ich oczy napotkały razem,
To wnet lgnęły do siebie, jak magnes z żelazem.
Radeby tak pozostać przez miesiące — lata,
I tak patrzeć ku sobie... do skończenia świata!
O! bo ich dusze, zbiegłe po źrenic promyku,
Wiodły czułe rozmowy w bezsłownym języku,
A wrzących uczuć potok, tajonych tak długo,
Przeciekał z serca w serce niewidzialną strugą
I tworzył im ocean — po którymby chcieli
W łódce o złotych wiosłach pływać jak anieli!
Lub jak samotna para śnieżystych łabędzi
Kołysać się na falach, gdzie je wiatr popędzi —
I żyć zdala od brzegów... do skończenia świata!
— Tak im błogo schodziły różane ich lata.

II.

Raz, w cieniu lip, przed dworem, w jesiennym
[poranku,
Młody Panicz i Panna rozmawiali w ganku
O pogodzie, o słońcu — a potem o zgonie
Prześlicznego jaśminu, co uschnął w wazonie. —
Potem o czemś weselszem — o zwycięskiej walce
Kota Filusia z psami — a w końcu o lalce;
Bo zapomniałem wspomnieć, że śród pogadanki
Panna stroiła lalkę dla młodej krewnianki. —
Gotów był cały ubiór od stóp aż do głowy:
Trzewiczki — biała suknia — kapelusz różowy
I fartuszek niebieski, jak modniarki oczy —
Brakło tylko na główce puklów i warkoczy.
Skąd wiąć ich? Łatwa rada. Z uśmiechem prostoty

Panna zdjęła z grzebienia ciemnych włosów sploty,
Westchnęła nad ofiarą — zgrzytnęły nożyczki —
I upadł lśniąsy kosmyk u stóp ofiarniczki.
O, jakże była piękną, gdy po szyi białej
Tych brunatnych pierścieni fale się rozlały
I, spadając na piersi kaskadą ogromną,
Stroiły w czar zalotny tę postać tak skromną!
O! była to Syrena albo Nimfa grecka,
Lecz z czystością anioła i szczerotą dziecka!

Panicz patrzył milczący, gdy drobne jej palce
Ciemne loczki nad czołem przypinały lalce.
A kiedy już warkoczyk spłotła do połowy,
Znów wrócił do przerwanej przed chwilą rozmowy
Dowodząc, że to szkoda i myśl desperacka
Dawać tak piękne włosy na dziecinne cacka;
Że lalce na nic skarb ten nie może się przydać,
Bo pod kapelusikiem warkocza nie widać!
A wzrokiem mówił czulej: »Jest ktoś przy twym boku,
Co o takiej plecionce marzy już od roku,
Coby o ten podarek na kolanach żebrał,
Coby go kosztem życia z cudzych rąk odebrał,
Jak cudowny talizman na piersiach umieścił,
Biciem serca kołysał, całunkami pieścił!«

Panna patrząc z pod oka, choć pracą zajęta,
Zrozumiała zapewne nieme argumenta,
Bo jej lica rozkwitły purpurowym blaskiem. —

Wtem okno od salonu otwarło się z trzaskiem
I głos matki się ozwał: »Chodźno, moja rybko!«
Panna rzuciła wszystko i pobiegła szybko.

I sam Katon by upadł w tych pokus przepaście,
Zwłaszcza, gdyby się kochał i miał lat szesnaście!
Nasz Panicz, nowy Tantal, widząc koniec męki,

Zostawioną plecionkę do drżącej wziął ręki.
Był sam — żadne go śledcze nie trwożyło oko,
Więc do ust ją przycisnął i westchnął głęboko;
Ale gdy zaczął tonąć w morzu zadumanek,
Panna jak hyży ptaszek znów wbiegła na ganek.
Ocknął się pomieszany — lecz czuł, że w tej chwili
Los przyjazny ku niemu szalę szczęścia chyli;
Zebrał całą odwagę — a miał jej nie dosyć —
I rzekł skromnie: »Ja chciałbym... Panią... o coś [prosić«.
— »O cóż?« — »O podarunek«. — »Dał mi pan [frasunek,
Bo trzeba jeszcze wiedzieć jaki podarunek!«
—»Zaręczam, że ta sprawa nie skończy się sprzeczką,
Niech tylko Pani powie maleńkie słóweczko:
Daruję!« — »No, daruję!« z uśmiechem odrzekła.
On pokazał plecionkę — ona raka spiekła —
Zdziwiona, przerażona, drżąca przed nim stała,
Cofać słowa nie śmiała — a może nie chciała;
A Panicz, wyczerpnąwszy cały zasób męstwa,
Zamilkł, jakby się wstydził zdradnego zwycięstwa.
Dopiero gdy ich oczy spotkały się razem
I zlepiły się, zrosły jak magnes z żelazem,
Zabrzmiały w strunach serc ich zmarłe w ustach
Wyrzuty—przebaczenia—skargi i podzięki [dźwięki:
I przysięgi karmione a tajone w łonie,
Wierności aż do zgonu — wierności po zgonie!..
I znów zaczęli gadać o słońcu, pogodzie,
I o ślicznym jaśminie, co uschnął w ogrodzie —
Potem inne, weselsze toczyli rozmowy,
Lecz o lalki warkoczu nie było już mowy.

Któż był kiedy szczęśliwszym, dziwnych zdarzeń bie-
Czy Aleksander Wielki ponad Indu brzegiem? [giem:

Czy Cezar, gdy bogowie na błoniach Farsali
Z tryumfem nad Pompejem rząd świata mu dali?
Napoleon, gdy pragnąc uwiecznić swe plemię
Ujrzał syna dziedzica w rzymskim dyjademie?
O! nie!—radość zdobywców dumna a zwodnicza,
Nie może się porównać z radością Panicza; —
On marzył, że się w niebie z aniołami brata,
Że dzierżąc promyk włosów, dzierży berło świata!
Panicz był rad i wesół i humor miał złoty,
Cały dzień sypał żarty i broił pustoty,
Uśmiechał się, przymilał, jakby chciał do łona
Wszystkich ludzi przycisnąć w braterskie ramiona!—
Panna uradowana miała wzroczek słodki;
Po całym domu brzmiały piosnki i chichotki —
Aż matka powtórzyła raz, drugi i trzeci:
»Jakże się też to dzisiaj rozigrały dzieci!«

III.

Trudno zmienić bieg rzeczy na ziemskim padole;
Panicz, choć dziarski młodzian, był studentem [w szkole
A Panna rówienniczka, w siedemnastym roku,
Wyrosła na kobietę tak pełną uroku,
Że aż w najdalsze strony rozbiegły się wieści
O tej niedorównanej urodzie niewieściej!
Niebawem też gość obcy, nieznany nikomu,
Pojawił się znienacka w rodzicielskim domu.
Był to Pan już niemłody, lecz grzeczny, układny,
Posiadał zacne imię i majątek ładny,
Przywiózł list polecalny od krewnych Jejmości
I zaczął prawić Pannie tysiąc uprzejmości!
Ojciec po krótkich zwiadach wykrzyknął radośnie,

Że z takim zięciem honor jego domu rośnie,
Że to partya wyborna; — a matka dodała,
Że córka przy pieniądzach będzie szczęście miała!
Spisano kontrakt — gości zjechało się wiele —
Odbył się ślub, biesiada i huczne wesele;
Potem wsiedli do kocza — stangret trzasnął z bicza
I uniósł w kłębach kurzu złoty sen Panicza!

. . . .

Panicza, który zdala — śród murów stolicy —
Nieświadomy o niczem — przy szkolnej ławicy
Czas wolny od nauki na marzeniach trwonił,
Za modremi oczkami tęskną myślą gonił,
Licząc, że za sześć niedziel znów je odzobaczy;
— Gdy wieść ślubu nań padła jak piorun rozpaczy!

IV.

Czy Panna, kornej córki pełniąc obowiązek,
Przyzwoliła bez gwałtu na ten nagły związek?
Czy w białych ślubnych szatach pod mirtowym wian-
Płakała choć chwilę za młodym kochankiem? [kiem,
Trudno wiedzieć; bo Panicz, po tych burz przebyciu,
Już jej nigdzie i nigdy nie napotkał w życiu.
Znikła, gdzieś aż w dalekie uwieziona Tatry —
Zgasła, jak droga perła w czarze Kleopatry!

. . . .

Lecz Panicz zaznał wówczas mąk najsroższe
[piekło,
I wiele łez mu gorzkich po licach pociekło, —
Gdy zamiast marzeń jego postaci uroczej,
Czarne widmo nieszczęścia zajrzało mu w oczy!
Wybladł, znędzniał, jakgdyby chorobą złamany;
A po nocach układał najszaleńsze plany:

Rzucić szkoły, iść pieszo w nieznajome strony,
Dopóki nie odnajdzie swojej ulubionej —
Wyrwać ją z rąk tyrana z pod strażników tłuszczy,
Osiedlić się we dwoje na bezludnej puszczy,
Ulepić chatkę z gliny, otoczyć ogrodem,
I żyć z nią korzonkami, owocem i miodem!
To znów myśl mu straszniejsza do mózgu się
[wdziera...
— A właśnie miał pistolet i czytał Wertera! —
Szczęściem, że i »Ołtarzyk złoty« czytał co dnia,
I czuł, że samobójstwo to hańba i zbrodnia!

. . . .

Tak wiara i zajęcie około prac dziennych
Spędzały szał wylęgły śród nocy bezsennych —
A czas zwolna, lecz ciągle niósł mu ukojenie,
Zmieniając rozpacz w smutek—a smutek w wspo-
[mnienie!

V.

W rok dopiero—choć jeszcze cierpieniem nękany—
Nawiedził Panicz dworu sąsiedzkiego ściany.
A że bawiąc w gościnie, twarz posępna—grzechem,
Musiał więc łzy obsłaniać kłamanym uśmiechem,
A słuchać opowiadań, jak córka szczęśliwa,
Jakie zięć ma intraty za wełnę i żniwa,
Ile w stajniach rży koni słynnych krwią i rasą,
I jakie trzody owiec po halach się pasą!
— Kochankowi, poecie — dawano do picia
Kropelka po kropelce wszystką prozę życia!
Ten dom, który mu dawniej był niebem ma-
[lutkiem,
Który witał z radością, a opuszczał z smutkiem—
Dokąd z dali myśl jego tęskliwa i cicha

Biegła, jak złota pszczółka do lilji kielicha —
Ten dom, z całym pamiątek przeszłości zasobem,
O, jakże mu się wydał pustynią i grobem!
W ogrodzie, tak jak dawniej, krocie było
[kwiatków —
Lecz Panicz próżno szukał dwóch modrych bła-
[watków,
Które tu — w błogich chwilach miłości zarannej —
Wykwitały ku niemu z ciemnych rzęsów Panny!
W klombach tysiące ptasząt kwiliło wśród drzewek,
Lecz nie było w tym chórze tego ptaszka śpiewek,
Którego on się tyle w tych miejscach nasłuchał—
Co tak słodko szczebiotał, tak ponętnie gruchał!
O! dla innych dziś oczu modrzały bławatki!
A ptaszek może zamilkł śród złoconej klatki!
W ganku, w domu, w ogrodzie — tylko się
[wznosiły
W cmentarzu jego szczęścia zmarłych snów mogiły!
Więc je żegnał westchnieniem i łzawą powieką...
. . . .
I wkrótce los go poniósł daleko... daleko!

VI.

O! stare to już dzieje!... W dalszych, długich latach
Ów Panicz stąpał częściej po cierniach niż kwiatach.
Niejedna odtąd miłość namiętna, lub czuła,
Upoiła go szczęściem — smutkami zatruła!
I poznał serc niewieścich balsamy i jady,
Anielskie poświęcenia i piekielne zdrady —
Bo na ścieżce żywota w ciągłym niepokoju
Pił do syta z cierpkiego doświadczenia zdroju!

Przecież dotąd w Panicza poranionem łonie
Niewygasły wspominek młodych uczuć płonie!
Burza światowych wichrów dątąd nie rozwiała
Tej woni — którą niegdyś duszę mu zalała
Pierwsza miłość niewinna, cicha i milcząca,
Święta — jak przed ołtarzem lampa gorejąca!

Dziś samotny wędrowiec po szerokim świecie,
Gdy go boleść duchowa lub cielesna gniecie,
Szukając ulgi mękom, o! ileż to razy
Wywołuje pamięcią przeszłości obrazy —
I marzy, jak mu było hożo i radośnie
W niepowrotnej, w różanej, w złotej życia wiośnie!
Jak po szkolnych mozołach powracał z uciechą
Na wiejski odpoczynek pod rodzinną strzechą.
Jak konno pędził w pola, z fuzyjką po borach;
Jak jeździł po pokrewnych i sąsiedzkich dworach.
Jaki czuł zachwyt, urok i raj nieustanny,
Gdy rumieniąc się, patrzył w modre oczka Panny!
Gdy niczego już więcej nie pragnąc od losów,
Tulił do ust i serca plecionkę z jej włosów;
Gdy żyli blizko siebie, jak na cichej łące,
Skryte w cieniu dwa drobne fijołki woniące!

GUSTAW ZIELIŃSKI
(1809—1881).

NIE MOGĘ BYĆ TWOJĄ.

Jakoś się przypadkiem
Okno otworzyło;
Prócz doniczki z kwiatkiem
Nic w oknie nie było.
Ktoś trącił doniczkę,
Księżyc błysł w obłoku,
Oświecił twarzyczkę,
W niej łezkę na oku.

Wtem z dalekiej strony
Ktoś pędzi na koniu,
Sadzi przez zagony
Aż tętni po błoniu;
Stanął przy okienku,
Dał znak, skłonił głowę,
I po cichuteńku
Rozpoczął rozmowę:

»Witaj, moja miła«.
»Witaj, mój jedyny«.
»Czyś za mną tęskniła?«
»W łzach pędzę godziny«.
»Łzy, co smutek roni,
Czyż się nie ukoją?«
»Matka kochać broni.
Nie mogę być twoją«.

»O luba! któż ciebie,
Któż ciebie wzajemnie
Na ziemi, na niebie
Ukocha nademnie?
Płoną moje tchnienia,
Więdną dni me błogie...«
»Dzielę twe ciepienia,
Twoją być nie mogę...«

»I za cóż, mój Boże,
Tyle cierpień znoszę?...
O luba! ja może
Ostatni raz proszę,
Bo z jutrznią różową
Daleką mam drogę...«
»Ach! nie jedź, daj słowo,
Wszak twoją być mogę!...«

Księżyc nic dobrego,
Wyjrzał z za obłoku,
Oj! śmiał się z młodego
I z łezki na oku;
Co dostrzegł z jej lica,
Co odgadł w rozmowie,
Spytajcie księżyca,
Najlepiej wam powie.

ZYGMUNT KRASIŃSKI
(1812—1859).

WZYWAM CIĘ...

Wzywam cię w boskiej wspomnienia godzinie,
Stań tu przede mną — nim ta chwila minie —
Stań tu przede mną — lecz, jak wtedy, cała
Lekkiemi szaty błękitna i biała,
Z dumy ponurem na ustach znamieniem,
Z smutku na czole niewymownym cieniem,
Piękna w tym smutku i dumie zarazem —
Napół stworzona potęgi obrazem,
Napół nieszczęścia! O, stań tu przedemną,
W tej samej chwili, raz jeszcze bądź ze mną,
Niech głos twój słyszę, niech ujrzę twą postać,
Choćbym miał potem w wiecznym szale zostać
I wołać wiecznie: »Gdzie ona? gdzie ona,
Ta cudna moja — ta moja stracona?!«

JA CIĘ NIE ŻEGNAM...

Ja cię nie żegnam. — Przez to, co świętego
Czczę na tej ziemi, przez cześć kraju mego,
Nie żegnam ciebie — przez Boga żywego,
Nie żegnam ciebie — chyba z fali szumnej
Wyrośnie dla mnie płynne wieko trumny,
Chyba mnie porwą i pójdę, okuty,
W zamarzłą wiecznych męczarni krainę
Znieść karę za to, żem jedną miał winę:
Że z czci nie byłem — jak podli — wyzuty!
Lecz się nie lękaj! Mam stróża-anioła,

Mam gwiazdę moją — miłość twą — na niebie,
I choć mnie gwałtem los dziś w drogę woła,
Ja cię nie żegnam, bo wrócę do ciebie!

Ściśnij mi rękę, jak codzień bywało,
Gdyś mnie na krótką chwilę porzucała,
Wiedząc, żeś do mnie wnet powrócić miała —
Ni myśl, żem zniknął — bo ze mnie zostało
Przy tobie wszystko, co godne miłości,
Lecz co nas zspala w nieśmiertelnych dwoje —
To, co nie z prochu — ty wiesz: serce moje

DWIE PIOSNKI.

I.

Od łez moich się zaduszę!
Ja ci dałem całą duszę,
A dziś w drogę jechać muszę!
Ja tak cię kochałem!
Ach, rozdział śmiercią — tak, jak śmierć rozdziałem!

Wczora jeszcze tak radośnie,
A dziś, patrzaj, tak nieznośnie!
Coraz gorzej żal mój rośnie —
Ja tak cię kochałem!
Ach, rozdział śmiercią — tak, jak śmierć rozdziałem.

Tam, gdzie jadę — pustki, ciemno,
Bo nie będzie ciebie ze mną,
Ty, aniele mój nademną!
Ja tak cię kochałem!
Ach, rozdział śmiercią — tak, jak śmierć rozdziałem!

Lecz, na Boga, ja powrócę,
Dni żałoby wolą skrócę
I pieśń szczęścia znów zanucę
Nowym natchnień szałem:
Ni rozdział śmiercią — nieśmierć jest rozdziałem.

II.

Rankiem, wieczorem na wyspy bezdroże
Patrzę samotna w skały — w niebo — w morze
I codzień mówię: »On dziś wróci może!«
Taki mój los!

Dni kilka tylko, lecz już cierpim wieki,
Odkąd tak czuwam z płaczem u powieki,
A on co chwila bardziej mi daleki.
Tak mnie przebił cios!

Czyż ptak się jaki nie wróci z oddali
Lub żagiel jaki nie błyśnie na fali,
O nim doniesie i mnie się użali?
Już czuję zgon!

Kiedyż on wróci? Czyż jeszcze dni wiele
Tak patrzeć bedę na smutne topiele?
O szepnij — szepnij mi stróżu-aniele:
»Wkrótce wróci on!«

ZAWSZE I WSZĘDZIE.

O, nie mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,
Że ciebie tylko goryczą zraniłem,
Bo ja goryczy kielich także piłem
Zawsze i wszędzie!

O, nie mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,
Że tobie tylko los życia przepsułem,
Bo własną dolę sam także zatrułem
Zawsze i wszędzie!

Ale mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,
Że Bóg jest dobry, że mnie schował w grobie,
Bo byłem sobie nieszczęsny i tobie
Zawsze i wszędzie!

Ale mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,
Żem żył na świecie dzikim serca szałem,
Bo z serca ciebie, choć gorzko, kochałem
Zawsze i wszędzie!

DO ELIZY.

Jam marzył niegdyś, żem na potęg szczycie,
Jam czuł się w natchnień nieskończonych niebie,
A jednak w niwecz przemarniłem życie
Dla tego tylko, żem nie kochał ciebie.

O, biada sercom, którym się wydaje,
Że grzechu żary młodości płomieniem —
Bo sperzynieją ich nieba i raje
I gorycz wieczna będzie im istnieniem!

O, biada sercom przenamiętnym — zginą!
Bo, choć i anioł zstąpi do ich doli,
Przyszłość ich struta, przeszłość ich jest winą
I samo szczęście anielskie je boli.

O, biada sercu mojemu, że żyło
O cierpkim, szału łzą zroszonym, chlebie!
Mów mi, jedyna dziś duszy mej siło,
Czemu ja dawniej nie kochałem ciebie?

Od twej urody szły jakby promienie —
Czemuś, w postaci już wyanielałem,
Świeciłaś oczom, jak świeci widzenie —
Czemuż ja dawniej ciebie nie kochałem?

Wyższy od ziemskich mętów nawałnicy,
Spokój przeczysty na twem czole białem
I przenajsłodsza rzewność w twej źrenicy —
Czemuż ja dawniej ciebie nie kochałem!

Lecz kiedy słyszysz ujarzmionych dzieje,
Wnet błyskawica mknie z ócz twych kryształów,
Każden rys twarzy twej bohatyrścieje —
Czemu ja dawniej ciebie nie kochałem!

Znać, duch twój bolem nieskończonym ranny,
Znać, dłońby twoja z świętym jęła szałem
Za miecz rycerskiej z Orleanu Panny —
Czemuż ja dawniej ciebie nie kochałem!

Hełm jejby przypadł do kręgu twych skroni,
Oko twe błysło jej ócz światłem całem,
Głos twój jej głosemby wołał: »Do broni!« —
Czemuż ja dawniej ciebie nie kochałem!

I tak, jak ona, szłabyś aż do końca,
Szłabyś, pod oszczerstw i krzywd ludzkich wałem,
Wciąż czysta, śmiała, ofiarna, milcząca —
Czemuż ja dawniej ciebie nie kochałem!

O, bądź mi odtąd przewodniczką bytu!
O, bądź mi odtąd piękna ideałem!
Truciznym życia napoił się do sytu,
A za to tylko, że cię nie kochałem!

Skarb moich potęg mi się rozpadł na nic,
Myśl się rozwiodła z natchnionym zapałem,
Jam zgasł i powiądł od smutków bez granic —
A za to tylko, że cię nie kochałem!

I nieraz patrzę rozpaczy oczyma
W mą przeszłość, trupim leżącą powałem,
Z której mi czynów nieśmiertelnych niema,
A za to tylko, że cię nie kochałem!

O, spojrzyj na mnie!—Tyś w górze,—ja w dole—
Niech śmierć nie będzie na zawsze mym działem,
Dłonią mi z czoła zdejm żywota bole,
Bo już na wieki ja cię ukochałem!

Za to, żeś duszą, z światłości uwianą,
Żeś cała sercem, prawdą zamieszkałem,
Żeś przenadobną i niepokalaną,
Ach, już na wieki ja cię ukochałem!

Za to, żeś wzgardą na pyszne oręzna,
A smętne kochasz czuciem wiecznotrwałem,
Żeś przeciw wrogów tchnień bożych ty mężna,
Ach, już na wieki ja cię ukochałem!

J. I. KRASZEWSKI
(1812—1887).

CZY POWRÓCI?

Matuleńku, on nie wróci,
On pojechał w obcą stronę,
On zapomni i porzuci,
Biedne dziewczę opuszczone!

Patrzę co wieczór na drogę,
Patrzę na drogę co ranka,
Czemu zapomnieć nie mogę,
Albo zobaczyć kochanka?!

Rano jemu zbieram kwiatki
Wieczór czekam na jagody,
I stoję na progu chatki,
Zawsze sama, tak jak wprzódy!

W nocy ledwie pies zaszczeka,
Zrywam się, szukam oczyma,
A serce bije i czeka,
A jego niema i niema!

Może jutro... Jutro wschodzi,
Ja biegnę znowu na drogę
I jutro całe przechodzi,
Doczekać się go nie mogę!

O święty stróżu aniele!
Doprowadź go przez bezdroże,
A ja ci w naszym kościele,
Wianek i świecę położę.

EDMUND WASILEWSKI
(1814—1846).

DO H...

»Bądź zdrów« — powiedz choć raz jeszcze,
Ja tobie powiem: »Bądź zdrowa!«
Już godziny brzmią złowieszcze,
»Bądź zdrów« — powiedz choć raz jeszcze!

Błoń życia smutna, jałowa,
Gdy oka w tobie nie pieszczę,
Bez »witam cię« i »bądź zdrowa«
Błoń życia smutna, jałowa.

Próżno, — piosnka ulatuje,
Jak jaśminu woń namiętna;
Samo tylko serce czuje,
Piosnka z wiatrem ulatuje.

Dusza moja więdnie smętna,
Skarży się, lecz nie żałuje;
Bo ta chwilka tak ponętna,
Choć w niej dusza więdnie smętna.

A co przyszłość mi wywróży?
Może zimną pościel w grobie?
Może... wszakże w każdej burzy
Człowiek o pogodzie wróży.

»Bądź zdrowa« — dziękuję tobie
Za pączek zatrutej róży;
Czy w radości, czy w żałobie,
Za wszystko dziękuję tobie.

ROZPACZ.

Dla mnie już wszystko umarło!...
I serce uczuć palących orkanem
Już się spaliło i starło!...
Myśl śmierci, jak ćma, usiadła
Na sercu boleścią starganem;
O! tam już gangrena się wkradła!...

Ja chciałem być kochankiem,
Kochałem bez granic!...
Pierś ognistym miłości opasałem wiankiem
byłbym oddał wszystko... za jedno nic.
To nic — dla mnie światem było!
Było Bogiem!.. a przecież to nic mię zabiło,
To nic — była kobieta z sercem lodowatem!...

Chciałem być przyjacielem tej kobiety, bratem;
Byłbym za jedno spojrzenie siostry
Oddał duszę — krew i ciało!
Przecież jej było i tego — zamało.
A więc dodam — sztylet ostry,
Tak ostry, zimny, jak dla mnie jej dłonie,
Zimny i obojętny, jak ma twarz po zgonie!

Krwią moją zbryzgam jej stopy!
Umrę rozkosznie, anielsko!...

Będzie pod stopą krew mą całe życie czuła,
Jakby jadowite zielsko!...
Tę krew, którą zatruła!...

Krew moja — zagra jej piosenką...
Śmierć moja błyśnie jej szczęścia jutrzenką!
Nie będę jej już nudził... i wiedzieć nie będzie,
Kiedy się zerwie nitka, którą piekło przędzie.

HENRYK JABŁOŃSKI
(1818—1869).

DUMKA.

W głos serdeczna dumka płynie,
    Tam moja jedyna.
A na tej tam Ukrainie
    Matka i rodzina.

Matka tęskno patrzy w pole
    Łzawemi oczyma:
Pusta droga na Podole...
    Ani wieści niema!

Ach! upłynie wody wiele,
    Miną lata, latka,
Zazieleni drogę ziele:
    Nim go ujrzy matka.

W głos serdeczna dumka płynie,
    Tam moja jedyna.
A na tej tam Ukrainie
    Matka i rodzina.

Miła tęskno patrzy w pole
    Czarnemi oczyma:
Pusta droga na Podole,
    Ani wieści niema.

Ach! upłynie wody wiele,
Minie czasu siła:
Zazieleni drogę ziele,
Nim go ujrzy miła.

Czarnobrewko, żal urody!
Taka wola boża:
Nie on jeden w świecie młody;
Tyś jak wiosna hoża.

Czarne oczy, kraśne lica,
Zaklną nie jednego.
Tobie szczęście, — a tęsknica
Dla niego, dla niego!

W głos serdeczna dumka płynie,
Tam moja jedyna.
A na tej tam Ukrainie,
Matka i rodzina.

Próżno czeka stara matka,
Próżno czeka miła:
W obcej ziemi miną latka,
Uściska mogiła!

GABRYELA (ŻMICHOWSKA)
(1819—1876).

IMPROWIZACYA.

Biedne było serce moje,
Gdy bez echa, w pierś samotną,
Uderzało przepełnione
Niepojętych pragnień krwią.

Wtedy wszędzie na tym świecie,
Na tym świecie tak szalonym,
Tak djabelsko wyzłoconym,
Że bierz tylko garścią pełną
Wody, ognia, krwi czy błota,
To się zawsze dojmiesz złota;
Na tym naszym pięknym świecie,
Tym jedynym, ukochanym,
Szachrującym, oszukanym,
Rozśmieszonym, rozpłakanym,
Całującym, wojującym,
Hulającym, stękającym...
No, czyż wiarę dać możecie:
Jam się nudził na tym świecie.

Z moich książek i kajetów,
Z wonnych kwiatów świeżych łąk,
Z łysin moich profesorów,
Z srebrnych chmurek na błękicie,

Nawet z szklanki i z talerza,
Nawet z grzywy klaczki mej —
Wszędzie, wszędzie przed mem okiem
Wychylała się straszliwa,
Żółta, blada, obrzydliwa,
Ziewająca, głupia, stara
Ta choroba — ta poczwara,
Co się... co się nudą zwie!...

I nie chciało mi się jeść,
I nie chciało na koń sieść,
I nie chciało z śmiesznych śmiać,
I nie chciało mi się pić,
I nie chciało mi się żyć:
Tylko mi się chciało spać.

O spać, spać, spać bez ustanku,
Od wieczora do poranku,
Od poranku aż do nocy,
Gdyby w ludzkiej było mocy,
Ja na całe lata, wieki,
Byłbym zamknąć chciał powieki —
Bo gdym zamknął — ach! to cuda,
Czyż wyśpiewać mi się uda,
Com ja widział, roił, śnił,
Kim ja byłem, gdziem ja był?

Ach! to cuda! — Lecz na jawie,
Choć to wszystko trwało prawie,
Chociaż czułem, że mi płoną
Lice, usta, piersi, łono
Od całunków, od pieszczoty —
Choć jedwabnych włosów sploty,

I dłoń miękką, ciepłą, małą,
Pod którą mi serce drżało,
Ja tak czułem jak w dotknięciu,
Ja tak miałem jak w ujęciu...
Przecież... przecież... O przekleństwo!
O szyderstwo! o męczeństwo!
Taką rozkosz, szczęście śnić —
A być głupim — dzieckiem być!...

Toć ja nawet nie umiałem
Nazwać tego, a szalałem;
Łzy po twarzy nieraz ciekły,
Nieraz palce gryzłem wściekły,
O mur głowę rozbijałem,
Albo ręce wyciągałem,
By ta postać niedojrzana,
Niepojęta, nie nazwana,
Ach! ta postać by wcielona
Sama zbiegła w me ramiona —
By pierzchliwych marzeń rój
Padł nakoniec, widny, żywy,
Ukształtowany i prawdziwy —
W namiętny uścisk mój!

Teraz, dosyć już przeżyłem
W niepokoju długich nocy —
I w tęsknocie długich dni —
Teraz ja wiem, jak się zowie
Każde serca uderzenie,
Każda moja gorzka łza. —
Teraz ja wiem, jak się zowią
Senne marzeń mych widziadła,
I czczość młodych moich lat —

Czem są dłonie wyciągnięte,
Czem westchnienia pierś wznoszące,
Czem są usta pałające,
Czem są tętna krwią bijące
I czem życia cudna pieśń...

O, ja wiem, ja znam, ja śpiewam,
Ja dziś wołam i nazywam —
Kobietą! kobietą! kobietą!
Pójdź kobieto piękna, moja,
Wymarzona, wyczekana,
Wypragniona, wywołana,
Do mnie! do mnie pójdź!

O, ja kocham cię, kobieto!
Kocham ciemne twoje oczy,
Kocham połysk twych warkoczy,
Kocham wzniosłe czoło twe!
Kocham ślad twej drobnej stopy,
Kocham głosu twego dźwięki,
Kocham białość twojej ręki,
Kocham tchnienie twoich ust.
Kocham jedwab twojej szaty,
Kocham śpinkę, która świeci,
U przepaski twej kibici.
Kocham perły z szyi twej,
Blask dyamentów na twej skroni,
Wachlarz, co nim dłoń twa chwieje,
Gazę, coć on z piersi zwieje,
Twej postaci kocham cień.
Piękna moja! luba moja!
Do mnie, do mnie pójdź, kobieto:

Ja kochankiem ja, poetą,
Do mnie! do mnie! do mnie pójdź

Daj mi rękę, luba moja!
Przez świat idźmy! niech się dziwi,
Jak my młodzi i szczęśliwi,
Jaką piękną ty!
Przez świat idźmy! niech zazdrości
Mnie twych pieszczot, twej miłości,
Tobie pieśni mej.
Ale strzeż się — oh, przez Boga!
Niech ja ciebie, moja droga,
Nie zazdroszczę mu!
Bo gdy wspomnę, że spojrzenie,
Że twój uśmiech, że westchnienie
Wziąćby mi kto mógł —
To mi tak coś w oczach błyska,
To mi tak coś ręka ściska,
Jak ogień — jak miecz. —
Zaraz czuję, że twarz blada;
Zaraz widzę, że trup pada,
A choć nie wiem, czyj,
Mnie tak zimno wkoło serca,
Jakby trup ów lub morderca,
Moje piersi miał.
Mnie tak straszno, mnie tak ciemno,
Jakbyś ty nie była ze mną,
A był przy mnie grób.

O, ja nie chcę takich myśli,
O, ja nie chcę cierpień takich,
Zawrót głowy mam.
Precz, precz z niemi do szatana,

Ty mię kochasz, tyś kochana;
Z drogi, z drogi nam!

Jesteś moją — jam szczęśliwy —
Hej muzyka! tańce! śpiewy!
Hej kielichy i puhary!
Szampan, Porto, węgrzyn stary,
Niech zaszumią, niech popłyną!
Pijmy rozkosz — pijmy wino —
Bo czas biegnie, a śmierć goni,
A czy będzie tam co po niej —
O to starych mnichów pytać!
Nam dziś tylko życie chwytać;
Nam dziś szaleć i ucztować;
Nam dziś pieścić i całować —
A kto chwilkę choć zmarnuje,
Wszystkich sił nie wycałuje,
Wszystkich beczek nie wytoczy,
Kto na wieki zamknie oczy,
Kiedy jeszcze mu zostanie
Niedopita kropla w dzbanie,
Albo z jego własnej winy,
Jeden uścisk u dziewczyny,
Jedna w sercu jeszcze chęć...
Temu hańba! tego właśnie
Niechaj jasny piorun trzaśnie,
Niechaj porwie dyabłów pięć!!!

ZAKLĘCIE.

Idę lądem, płynę wodą,
A czy słońce lśni pogodą,
Czy pioruny z błyskawicą,

Czy na niebie gwiazdy świecą,
Czy mnie noc, czy dzień otoczy,
Czy mi jasno, czy mi ciemno,
Zawsze przy mnie, lub przede mną,
Takie wielkie czarne oczy!
Ach! to jej oczy!

Piję miód i piołun piję,
Zbieram ciernie i lilije,
Sok wyciskam, lecz w napoju
Niema zdrowia, ni spokoju,
Choć dokoła przestrzeń pusta,
Choć relikwię pocałuję,
Zawsze na mych ustach czuję,
Koralowe drogie usta,
Ach! to jej usta!

Istna ona czarownica,
Świat zaklęła w swoje lica,
W swoje usta, w swoje oczy,
Już i pacierz nie odroczy;
Wszystko zmienia się w jej postać,
Kędy spojrzę, wszędzie ona,
Człowiek od tych czarów skona,
Lub sprawczynię musi dostać —
Ach! gdyby dostać!

RYSZARD WINCENTY BERWIŃSKI
(1819—1879).

OSTATNI ROMEO.

— »Żegnam cię, żegnam! — Dzień biały tak blizko—
Bywaj mi zdrowa — snów moich hurysko —
Chwilę rozstania chciej skrócić! —
Serce skrwawione i duszę rozdartą,
Pamięć biorę nigdy niezatartą,
Lecz ciebie muszę porzucić«.

— »O nie — mój drogi — ja cię kocham tyle —
Przez miłość moją — jedną jeszcze chwilę,
Nim się w świat rzucisz daleki!«
— »Widzisz — już słońce na wschodzie zabrzasło,
Słyszysz — skowronek zadzwonił dnia hasło —
Bywaj mi zdrowa na wieki!«

— »O nie — mój drogi! — to nie był blask słońca,
To księżyc — wierny kochanków obrońca —
Pod nasze ściele się nogi;
To nie skowronek — to miłości ptaszę,
To słowik szczęście ośpiewuje nasze —
Zostań — o zostań, mój drogi!«

— »Nie łudź mnie — nie łudź! — Ja znam tę piosenkę —
Ach! ona wita wolności jutrzenkę —
Noc płonnych marzeń zagasła.

Ludzkość się budzi! — Słyszysz ten gwar dziki?
Patrz — księżyc pobladł — umilkły słowiki —
Trąba .... zawrzasła!

Prędzej, — o prędzej kończ twoje pieszczoty!
Śmierć na mnie czeka — koń zarżał przed wroty —
Z łez smutne otrzyj powieki!
Bo biada temu — kogo zmartwychwstanie
U nóg płonącej niewiasty zostanie —
Bywaj mi zdrowa na wieki!«

JAWNO-GRZESZNICA.

Pięknaś, jak anioł! zdumiony świat woła —
Piękniejszaś, wołam, nawet od anioła —
Nie anioł wdzięków — lecz sam Bóg miłości
W tobie, o piękna, między nami gości! —

Oko twe — miłość w twem się oku żarzy —
Miłość na czole zadumaniem marzy —
Miłość ust twoich bawi się uśmiechem,
Miłość muzyką gra w twojej rozmowie,
Miłość w milczeniu — miłość w każdem słowie —
A ty powiadasz, że miłość jest grzechem?

Jeśli to prawda — o jawno-grzesznico,
Płacz z Magdaleną — i w świętej pokorze
Dni twoje czarną okryj włosienicą,
Nocami twarde zalegaj rogoże —
W szczerej pokucie i w głębokiej skrusze
Ratuj, o ratuj grzeszną twoją duszę!

Ach! bo ty grzeszysz każdem twojem tchnieniem
I każdem słowem i każdem spojrzeniem —
Grzeszysz urokiem ócz twych tajemniczym,
I włosem kruczym i śnieżnem obliczem —
Grzeszysz łzą smutku, grzeszysz ust uśmiechem,
Jeśli to prawda, że miłość jest grzechem!

Jeśli to prawda — o piękna grzesznico,
Przestań być piękną — lub się zrzeknij świata —
Bogu się poświęć — zostań zakonnicą —
Siostro w Chrystusie! znajdziesz we mnie brata;—
A niegodnego rozwiązać rzemyka
U stóp twych — weź mnie — weź za spowiednika

SEWERYN FILLEBORN
(1814—1850).

POGOŃ.

Przez pola i bory wieczorną ciemnicą,
Biegł rycerz na koniu z porwaną dziewicą.

Wiatr, niby bolejąc po znikłej już wiośnie,
Po krzewach samotnych rozmawiał żałośnie,

A księżyc poważny, milczący, ponury,
Jak widmo grobowe wyzierał z za chmury:

— O spiesz się, mój koniu! Wiatr burzę nam niesie,
Czy słyszysz, jak dziko szalele po lesie?

Ty, luba, rzuć trwogę, co piersi uciska,
Twój zamek daleko, zagroda już blizka.

A chociaż uboga, zapomnisz wszystkiego,
I zamku i złota i ojca srogiego:

Małego mam brata, rozkoszne pacholę,
Dwie siostry wyrosłe, jak w sadzie topole.

Najstarsza Adela, prześliczna dziewczyna,
I matka staruszka do bajek jedyna:

Zna powieść o płaszczu, był blado-zielony,
Nieboszczyk go nosił, to dziwak szalony,

Miał oczy puszczyka, jak gada źrenica,
Dwa sążnie długości, trupiego był lica.

Zabawny ten człowiek w rozpaczy lub gniewie,
Gdy spojrzał na płomień, wnet stygło zarzewie.

— »O przestań — mnie trwoga przeraża tajemna,
To światło cmętarne, noc głucha i ciemna.

Czy widzisz w sitowiu, jak skacze coś w bieli?«
— To księżyc po wodnej pomyka topieli:

Ja nieraz po smutnem rozstaniu się z tobą,
Gdym późną do domu przemykał się dobą,

Widziałem, jak we mgle cichego wieczora,
Dziwaczne postacie, i duchy jeziora

Mieszając z wiatrami powiewne zasłony,
Wodziły północą swój taniec szalony;

A trwogim nie poczuł, pierś krzyżem oznaczył,
Tłum znikał, i w dali kłótliwie majaczył:

Lecz tobie, skąd, luba, strach dziwny się roi?...
— »O! ciszej! patrz, jeździec wysoki tam stoi,

I płaszczem zielonym dokoła okryty,
Przystanął za lasem, spogląda, jak wryty«.

O nie wierz, najmilsza, olbrzymia to jodła
Szeroko rozdarte konary rozwiodła;

Rzuć trwogę daremną, czyż marne straszydła,
Czy dzielny bułany nie czuje wędzidła,

Czy trupie spojrzenia mdławego księżyca,
Czy nocna wycieczka zgasiła róż lica?

Co patrzysz za siebie? co szukasz po błoni?
— »Ach ratuj! uciekaj, to ojciec nas goni.

Broń w ręku, kurzawy okryty obłokiem,
Szalony, zaciekły, skry błysły mu okiem«.

— Nie lękaj się, luba, nas zbroja ochroni,
Czy słyszysz, jak strzelił? jak pancerz mój dzwoni?
. . . .

Drży ręka zabójcy, nawodzi — wymierza,
Mgły dymu wypadły i piorun uderza.

Wtem lekki wiatr wionie i tuman rozniesie,
I rycerz i rumak pomyka po lesie.

Wył stary z rozpaczy, krwią usta się zlały,
I w piersi mu drżało, i zęby zgrzytały.

Okropne spojrzenie zatopił w rycerza,
I znowu broń nabił, i znowu wymierza.

Wymierzył — grom wybiegł! nieszczęsna pobladła
I rumak i zbroja w kurzawie przepadła.

Wtem lekki wiatr wionie i tuman rozniesie,
I rumak bez jeźdźca pomyka po lesie.

ANTONI SOWA (EDWARD ŻELIGOWSKI)
(1820—1864).

EPITALAMIUM.

COŚ i KTOŚ.

Ach, ona taka piękna i młoda,
I jeszcze więcej, jeszcze więcej coś —
Wychodzi za mąż — ach, jaka to szkoda,
Że jeszcze, jeszcze na świecie jest ktoś,

Komu panuje jej wdzięk i uroda
I jeszcze więcej, jeszcze więcej coś —
Ona mu obcą, ach jaka to szkoda,
Że jeszcze, jeszcze na świecie jest ktoś,

Co słowa swego zniewadze nie poda
I zamknie w piersi jeszcze więcej coś —
Niech idzie szczęsna, lecz jaka to szkoda,
Że na tym świecie jest jeszcze ten ktoś!

KAROL BRZOZOWSKI
(1821—1904).

PRZEKLEŃSTWO.

Dopóki serce pamięta
Twoich ust zdradne korale,
Czarne ogniste oczęta,
W łez jaśniejące krysztale,
Bądź mi przeklęta, przeklęta!

Przeklęta chwila zachwytu,
Gdym zrosił łzami powieki;
Gdy jako gwiazdy błękitu,
Megom skry rozsiał ci bytu
I tyś przeklęta na wieki!

I to przeklęte zacisze,
Gdziem w szczęścia utonął niebie,
Kędy się listek kołysze
I jako tchnieniem twem dysze,
I ciebie, przeklinam ciebie!

I pierwszy uścisk twej ręki,
I pierwsze twe za mną westchnienie,
I twoich ustek płomienie,
Źródło rozkoszy i męki
I twe przeklinam istnienie!

Przeklinam cię i odpycham.
A żal się tłoczy do łona,
Znowu za tobą usycham,
Szukam cię wkoło i wzdycham:
Błogosławiona!

WZIĘŁAŚ MI ROZUM.

Wzięłaś mi rozum: — lepiej,
Boska rozbójnico!
Blaski jego, że przepaść
Bez dna, — nie oświecą.
Wzięłaś mi duszę: — chciała
Być twą niewolnicą;
Niechże wie, że jej łańcuch
Nigdy nie rozpryśnie!
Lecz sen, sen mi mój oddaj!
Gdy mnie boleść ciśnie,
Zasnę — i że mnie kochasz,
Może sobie przyśnię.

WACŁAW SZYMANOWSKI
(1821—1886).

ROMEO.

I.

Jestem z krainy łez i boleści,
Wzrosłem w cierpieniu i trudzie;
Słuchajcie mojej smutnej powieści,
Słuchajcie i drżyjcie ludzie.

II.

Rozanielona myśl ma, od młodu
Szlakami dążąc jasnemi,
U wrót rajskiego śniła ogrodu,
Śniła o niebie na ziemi.

Byłem namiętny, i byłem młody,
I świat ten dla mnie był rajem,
Kochałem Julię cudnej urody,
Ona kochała mnie wzajem.

Kochałem Julię... była mi ona
— Ta Julia, którą kochałem —
Przeczuta sercem, duszą wyśniona,
Promienna duchem i ciałem.

III.

Mijają szybko krótkie miesiące,
Mijają szybko dni krótsze;
Dziewczę przysięga na lat tysiące,
A zapomina o jutrze.

Kiedy ja kocham, kiedy ja marzę,
Przyjaciej rani mię słowy,
Że do mej Julii chodzi w zamiarze
Małżeńskim agent giełdowy.

Ludzie, nie wierzcie w czystość anielską,
Nie wierzcie w jasność duchową!
Agent giełdowy zadzwonił kieską
I Julia złamała słowo.

IV.

Miałem-że dalej rozpacz daremną
W ziemskich odnawiać zapałach?
O, nie!... rewolwer leżał przede mną,
Rewolwer o sześciu strzałach.

To anioł śmierci już na mnie woła!
Witaj mi śmierci aniele!...
Więc przyłożyłem lufę do czoła —
Minuta jeszcze i strzelę...

V.

I w tej minucie duch mój przelotem
Życia nurtował głębinę

I zadumałem się bardzo o tem,
Co ze mną będzie, jak zginę.

Choć serce krwawi, u dzielnych męży
Powraca spokój sercowy;
Lecz kulą głowę kto nadweręży,
Ten nie nadłata już głowy!

Więc pogardziłem śmierci widziadłem,
A męstwa ducha by dowieść,
U Barabacza kolacyę zjadłem...
I tak się kończy ta powieść.

TEOFIL LENARTOWICZ
(1822—1893).

ROZMOWA ZE SŁOWIKIEM.

— Powiedz, słowiku, powiedz, mój mały,
Błagam na wszystko w świecie!
O czem ty śpiewasz przez wieczór cały,
W naszym ogródku, w lecie?

Czy opowiadasz swoje przygody,
W miłym, rozgłośnym śpiewie,
Jakieś przeleciał wonne ogrody,
Na jakiem spoczął drzewie?

Czy jak się kryjesz w liście zielone,
Gdy skwarne słońce pali?
Jak rankiem strząsasz piórka zroszone,
W cichej powietrza fali?

Czy o gwiazdeczce maleńkiej, drżącej,
Na lazurowem niebie?
Czy o tej wodzie zwolna ciekącej?
Powiedz mi, proszę ciebie!

— Ot! ja ci powiem, śliczna pastuszko:
Śpiewam piosenkę twoją,
Kiedy ci za czemś tęskni serduszko,
I oczy we łzach stoją.

Kiedy zanika twój uśmiech słodki,
I patrzysz smętna, blada!
A z rąk ci lecą bratki, stokrotki,
Kwiatek po kwiatku spada.

ZROZPACZONA.

Chodzi dziewczę po ogródku,
Wydeptaną drogą;
Lecz w ogródku pełno smutku,
Bo niema nikogo.

Bez turecki pachnie miło,
Słowik śpiewa w gaju,
Tylko krzyżyk nad mogiłą,
Czerni się na skraju.

Czemuż świecisz, słonko Boże,
Czemu pachniesz, krzaku,
Czemu śpiewasz piosnki hoże,
Uprzykrzony ptaku?

Spojrzę w jedną, w drugą stronę,
Serce się rozszlocha,
Grządki moje spustoszone,
A serce wciąż kocha.

Wczora tańczyć mi kazali,
A ja myślę sobie:
Ja tańcuję w pięknej sali,
A wietrzyk na grobie.

Do północy skoczne tany,
Skroń w różanym wianku;
Do północy gwar pijany,
A płacz do poranku.

Nauczała matka stara,
Że należy wierzyć;
Dobra wiara, słodka wiara,
Ale lepiej nie żyć.

Żal poniosę do mogiły,
Serca anioł strzeże,
Na cierpienie dość mam siły,
A w szczęście nie wierzę...

Opuszczone moje krosna,
I życie się dłuży,
Nowe róże wzbudza wiosna,
Ja nie kończę róży...

Złote nici poplątane
W połowie roboty,
Gdzież słoneczko me wiośniane,
Gdzie mój promień złoty?

Próżno czeka smutna dusza
Na miłego przyjście:
Po drożynach wietrzyk wzrusza,
Przeszłoroczne liście,

I u fali cichej rzeki
Jak pierwej nie spocznę...
Odpłynęły w świat daleki
Fale przeszłoroczne...

Z jego okna wiatr odmiata,
Żałobną zasłonę:
Biedne serce wciąż kołata,
Co spojrzę w tę stronę.

WŁADYSŁAW SYROKOMLA
(1822—1862).

KORALE.

(DUMKA KOZACKA).

Gdym z Kozaki szedł na boje,
 Moja Hanna rzeczy:
»Niesiesz, luby, życie swoje
 Pod tatarskie miecze!
Lecz modlitwa, płacz dziewczyny
 W boju cię ocali;
Ty mi za to, mój jedyny.
 Przywieź sznur korali«.

Bóg kozaczej szczęścił braci:
 W jednej boju chwili
Chan tatarski wojsko traci,
 A my gród zdobyli.
Gdy wyparto krzepkie wrota,
 Gdy się miasto pali,
Inszy srebra, inszy złota,
 Jam szukał korali.

Wśród rabunku los mi służy,
 Pan Bóg zdobycz poda:
Sznur korali krasny, duży,
 Jakby wiśnia młoda!

Pochwyciwszy zdobycz drogą,
Już nie czekam dalej,
Spieszę stanąć przed niebogą,
Dać jej sznur korali.

Pędzę stepem, pędzę błonią, —
Oj, daremna praca!
W naszej wiosce dzwony dzwonią,
Lud z mogiłek wraca.
Dobrzy ludzie spieszą ku mnie
I wołają z dali:
— »Twoja Hanna leży w trumnie,
Nie trzeba korali!«

Zapłakałem, zajęknąłem
I roztrącam rzesze,
I przed cerkwią padam czołem,
I przed obraz spieszę.
Do najświętszych stóp Maryi,
Niosę smutne żale,
I zawieszam u Jej szyi
Czerwone korale!

KORNEL UJEJSKI
(1823—1897).

ZAKOCHANA.

Jego dotąd niema,
    A duszyczka roi,
Ciągle przed oczyma
    Jak zaklęty stoi.
Na dobrą intencyę
Dwa dni poszczę święcie —
    A nuż nie przyjedzie?...
    Przyjedzie! Przyjedzie!

Przyrzekał, że w piątek,
    A dziś już sobota —
Zawód na początek?
    Piękna mi robota!
Nie myje się kotek,
I bez sroczki płotek —
    Pewnie nie przyjedzie...
    Przyjedzie! Przyjedzie!

Jakie on do uszka
    Szeptał mi pieszczoty!
Ach! piękny, ach! duszka,
    Ach! srebrny, ach! złoty —
Tańczył tylko ze mną
I raz kląkł przede mną...

Nuż bałamut skręci?...
Nie skręci! nie skręci!

A potem tak grzecznie
Podchlebiał matusi;
Ach! kocham, ach! wiecznie,
Ach! moim być musi —
Pokłoni się matce
I ma ptaszka w klatce —
A nuż panicz skrewi?...
Nie skrewi! nie skrewi!

Nudno czekać — a więc za to,
Gdy przyjedzie, to ukarzę;
Niech poczeka! — przed herbatą
Pewnie mu się nie pokażę.

Lecz on jakiś taki żywy,
W jego sercu pełno burz!
Bardzo będzie nieszczęśliwy —
No, to zresztą wyjdę już.
Ale zato będę nosić
Ciągle przy nim śliczną różę,
A gdy o nią będzie prosić,
Nie dam — tylko się zachmurzę.

Lecz on dziwne ma kochanie,
Że szaleje mówił sam,
Nuż co złego mu się stanie —
No, to zresztą różę dam.
Ale za to pod krosienkę
Nie zapomnę rączki schować —

I to srogo — a więc w rękę
Dam się tylko pocałować.

Jego dotąd niema,
A duszyczka roi,
Ciągle przed oczyma
Jak zaklęty stoi.
Ach! jak kocham mamę,
Otwierają bramę!
Kasztanek na przedzie!...
E! to proboszcz jedzie.

LAZARA.

Sułtanko moja! gwiazdo haremu!
Peri! podobna kwiatu złotemu,
Co w siódmym raju zakwita —
Jakażto chmura przeszła nad tobą,
Że blask ócz twoich zaćmiła żałobą?
Korny niewolnik twój pyta.

Gniew twój bolesny jak gniew Allaha,
Jak sznur jedwabny z rąk Padyszaha
Gdy niemy Tatar przyniesie;
I dusza moja pod twoim gniewem,
Jak za samumu struna powiewem
Rozstraja, zsycha i rwie się.

Dźwięk twego głosu! śpiew Izrafila,
Twój uśmiech welum raju odchyla,
Twe serce okryte lodem;

Będęż z ust twoich i z twego czoła
Jak z Trebizondy ogrodu pszczoła
Truciznę wysysać z miodem?

Niejeden okręt w pięknej Basorze
Dla ciebie fale błękitne porze,
Szukając pereł u brzegów;
Bogatem futrem zgięte wielbłądy
Gdzieś przebiegają dla ciebie lądy,
I białe puszcze ze śniegów.

Dla ciebie wszystkie szale w bazarze
Dla ciebie greckich wysep korsarze
Rabują Franków towary;
Z pieczar indyjskich olbrzymie słonie
Niosą klejnoty, by ciemne skronie
Oświecić mojej Lazary.

Dla ciebie stroją słupy z porfiru
Kobierce Jezdu i Kaszemiru
Jak wnętrze świątyni Kaaby;
Dla ciebie płacą haracz z kadzideł,
Ten potępiony lud bez wędzideł —
Syny Eblisa — Araby.

Dla ciebie biją srebrne fontanny
Chłodem i wonią; twej łaźni wanny
Kute z greckiego marmuru,
Bielsze są nawet niźli twe ciało,
I jako po niem krążą nieśmiało
Przejrzyste żyłki lazuru.

O zważ, Sułtanko! gdy Klefty żoną
W burzliwych nocach nogą skrwawioną
Po górach za nim biegałaś —
To on dla ciebie nie miał ni domu,
Nic, prócz swej strzelby! z nim pośród łomu
Na ostrym kamieniu spałaś.

I ciebie piękną i ciebie młodą
Twój Klefta karmił chlebem i wodą,
Grubą tkaniną osłaniał;
Jak antylopa, skacząc przez skały,
Z tobą i z nożem w ręku — zuchwały!
Zbrojne me Spahi rozganiał.

To też mnie srogo męczyła trwoga,
Zanim nadeszła ta chwila błoga,
Kiedy przy blasku kagańców,
Głowę psa tego ujrzałem w worze —
A ciebie, Peri! wiódł na me łoże
Wódz moich czarnych rzezańców.

Lazaro! teraz sypiasz na puchu,
Oddech twej piersi w lekkim podmuchu
Kołysze fręzlą kotary;
Czegóż tak smutna siedzisz od ranka?
Czyli przechodnia jaka cyganka
Rzuciła na ciebie czary?

Przebóg! krwią twoja splamiona warga,
Gniewna twa ręka na szmaty targa
Srebrnego zawoju końce;
Jakaż chęć twoją zapełnia duszę?
Powiedz! a ziemię, niebo poruszę,
Nowe zapalę ci słońce!

O powiedz! jakie są twe życzenia,
Choćby to dziecka były zachcenia,
Ja je wypełnię odrazu;
Oto niewolnik klęka przed tobą,
Miej litość nad nim, miej ją nad sobą,
Wyrzeknij słowo rozkazu«.

»Omarze!« — branka przerwała grecka —
»Myśl moja nie jest zachceniem dziecka«
I wzniosła oczy płonące,
I lwicą była z tem okiem w blasku —
»Baszo! twój kindżał chcę mieć z Damasku —
Na nim twe serce drgające!«

PANNA MŁODA.

Całe niebo we mnie!
A z ócz płynie łza —
Ach! błoższej odemnie
Nie ma ziemia ta.
Zbytkiem szczęścia skacze
Serce — z tego mrą...
Ach! dobrze, że płaczę —
Zbytek spłynie łzą.

A któż-to tam
Puka do mych drzwi?
Nie wolno wejść!
Suknię dają mi.
Poczekaj waść,
Jam czekała tak;

No, widzisz go!
Suknię biorę wspak.

Już ja jegom prawie,
Już nadszedł dzień ten!
Ach! czy to na jawie,
Czy to tylko sen!
Któż te słowa zważy:
Jam jego — on mój!...
Ach! jak mi do twarzy
Leży ślubny strój!

A któż-to tam
Puka do mych drzwi?
Nie wolno wejść!
Wieniec kładą mi.
Ach! jakiż on
Niecierpliwy wciąż —
Źle ze mną, źle,
Srogi będzie mąż.

Łza za łzą mi cieknie,
A bierze mnie śmiech —
Ach! śmiać się nie pięknie
W dzień ślubu — to grzech.
Schronię się od złego
Do Maryi nóg —
Ach! wiem ze wszystkiego,
Że mnie kocha Bóg!

Ot! w kaplicy już
Organ zaczął grać;
O duszyczko ma!
Radź-że sobie, radź.

I kapela także
 Pobrzękuje razem —
Ja sobie tymczasem
 Klęknę przed obrazem.

Maryo! Pani nieba!
Daj nam co potrzeba!

Wróciłam z podróży
 Promieni i róż...
Ach! nie pukaj dłużej,
 Idę, idę już!
Nieznajomą drogą
 Jasny puszczam wzrok —
Ach! jak lekko, błogo,
 Pierwszy stawiam krok!

ROMAN ZMORSKI
(1824—1867).

ODPOWIEDŹ NA PYTANIE.

Pytasz, gdy ucho moje zachwyca
Arcymistrza dzieło szczytne,
Czemu się w twoje wpatruję lica
I w twoje oczy błękitne?...

Kiedy wspaniały koncert przyrody —
Letnia odzywa się burza,
Ja lubię siadać nad brzegiem wody,
U drzew szumiących podnóża.

Wsłuchany w wielki zamęt ten dźwięków:
Szumu lasów — trzasku łomów —
Sierocych w polu grusz dzikich jęków —
Wycia wichrów — bicia gromów —

Wzrok zachwycony topię w odbiciu
Niebios, jak morze wzburzonych,
Chmur poszarpanych, błysków czerwonych,
W ruchomej fali błękicie.

Niby pode mną stado za stadem
Tych widm rozczochranych ściga —
Niby pode mną po tle ich bladem
Tysiąc ognistych żmij miga...

Patrząc i marząc, już zapominam
O ziemi — już, już się zda mi
Orle gdzieś skrzydła w górze rozpinam,
Nad ryczącemi chmurami.

Aż, tchnieniem wichru porwanej piany,
Pocałowaniem wilgotnem
Zbudzę się nagle, rozczarowany
Ponad jeziorem samotnem...

Tak, gdy powietrza morze milczące
Zawichrzy burza harmonii —
Gdy całe drżące, w tonów tysiące
Grzmi, wre, huczy, śpiewa, dzwoni —

Gdy owładnione czarem ich łono,
Gdy serce bije wysoko —
Z równym zachwytem w twą twarz natchnioną,
W twe jasne spoglądam oko.

Jakże uroczo w ich się przezroczy
Zwierciedli dźwięków gra cała!
To niebo źrenic łza smutku mroczy,
To grom zapału z nich pała.

To w zadumaniu, splot hebanowych
Włosów na lica cień ciśnie —
To z uśmiechnionych ust koralowych
Rząd jasnych pereł zabłyśnie...

Własnych mych uczuć w anielskiej twarzy
Cudowne widząc wcielenie,
Oczarowane serce me marzy
Rozkoszne, rajskie marzenie:

Że jak ta biała jeziora piana,
Na twarz mą wichrem rzucona,
Potęgą zgodnych uczuć porwana,
Upadniesz w moje ramiona.

I jak się zgodnych dwojga strun brzmienia
W harmonijną jedność plączą,
Tak nasze usta, tak nasze tchnienia
W jeden się akord połączą...

Otóż masz szybkim rymem spisaną
Z uczuć i snów moich spowiedź.
Sny moje kiedyż ciałem się staną?
Winnaś mi teraz odpowiedź.

Nie brudnem piórem — nie w rymach
[brzmiących,
Nie żadnym językiem ziemi...
Pójdź! niech ją sobie usty drżącemi
Z ust twoich wezmę milczących.

WŁODZIMIERZ WOLSKI
(1825—1882).

W IMIENNIKU.

Skąd oczy twoje gorą płomieniem,
Że przy nich schylić trzeba źrenicę
Smutno i kornie? Jak chcesz, dowoli
Ciskasz z nich tęczę lub błyskawicę.
Serce mi dręczyć smutku westchnieniem,
Lub je urokiem koić powoli,
Od twojej woli jednem spojrzeniem,
Jednym uśmiechem od twojej woli.

Kto w twoją duszę wlał tę urodę,
I tej melodyi niebiańskie skarby,
Smutnej, wesołej? Od twojej woli,
Zmieniać i ciskać dźwięczne jej farby, —
Malować czoło moje w pogodę,
Lub je tęsknotą sępić powoli,
Od twojej woli, — o dziewczę młode,
O czarodziejko — od twojej woli!

JA WIDZĘ CIĘ.

(MELODYA).

Ja widzę cię, kiedy warkocz chmur
Po wieczornem pływa niebie:
W poranku mgłe niech zaszumi bór,
Ja widzę, widzę ciebie.

Ja słyszę cię, gdy wieczorny dzwon
Pól rozległą przerwie ciszę,
Za rzeką flet niech uderzy w ton,
Ja ciebie słyszę, słyszę.

Ja czuję cię, gdy mi przyszło znów
Ból serca kryć na pogrzebie,
Wśród gwarnych wrzaw, w samotności snów,
Ja czuję, czuję ciebie.

Ja pragnę cię, gdy nabożny śpiew,
Gdy organ zabrzmi w kościele,
Lub szary mrok ojmie sploty drzew,
Ja pragnę, spłyń aniele!

CYPRYAN NORWID
(1825—1883).

TRZY STROFKI.

Nie bluźń, żem zranił Cię, lub jeszcze ranię,
Bom Ci ustąpił na mil sześć tysięcy
I pochowałem łzy me w Oceanie
Na pereł więcej!...

I nie myśl, jak Cię nauczyli, w świecie
Świątecznych uszuć, świąteczni czciciele;
I nie mów, ziemskie iż są marne cele —
Lecz żyj — raz — przecie!...

I myśl: gdy nawet o mnie mówić zaczną,
Że grób to tylko, co umarłe chowa:
A mów... że gwiazda ma była rozpaczną,
I — bywaj zdrowa...

LEONARD SOWIŃSKI
(1831—1887).

WYZNANIE.

Anielskie sny, niepokalanych dni westchnienia,
I pieśni me, dyamentami łez płonące,
I burze walk, i dum posągowe rojenia,
I serce to gladyatorskie, krwią broczące —
Ach! wszystko tobiem niósł, o bóstwo czarujące!
Kobieto! Pani marzenia!

Ty, zawsze ty, jak na kamei starożytnej,
W obrazach mych białem wykwitałaś obliczem...
Bez ciebie świat, jak niebo o kopule szczytnej
Posępnych chmur, jak noc, jak śmierć, był dla
[mnie niczem...
O ty, omglona piany płaszczem tajemniczym!
Kochanko fali błękitnej!

Gdziem tylko spotkał cię w powiewnych twoich
[szatach,
Z miłosnem, pełnem drgnień, jak dwie turkawki
[łonem,
Już miejsce to, gdzie stałaś ty, było mi tronem—
I kładłem skroń u nóżek drobnych, jak na kwiatach:
Choć był to nieraz głaz, choć miałem wstać zra-
[nionym,
Ze wstydem i wiarą w szmatach.

I w czemże jest ten wdzięk, co opromienia ciebie?—
Czy w muzyce pieszczotliwej głosu srebrnego?
Czy w barwnych sidłach zdrad? czy w pieszczot
[twoich niebie?...
Nie! nie!... Twój czar nie może być urokiem Złego!...
Bo jasny tylko duch odtwarza w pięknie siebie...
Tyś piękna — dosyć mi tego!

Choć wiele młodych serc w objęciach twoich ginie,
Choć wielu śmierci jad z usteczek twych wypija,
Lecz winien ten, co zdradnej podobny gadzinie,
Szlachetną pierś twą splotem namiętnym obwija,
I zarażając wciąż trucizną swą naczynie,
Sam siebie, pijąc, zabija.

A więc mi świeć, o gwiazdo śliczna, w każdej dobie,
Blaskami duszy twej i postaci urokiem!
Ideał piękna mój objawił mi się — w tobie...
Więc kocham cię, o pani, myślą, sercem, okiem,
Śród szczęścia mgnień i w upadku ducha głębokim,
I kochać przestanę — w grobie.

Z DYTYRAMBU PIERWSZEJ MIŁOŚCI.

Serce! ach wolniej bij!... O ten słowiczy śpiew,
I niebios toń bezdenna,
I sznur tych sennych, chylących się drzew,
I cudne ziemi tej śmiejącej się wesele,
I nad ten świat — tam, tam, gdzie otchłań lśni
[promienna,
Wzniesiony tron, ach! tron anioła mego...
Och! to za wiele,

Dla drgnienia piersi jednego!
Na runie złotych chmur, na listkach białych róż,
Na miękkich fal grzbiecie,
W promyczkach gwiazd, na błyskawicach burz,
Ach! obraz śliczny jej to łez dyamentami
Iskrzy się w żalu mgle, to szczęściem raju świeci,
To białą skroń na pierś mi wrzącą chyli:
Luba! my sami
Na całym świecie w tej chwili!

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI
(1834—1863).

POD UROKIEM.

Ni co skończyć, ni co począć,
Ani sercu dać wytchnienie,
Ciągły upór... i pragnienie!
Ptakom-myślom trudno spocząć;
Zadumanem wodzę okiem,
Straszno duszy pod urokiem.

Popatrzyła, — przemówiła —
Głąb się duszy odbił w oczach,
Słodycz w ustach — kwiat w warkoczach...
Boże! Boże, jakaż miła!
Patrzę — ruszyć nie śmiem krokiem,
Choć wre serce pod urokiem.

Pieśń zaczynam; — pieśni tony
Miała niby w białej dłoni,
Zmienia w gromy — stal, na dzwony,
Na niebiosa orłem goni,
Ducha wiesza — pod obłokiem,
Ducha-ptaka pod urokiem.

Gdybyż w niebo choć puściła,
Gdyby w piekło zlecieć można!
Ach! zabawka nieostrożna!

Szalonego w błękit wbiła,
Skąd przepaście mierzę okiem
Pod promiennych ócz urokiem.

Kocham! — onaż zna to tchnienie,
Na pół z piekła — na pół z raju?!
Darmom wrócił, ptak z wyraju,
Na słonecznych pól promienie, —
Przyjdę — zimnem wita okiem,
A pierś pęka pod urokiem.

ODETCHNĄŁEM.

Odetchnąłem,
Żyć zacząłem
Powiewami kwiecia — róż!
Bywaj zdrowa!
Smutne słowa,
Ledwiem ujrzał, — żegnam już.

Com tu przeżył,
W com uwierzył,
Nieskalane niosę w świat.
Marzeń sploty,
Łzy tęsknoty
I nadziei blady kwiat.

I twe lico,
Krasawico,
Promień oczu, uśmiech twój,

Z twego czoła
Blask anioła
Dla mych piersi nowy strój.

Bywaj zdrowa!
Smutne słowa,
Ledwięm ujrzał — żegnam już!
Żyj szczęśliwa,
Urodziwa,
Pośród woni — kwiecia — róż.

DAREMNIE.

Pójdę ja brzegiem majowym zdroju —
Pójdę dla serca szukać spokoju.
— Niezapominka u brzegu rośnie...
O nigdy — nigdy pokąd tych wód —
Pierś nie przestanie gorzeć miłośnie...
O! wróć się, chłopcze — daremny trud!

Pójdę ja w górę na głuche tonie,
Może tam serce w ciszę zatonie?
— O wróć się, chłopcze! tam świat bez granic.
Nie przemierzona oczyma dal, —
Ach! tam tęsknoty nie oprzesz na nic —
Uschną ci piersi — spali cię żal.

Toż pójdę w pola; — gdzie łąka, zboże —
Tam smutne serce przeboli może.
— Blady tam błękit — słońce przygrzewa.
Pusty wiatr ciągnie obszarem pól! —

I więdną kwiaty, usycha niwa; —
O wróć się, chłopcze! nie zgaśnie ból.

Pójdęż ja w lasy ciemne i chłodne,
Może tam znajdę chwile swobodne,
— Choć ciemne lasy, choć puszcza dzika,
Lecz tam się błąka lasowy czar,
I szmerem liści, pieśnią słowika
Powie ci o niej — i wskrzesi żar.

Toż ja powrócę pod moją strzechę,
Tam może sercu znajdę pociechę?
— Ściany twej chaty bielone pięknie,
Lecz tam się znajdziesz — ach! taki sam,
Że ci się z bólu serce rozpęknie;
Oj! biedny chłopcze, nie wracaj tam.

Gdzie ja się z tęsknem sercem obrócę?
Pójdę — na morze — w łodzie się rzucę...
— Obejdź ty, — opłyń ziemię dokoła,
Płyń ciszą — obleć na skrzydłach burz,
Ni żalu z serca, ni dumki z czoła,
Ni jej z pamięci nie zbędziesz już.

NA ROZSTANIE.

Aniołeczku! dziewczę moje,
Na rozstanie rączkę daj.
Grają trąbki, czas na boje
Za rodzinny kraj!

Za was, róże! za rodziny —
W bój za naród z pól i z chat!
Ach! czekalim tej godziny
Łzami długich lat.

Podaj rączkę, na mem czole
Święty znak mi krzyża złóż.
Liczne ptactwo lecisz w pole —
Iluż wróci z burz?

Wiele mogił śmierć otworzy
Sercom zada wiele ran —
Głowy zliczył anioł Boży,
Bojem rządził Pan.

Módl się za nas, lilio biała!
Bogu poleć serca żal;
Tyś powstańca pokochała —
Pobłogosław stal!

1863.

WŁODZIMIERZ ZAGORSKI
(1834—1902).

EVOE.

O, nie mów mi, że czas tak szybko płynie,
Że rozkosz zgasi piorun naszej krwi,
Że nasyconych rychło głód ominie
I szał, co porwał nas... o, nie mów mi!...
I nie mów, ach, że jest świat poza nami,
Że na dnie czary miodnej gorycz tkwi,
I że nas tylko marą szczęścia mami
Kłamliwy sen... o, nie mów, nie mów mi!...

Ja wiem, ja wiem, że szczęście to motyle,
Że szparkim lotem błyskawice mkną,
Zawistnym bogom odkradzione chwile,
Że srogo kradzież tę Gorgony mszczą;
Ja wiem, że jeno tworem naszych złudzeń
Ten, co nas nęci, wymarzony raj,
Że pryśnie złoty sen w chwili przebudzeń...
Ja o tem wiem... lecz mi zapomnieć daj!...

Niby menada schwyć mnie w ramion kleszcze,
Paznogcie w ciało me drgające wpij,
Ząbkami kąsaj... mocniej!... jeszcze!... jeszcze!...
Niech ból zaostrzy rozkosz chwili tej...
Nurząc się w morzu błogiej niepamięci,
Dajmy się naszej krwi szałowi nieść
I złóżmy pełnią szczęścia wniebowzięci,
W tę jedną chwilę... całą życia treść!...

Może, gdy w burzy zmysłów bezprzytomni
Utoniem, niby w blask lecące ćmy —
Czas przejdzie mimo i o nas zapomni,
Jakieśmy o nim zapomnieli — my!
Może nas płomień krwi wzburzonej spali,
Może spopieli pocałunków żar,
A może świat się nad nami zawali
I w gruz zagrzebie... skołysanych w czar!

NA GŁĘBINACH.

Ja nie chcę słuchać głosów tych,
Których przestrogę słyszę,
Gdy tonę w niebie oczu twych,
Gdy na twych ustach wiszę!

Ja nie chcę widzieć ile zdrad
W tych drzemie wód głębinie,
Po których srebrny znacząc ślad,
Łódź nasza krucha płynie!

Ja nie chcę się tą myślą truć:
Co będzie — co bywało?
Ja nie chcę myśleć — ja chcę czuć
Czuć tylko duszą całą.

Niech zatem kłamie błękit mi
Na wód leżący błamie;
Niech głosik twój pieszczotą brzmi,
I — niech mi szczerość kłamie.

Nalej mi pełny wina kruż —
Niech szał się z szałem splata!
I dłonie na mych oczach złóż,
Bym zdrad nie widział świata.

I usta wpiwszy w usta me,
Różanem zwieńcz mnie krzewiem,
A jeśli chęć masz zdradzić mnie,
Spraw, niech ja o tem nie wiem!

DEOTYMA (JADWIGA ŁUSZCZEWSKA)
(1835—1908).

WYZNANIE PRZEZ KWIATY.

FIJOŁEK

Chciałbym też spytać, — ale się trwożę —
O czem konwalia marzy nad strugą?

KONWALIA

Jabym się chciała dowiedzieć może,
O czem to fijołek duma tak długo?

FIJOŁEK

O czem ja dumam? Konwalio biała,
Ty o to pytasz? Czyś ty widziała
Pokorniutkiego tego młodzianka,
Który się do mnie skrada co ranka?
Lubi zapewne klon, co tu rośnie,
I głaz ten mszysty. A że pod głazem
Ja sobie kwitnę, za każdym razem
Co siądzie, patrzy na mnie żałośnie.

KONWALIA

Czemu żałośnie?

FIJOŁEK

O! czy nie wiecie,
Jaką — choć fijołek — chlubą się szczycę.
On mnie jednemu na całym świecie,
Mnie...

KONWALIA

Cóż?

FIJOŁEK

Powierzył swą tajemnicę.

KONWALIA

Nie sam tu fijołek ma taką chlubę.
Widziałżeś kiedy dziewczątko lube,
Z oczkami w ziemię, ubrane schludnie,
Co tu ze dzbankiem schodzi w południe?
Ilekroć przyjdzie, stanie koło mnie,
I mówi do mnie. Cichutko, skromnie,
Lecz rzeczy dziwne...

FIJOŁEK

Dziwne?

KONWALIA

Jam rada,
I stąd u kwiatów rośnie mi chwała,
Że ta, co dotąd zawsze milczała,
Mnie się jedynej szczerze spowiada.

FIJOŁEK

I z czemże takiem?

KONWALIA

Ba! »Z czemże takiem«!
Niby to słówko wyleci ptakiem,
I ptakiem wróci? Za nic na świecie,
Jabym powtórzyć jej słów nie chciała.

Jak las szeroki, tak wszyscy wiecie,
Że jest konwalia bardzo nieśmiała.

FIJOŁEK

Więc za nic?

KONWALIA

Chyba... Gdyby zdradzono
Coś z tajemnicy tego młodzianka,
Może i jabym — przez wymuszoną
Wdzięczność—zdradziła dziewczęod dzbanka...

FIJOŁEK

Ja? zdradzić jego? Za nic na świecie!
Prędzejby gwiazdy w las pospadały.
Jak świat szeroki, tak wszyscy wiecie,
Że fjołek fjołkiem, bo jest nieśmiały.

KONWALIA

Cóż tu zagadek? Więc choć na moje
Pierwsze pytanie chciej dać odpowiedź:
O czem to fijołek duma?

FIJOŁEK

Ja roję...
Lecz nie... Nie powiem. Ach, ja się boję
Zdradzić młodzianka, bo jego spowiedź,
To słowo w słowo jest spowiedź fjołka.

KONWALIA

A gdybym ja też dawno wiedziała,
Co fjołek roi? Tak, wiem dokładnie.
To mi mówiła ma przyjaciółka,
Owa dzieweczka, jak ja nieśmiała.
Czy to znalazła w dzbanku swym na dnie?
Czy ów młodzianek przyniósł jej wieści?
Wszystko wiem, oprócz źródła powieści.

FIJOŁEK

Jeśli wiesz wszystko, to wyznam szczerze,
Iż ja wiem także, o czem tak długo
Konwalia marzy nad srebrną strugą.
Od przyjaciela wiem, od młodzianka.
Czy to dosłyszał w krynicznym szmerze?
Czy mu szepnęło dziewczę od dzbanka?
Źródła nie powiem, lecz wiem i wierzę.

(Długa chwila ciszy)

KONWALIA

Przeleciał tędy anioł milczenia.

FIJOŁEK

Tak, — ten co myśli w kwiaty przemienia.

1870.

MICHAŁ BAŁUCKI
(1837–1901).

NIE W PORĘ.

Raz byłem u niej: z kotkiem na ręce
Siedziała w oknie w białej sukience,
I paluszkami drażniła kotka:
Pieszczotka!
I wkoło twarzy dziewczęcia białej,
Zarumienionej, loczki się chwiały,
I uśmiechały się oczka czarne
Figlarne.
Siedzę i czekam godzinę całą,
By dziewczę z kotkiem igrać przestało
I pogadało kilka słów ze mną...
Daremno!
Ani mnie widzi, ani mnie słyszy,
Kotek jej rączkę chwyta jak myszy,
Czasem zadrapie. Ona to woli —
Choć boli.
Więc rzekłem sobie: jeszcze zawcześnie
Pukać w serduszko, co leży we śnie,
I unikałem dzieweczki białej
Rok cały.
Kiedym powrócił, znów w tym pokoju,
Przy tem okienku pełnem powoju,
Bluszczów, siedziała moja pieszczotka,
Bez kotka.

Lecz czegoś dziwnie zmieszaną była,
Oczy ku ziemi wstydna spuściła,
I zrumieniła się jak jabłuszka,
Po uszka.

Byłem pewniutki, że z mej przyczyny...
Wtem wiatr firanek ruszył muśliny,
I zobaczyłem sprawcę rumieńca —
Młodzieńca.

I znów panienka, jako przed rokiem,
Choć siedzę, czekam, nie rzuci okiem;
Lecz już nie kotek tym razem winny:
Kto inny...

Kto inny śpiące zbudził serduszko
I szepta teraz miłośnie w uszko...
Ha, szkoda! Późno przyszedłem trocha:
Już kocha!

ADAM ASNYK
(1838—1897).

CHŁOPCA MEGO MI ZABRALI...

Chłopca mego mi zabrali,
Matulu!
W świat daleki go pognali,
A ja za nim umrę z bólu.
Dałam na mszę sznur korali:
Niechaj Pan Bóg go ocali,
Matulu!

Do szerego poszedł z bronią,
Mój Boże!
Tam śmierć pewna; poszedł po nią:
Miłość moja nic nie może,
Ani łzy go nie zasłonią
Przed zawistnej śmierci dłonią —
Mój Boże!

Nie pytają o to wrogi,
Kto ginie...
Czy jest sercom ludzkim drogi?
Czy płacz siostry za nim płynie?
Czy umiera matka z trwogi,
Kiedy pyta śmierci srogiej:
Kto ginie?

Na kulami zaoranej,
Na roli,
Ma paść we krwi mój kochany...
Czyliż na to Bóg pozwoli,
By samotnie ginął z rany,
Zdala swoich — na zasianej
Krwią roli!

Spojrzyj na nas, Ty, Panienko
Przeczysta!
I nad serca mego męką
Ty się zlituj, o gwiaździsta
Niebieskiego dnia jutrzenko!
Osłoń jego swoją ręką, —
Przeczysta!

MIĘDZY NAMI NIC NIE BYŁO.

Między nami nic nie było!
Żadnych zwierzeń, wyznań żadnych!
Nic nas z sobą nie łączyło —
Prócz wiosennych marzeń zdradnych;

Prócz tych woni, barw i blasków,
Unoszących się w przestrzeni;
Prócz szumiących śpiewem lasków
I tej świeżej łąk zieleni;

Prócz tych kaskad i potoków,
Zraszających każdy parów,
Prócz girlandy tęcz, obłoków,
Prócz natury słodkich czarów;

Prócz tych wspólnych, jasnych zdrojów,
Z których serce zachwyt piło;
Prócz pierwiosnków i powojów, —
Między nami nic nie było!

TY CZEKAJ MNIE.

Ty czekaj mnie, dzieweczko cudna,
Pod tą wysmukłą topolą!
Przysięgam ci — choć to rzecz trudna, —
Że wrócę... gdy mi pozwolą.

Ty czekaj mnie i kochaj wciąż!
Będzie to wielką zasługą —
A jak się znajdzie dla ciebie mąż,
Nie każ mu wzdychać zbyt długo!

Lecz bierz z nim ślub i kochaj znowu,
Dopóki serca ci stanie,
I wierzyć chciej mojemu słowu,
Że to ci skróci czekanie.

Gdy minie już miłości szał —
Czekaj mnie pod tą topolą:
Chociażbym z grobu powstać miał,
Powrócę!... gdy mi pozwolą.

POSYŁAM KWIATY.

Posyłam kwiaty: niech powiedzą one
To, czego usta nie mówią stęsknione,

Co w serca mego zostanie skrytości
Wiecznym oddźwiękiem żalu i miłości.

Posyłam kwiaty: niech kielichy skłonią
I prószą srebrną rosą jak łezkami!
Może uleci z ich najczystszą wonią
Wyraz drżącemi szeptany ustami;
Może go one ze sobą uniosą
I rzucą razem z woniami i rosą.

Szczęśliwe kwiaty! im wolno wyrazić
Wszystkie pragnienia i smutki i trwogi;
Ich wonne słowa nie mogą obrazić
Dziewicy, choć jej upadną pod nogi;
Wzgardą im usta nie odpłacą skromne, —
Najwyżej rzekną: »Słyszałam — zapomnę«.

Szczęśliwe kwiaty! mogą patrzeć śmiele
I składać życzeń utajonych wiele,
I śnić o szczęściu jeden dzień słoneczny...
Zanim z tęsknoty uwiędną serdecznej.

BŁAWATEK.

Jaki to chłopiec niedobry!
Tak mnie wciąż zbywa niegrzecznie;
Muszę się gniewać na niego —
Gniewać koniecznie.

Niedawno wyrwał mi z ręki
Zerwany w polu bławatek
I przypiął sobie do piersi —
Skradziony kwiatek.

I jeszcze żartował ze mnie,
Gdym się żaliła na psotę,
Bo mówił, że ma coś więcej
Ukraść ochotę.

Że oczy moje piękniejsze
Niźli ten kwiatek niebieski,
Że chce pić rosę z bławatków,
A z oczów łezki.

I mówił dalej, niegrzeczny,
Że mnie rodzicom ukradnie:
Tak straszyć kogo, doprawdy,
Że to niеładnie.

Chciałabym gniewać się bardzo!
Nie widzieć więcej... ach, trudno!
Wiem, że mnie samej bez niego
Byłoby nudno.

Ale go muszę ukarać;
Podstępu na to użyję:
Będę umyślnie płakała —
Niech łezki pije!

LEGENDA PIERWSZEJ MIŁOŚCI.

Ja ją kochałem — tak mi się zdaje —
Bo cudną była w szesnastej wiośnie;
Umiała patrzeć na mnie miłośnie
I rwać mi serce w nadziemskie kraje.
A więc w jej oczach, pełnych tęsknoty,

Tonąłem wzrokiem i tak na jawie
Śniłem o różach, które ciekawie
Ponad jej włosów wybiegły sploty, —
Tak, że je zrywać ustami chciałem.
I byłbym przysiągł, że ją kochałem!

Ja ją kochałem, — ach! jestem pewny! —
Bom często błądził w noc księżycową,
Przypominając mojej królewny
Każde spojrzenie i każde słowo;
A w gwiazdy patrząc wpół nieprzytomnie,
Widziałem usta zwrócone do mnie,
Że aż mnie brała wielka pokusa
W wonne powietrze rzucić całusa..
Lecz się obrazić skromnej lękałem
I dość mi było, że ją kochałem...

Miłość to była, lecz taka cicha,
Że sam przed sobą bałem się zdradzić,
I tylko kwiatków szedłem się radzić,
Czemu dziś smutna i czemu wzdycha?
Ale o serca jej tajemnicę
Nie chciałem nawet lilii zapytać;
A gdy w ogrodu weszła ulicę,
Stałem, nie śmiejąc wzrokiem ją witać
I tylko do nóg upaść jej chciałem,
Kiedy w jej oczach łezki dojrzałem...

Bo przypuszczałem, że smutek rzewny,
Rozlany na jej anielskiej twarzy,
Wypłynął z serca i siadł na straży...
Tak przeczuwałem, nie będąc pewny.
I sam już nie wiem, jak się to stało,
Że zapytałem drżący nieśmiało:

Co jest jej smutku dziwną przyczyną
I czemu łezki po twarzy płyną?
Na to odrzekła smutnemi słowy
Że nie ma świeżej sukni balowej...

Chociaż wyrazy to obojętne
Upadły szronem, co serce ziębi,
Ale jej oczy mówiły smętne,
Że się myśl inna kryje gdzieś głębiej:
Więc pomyślałem, żem był za śmiały
I chcąc złagodzić moją zuchwałość,
Balowej sukni chwaliłem białość,
W którą się stroi krzak róży białej;
Chwaliłem ciernie, które jej bronią
Przed zbyt ciekawych natrętną dłonią.

Jednak już potem częściej myśl płocha
Trącała skrzydłem w błękit mych marzeń
I z różnych rozmów, sprzeczek i zdarzeń
Stawiałem wnioski: kocha? nie kocha?
I z tem pytaniem, jak Hamlet nowy,
Chodziłem długo w ranek majowy;
A kwiaty wonią, drzewa szelestem
Odpowiadały: kocham i jestem!
Nim powtórzyłem setne pytanie,
Wybiegła wołać mnie na śniadanie.

Różowa ze snu, w słońcu przejrzysta,
Stała przede mną jasna i czysta.
Zamiast brylantów na złote włosy
Jaśminy kładły kropelki rosy...
I tak oblana światła potokiem
Jeszcze mnie swoim paliła wzrokiem;
A ja, zmieszany, mówiłem do niej

O drzew szeleście i kwiatów woni —
Lecz ją nudziła moja rozprawa,
Bo rzekła: »Chodź pan, wystygnie kawa«.

Oj! oj! figlarko — myślałem z cicha, —
Nie chcesz mnie słuchać na głos i w oczy,
Za to twój uśmiech mówi uroczy,
I pierś, co mocniej teraz oddycha.
Nie chcesz mnie słuchać, bo w serca drżeniu
Czujesz, że staniesz cała w płomieniu,
Gdy ci wypowiem z schyloną twarzą
Słowa, co w ustach moich się ważą...
Wtem ona, widząc, żem zadumany,
Rzecze: »Pan jesteś dziś niewyspany...«

I tak mię nieraz mała psotnica
Zbijała z toru krótkiemi słowy.
Jam się w anielskie wpatrywał lica,
I w usta pełne niemej wymowy,.
I myśl czytałem, co z oczu strzela;
A serca mego tamując bicie,
Czułem, że nic nas już nie przedziela,
Że toniem razem w marzeń błękicie...
Lecz gdy się tylko spojrzałem tkliwiej,
Pytała: »Czemu pan się tak krzywi?«

Raz, ach! powziąłem myśl dosyć śmiałą,
Ukraść jej z album karteczkę białą
I na niej wszystko wypisać szczerze,
Co mnie ochota powiedzieć bierze:
A więc ubrałem w urocze farby
Całą jej postać czystą, powiewną,
I wysypałem końcówek skarby,
By miłość moją uczynić śpiewną —

Słowem, jak młody poeta liryk,
Wpisałem wierszem jej panegiryk.

Gdy to odkryła, chciałem uciekać:
Ale przemogła trwogę ciekawość, —
I już wolałem przy niej zaczekać,
Śledząc na twarzy wrażeń jaskrawość.
Ona czytała uważnie, zwolna,
Głębokich wzruszeń ukryć nie zdolna.
A gdy zdumienie minęło pierwsze,
Rzekła: »Pan takie pisuje wiersze?
Szkoda, że kartkę odjąć wypadnie,
Bo pan tak pisze krzywo, niełądnie!«

Zrazu to nieco mnie zabolało,
Że mnie tak zbyła lekko, złośliwie;
Ale myślałem: Ja się nie dziwię,
Że moje wiersze ceni tak mało.
Ona! to jeden poemat cały,
A moje wiersze pełne wyrazów
Pustych i ciemnych, mglistych obrazów,
Które w jej oczów blasku stopniały...
Nie umiem oddać tego, co roję:
Ona piękniejsza, niż wiersze moje!

I coraz bardziej i coraz więcej
O jej prostocie myśląc dziecięcej,
Pytałem siebie: czy jestem godny
Takiej miłości czystej, łagodnej?
Lecz czułem tylko, że byłbym dla niej
Gotów me życie poświęcić w dani;
I byłbym rzucił wszystko — gdy trzeba,
I poszedł za nią prosto do nieba,
I byłbym poszedł za nią do piekła...
Gdyby — nie była z drugim uciekła.

MIRON
(1841—1895).

ROZSĄDNE DZIEWCZĘ
(PROŚBA ZBŁĄKANEGO AMORA).

Dziewczę urocze,
Otwórz drzwi swoje,
Bo już noc ciemna
I ja się boję.

Wybiegłem z domu
Rano ukradkiem
Z łukiem na ptaki...
Jowisz mi świadkiem.

Otwórz! ja za to
Dam w warkocz różę
I wycałuję
Twe oczy duże.

Albo nauczę
Robić w sekrecie
Siatkę na chłopców —
Otwórz-że przecie!

Czyżbyś pragnęła,
Bym spał na ziemi,
Zziębły i głodny
Pod drzwiami twemi? —

Ach! już zgaduję:
Próżne mozoły!
Ty mną pogardzasz,
Bo jestem... goły.

MARYA KONOPNICKA
(1846--1910).

JAKŻE CIĘ MAM BRAĆ...

Jakże cię mam brać, dziewczyno,
Jakże cię mam brać,
Kiedy mi cię z białej chaty
Nie chcą ojce dać?...

Anim ja nie ptak skrzydlaty,
Anim ja nie ptak,
Żebym z tobą leciał w górę,
Przez ten modry szlak!

Anim ja nie duch, najmilsza,
Anim ja nie duch,
Żebym ciebie zdmuchnął z ziemi,
Jako z kwiecia puch!

Anim ja nie mgła z nad łąki,
Anim ja nie mgła,
Żebym ciebie skrył tumanem
Przed jasnością dnia!

Anim ja nie grób, dziewczyno,
Anim ja nie grób,
Żebym z tobą poniewoli
Dostał wieczny ślub!

Oj, padają łzy z wierzbiny,
Oj, padają łzy!...
A kiedyż ty, słonko moje,
Będziesz świecić mi?

NIE SWATAŁA MI CIĘ.

Nie swatała mi cię swatka,
Ani ojciec, ani matka,
Jeno pieśni skowronkowe,
W te poranki, w te majowe,
Jeno jasne one zdroje,
Kędy konie co dnia poję,
Jeno gołąb ten skrzydlaty,
Jeno dróżka do twej chaty,
I fujarki onej granie,
Co rozlega się po łanie,
I te trzciny, rokiciny —
— Jedźże, Jaśku, do dziewczyny —
Hej!...

Nie swatały mi cię kumy,
Jeno ciemnych lasów szumy,
Jeno tęskność, co się ściele
Po ugorach, jak złe ziele,
Jeno mokra ona łąka,
Gdzie się nocką tuman błąka,
Jeno złote ono słońce,
W cichych zorzach zachodzące...
Odwieczerzem jednem, drugiem,
Pług za łanem, ja za pługiem,

Za mną zasię słonko chodzi,
— Dziewczę ci się, Jaśku, godzi,
Hej!...

Ludzie mi cię nie raili,
Ani do mnie miodem pili,
Jeno ten miesiączek biały,
I te gwiazdy cię swatały...
Nie chodziły tu sąsiady,
Na namowy, na wywiady,
Jeno cichość wieczorowa
Niosła skądciś miłe słowa,
Nocka jeno w oknie stała,
Chłodną rosą przypijała,
Chłodną rosą mnie budziła —
— A gdzie, Jaśku, twoja miła?..
Hej!...

PRELUDYUM.

Nie kocham jeszcze, a już mi jest drogi,
Nie kocham jeszcze, a już drżę i płonę
I duszę pełną o niego mam trwogi
I myśli moje już tam, w jego progi
Lecą stęsknione...
I ponad dachem jego się trzepocą
Miesięczną nocą...

Nie kocham jeszcze, a ranki już moje
O snach mych dziwnie wstają zadumane,
Już chodzą za mną jakieś niepokoje,

Już czegoś pragnę i czegoś się boję
W noce niespane...
I już na ustach ślad noszę płomienia
Jego imienia.
Nie kocham jeszcze, a już mi się zdaje,
Że nam gdzieś lecieć, rozpłynąć się trzeba,
W jakieś czarowne dziedziny i kraje...
Już mi się marzą słowicze wyraje
Do tego nieba,
Które gdzieś czeka, aż nas ukołysze
W błękitną ciszę.

JEŻELI KOCHASZ...

Jeżeli kochasz, nie wołaj mnie z sobą!
Pomiędzy nami jest przepaść głęboka,
Co nas rozdziela swych cieniów żałobą
Na wieki!

Próżno oczyma poglądasz smutnemi,
I próżno drogie wyciągasz ramiona...
Ty będziesz dla mnie tak zawsze na ziemi
Daleki!

Od ciebie do mnie, ode mnie do ciebie
Wolno przelatać promieniom księżyca,
Co w zmierzchy letnie całuje na niebie
Lazury...

I szumom lasów i ciszy pieszczotom,
Pieśni słowiczych wyznaniom namiętnym,
I pełnym pragnień wieczystym tęsknotom
Natury.

Ale my sami tak trwajmy, bez słowa,
Bez łzy, bez skargi, jak cienie dwa blade...
Ból nasz niech tylko milczenia wymowa
Tłómaczy.

Rozkosz?... Czy myślisz, że chwile zachwytu
Duch twój — sam sobie, obojgu nam — życie,
A twym porywom konieczność przesytu
Przebaczy?

My tak zostańmy na długo, na zawsze!
Płonące usta śmierć niechaj ochłodzi...
Mnie szczęście inne, pełniejsze, jaskrawsze
Przeraża...

Żadnych uniesień i żadnych wybuchów!
Mojemu sercu daj spalić się w ciszy,
U beznadziejnych pożądań wszech duchów
Ołtarza...

My nie z tych, coby umieli róż kwiatem
Zarzucić przepaść dzielącą dwie dole,
I przejść królewskim rozkoszy szkarłatem
Głębinę...

Ja wiem, że jeśli zawołasz mnie w ciszy
Imieniem, które na ustach ci płonie,
Dusza cię moja stęskniona usłyszy
I zginę!

I to, co miało mi źródłem być mocy,
Będzie omdleniem potęgi istnienia...
Co było światłem, to stanie się nocy
Żałobą...

O patrz! ta przepaść tak pełna jest trwogi...
Dusza się moja wyrywa do ciebie...
Jeśli więc kochasz, nie wołaj mnie, drogi,
Ze sobą!

IDŹ, IDŹ W POKOJU!...

Idź, idź w pokoju!...
Nie przeznaczonem było nam na ziemi
Chodzić tu razem ścieżkami cichemi,
I wspólną gwiazdę nad czołem mieć złotą,
I poić usta, płonące tęsknotą,
Z jednego zdroju...

Na piersi twoje
Spadłam, jak gołąb wichrami zagnany
W kraj cichy, światłem miesięcznem oblany,
A pióra moje przejrzystsze się stały,
Tak byłeś czysty i tak byłeś biały,
Taką-ś miał zbroję...

Lecz dziś — nie mogę
Spać na twych piersiach... Dziś róża w mej dłoni
Od twego tchnienia—choć biała—się płoni,
I jakieś dziwne latają dziś mary
U tej z błękitów nad nami kotary,
Dziś czuję trwogę...

Coś woła, budzi...
Więc lekkie skrzydła unoszę spłoszona
Z twojego serca drżącego i z łona,
I słyszę burzę, co w tobie się wichrzy,
I już nie jesteś najbielszy, najcichszy
Ze wszystkich ludzi...

WŁODZIMIERZ WYSOCKI
(1846—1894).

ZAPATRZONY...

Zapatrzony na szyjkę białą, otoczoną
Paciorkami korali, co kilkoma sznury
Z taką legły rozkoszą na dziewicze łono
I tam się kołysały, wznoszone do góry,

Patrzyłem... jednak oczy jakoś się mi ćmiły
A od niej biło ciepło... Niby rajskie wonie
Owiały mię i płomień wiały w moje żyły...
Otoczyłem jej kibić i zbliżyłem skronie.

»Pocałuj mię!« Już dziewczę ku mnie się nagina,
Wtem zgóry spadła na nas orzechu łupina,
I — z rąk mych się wymknęła Ołeńki figurka.

Spojrzeliśmy: zwierzątko na drzewie ukryte
Patrzy na nas, złocistą nastrzępiwszy kitę...
»Ołeńko!«—»Ja się wstydzę... obaczy wiewiórka...«

WŁADYSŁAW ORDON (SZANSER)
(ur. 1847).

ZŁOŚNICA.

O! drżę cały, drżę jeszcze, kiedy wspomnę ranek,
Ów ranek, gdy zza białej kotary firanek,
Wyjrzałaś tłumionemi łkaniami wstrząsana;
I słońce nie świeciło nawet tego rana,
I kwiaty nie pachniały — i świat tobie cały,
Wydawał się szkaradny, niewdzięczny i mały.
Tak, mały... Bo w twej piersi, jak w piersi Nerona,
Wrzała burza namiętna, tyrańska, szalona!
Podnosiła pierś białą, na serce się kładła,
A nawet, gdyś podeszła wreszcie do zwierciadła,
O! zgrozo, oczy były od płaczu czerwone!
Magnetycznie uczułem wtedy, w moją stronę
Żeś zwróciła się drżąca gniewem i pogardą.
A potem, odrzuciwszy z dumą kosę hardą:
— Przebaczyć mu!? — wołałaś — nigdy! Wielkie [nieba,
Czerwone oczy z czarnych, czyż więcej potrzeba,
Żeby mię zeszkaradzić! Nie, lustro się myli,
Ach, to lustro fałszywe! czyżby w jednej chwili
Oczy się tak zmieniły i lice tak zbladło?
Jeśli to prawda... Boże! ja umrę z rozpaczy...
Ale pierwej się zemszczę i Bóg mi przebaczy!
Rozbiję jego serce!
I... zbiłaś zwierciadło.
Złośnico! figla tobie wyrządzę w sekrecie:
W miejsce zbitego lustra, na twej toalecie

Postawię serce moje... A gdy twoje oczy
W rozkochanej się jego zagłębią przezroczy;
Cofną się przed pięknością nieznaną—choć własną!
Ujrzą twarz, — ale inną: — promienistą, jasną,
Twarz wiecznie jednakową, w jednakiej piękności,
Twarz swej pani, odbitą przez pryzmat miłości!
Tak, przejrzysz się w mem sercu... A za to oszczercę
Zwierciadło, ukarane w ów szkaradny ranek:
Ja wezmę na pamiątkę z przed białych firanek,
Przez wdzięczność, że mi biedne ocaliło serce!

WIKTOR GOMULICKI
(1850—1919).

PRZYJDŹ!...

W majowy dzień,
Gdy wszystko zmartwychwstaje,
Gdy pełne ogrody i gaje
Miłosnych drżeń —
Przyjdź do mnie, upragniona!...
W otwarte spłyń ramiona,
Jak Anioł Zmartwychwstania,
Co grobu straż rozgania,
Trumienne wieko kruszy —
Wyjście otwiera duszy!
Przyjdź, abym powiedzieć mógł:
— Jest Bóg!
Jest wszechpotężna siła
Na ziemi, jako w niebie,
Najmędrsza, bo ciebie stworzyła.
Najlepsza, bo dała mi ciebie!
W lipcową noc
Różano-jaśminową,
Gdy wstrząsa ziemią-niemową
Mistyczna moc —
Przyjdź podobna ogniowi,
Co mnie stli i odnowi!
Obejmij mię pożarem
I daj, uścisków czarem,

W mgnieniu, które świt płoszy,
Przeżyć wieczność rozkoszy!
Przyjdź! — aby dla dwojga nas
Znikł Czas!
Byśmy się w szału chwili
Stopili i roztopili,
Jak łza i uśmiech w dziecka licu,
Jak para chmurek przy księżycu!...

W jesienny zmrok,
Gdy wicher, wyjąc, płacze,
Uśpione wstają rozpacze,
Łza mąci wzrok —
Przyjdź, jak Anioł Pociechy,
Słodkie siejąc uśmiechy!
Żałobna moja cela,
Skąd uszedł duch wesela,
Niech tobą się rozświeci,
Zapachnie i rozkwieci.
Przyjdź! — a gdy zakryje toń
Twą dłoń,
Pierzchną czarne zastępy:
Kruki, puhacze, sępy,
Powróci zbiegły brat do braci,
Piekło ofiarę jedną straci...
W zimowy świt,
Gdy w cmentarnym kurhanie
Uciszy się już me łkanie
I zębów zgrzyt —
Przyjdź, — i na świeżym grobie,
W czarnych oczu żałobie,
Choć bez wdowiego stroju,
Stań — posągiem Spokoju.

Ty biała, cmentarz biały
I ja — ze śnieżnej skały.
Przyjdź — aby potwierdził grób
Nasz ślub!

A gdy w trumiennej czczości
Lica mi błysną kochane —
Ocknie się dusza od radości!
Ach! od radości — zmartwychwstanę!

PIOSENKA.

Nim czar miłosny,
Nim cuda wiosny
Porzucą nas,
Kochaj, dziewczyno!
Niech płynie wino
Z pieśniami wraz.

Niech skrzą się oczy
Zaczem je zmroczy
Mogiły cień! —
Gdy minie pora,
Z mroków wieczora
Ktoż zrobi dzień?

Marzenia mylą,
A życie chwilą —
Pocóż więc śnić?
Dusza i zmysły
To węzeł ścisły;
Kochać — to żyć!

CZEMU?

Czemu Bóg ci dał
Uśmiech tak uroczy,
Tak anielską twarz,
Tak szatańskie oczy?
Czemu Bóg ci dał,
Powiedz, moja luba,
Tygrysicy krew,
A ciało cheruba?

Jak dyamentu blask
Mienisz się zdradziecko,
Namiętnością — czart,
Marzeniami — dziecko.
Coraz inny strój
Zdobi czoło twoje:
Dzisiaj lilji kwiat,
Jutro bluszczu zwoje.

Kiedy srebrny zmrok
Na komnatę pada,
Chętnie chylisz skroń,
Zadumana, blada;
Kiedy płynie pieśń
Na powietrza fali,
Jak bachantka drżysz,
I wzrok ci się pali.

Czemu kryjesz pierś
Nieczułości zbroją,
I strumieniem łez
Twarz zalewasz moją;

Czasem z cudnych ust
　　Dajesz pić słodycze —
Naprzemiany: czart,
　　Albo Beatrycze.

I piekło i raj
　　W tobie się jednoczy —
Czemuż Bóg ci dał
　　Tak szatańskie oczy?
Czemuż Bóg ci dał,
　　Powiedz, moja luba,
Tygrysicy krew,
　　A ciało cheruba?

KAZIMIERZ GLIŃSKI
(1850—1919).

U WRZECIONA.
(FRAGMENT).

Snuj się nitko! snuj marzenie!
W różnobarwny pas tęczowy...
Pląćz się w blaski, światła, cienie,
W sznur się przemień koralowy.

Wypłyń na ten próg, za wrota,
Na zielone łąk przestrzenie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Serc dziewiczych maro złota!

Wionął zdala wietrzyk cichy,
Przez staw srebrne przeszło drżenie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
W splot powojów, w róż kielichy!

Wypłynęła łódź z młodzieńcem,
Gdzie się kładą od wierzb cienie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Za tą łódką płyń fal wieńcem.

Wioślarz podniósł twarz z nad wody,
Wzrok zapuścił w gajów cienie,
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Kogo szuka wioślarz młody?

Postać piękna, silna, rosła,
Wąs w jedwabiu, włos w pierścienie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Deszcz brylantów pada z wiosła

Gdzie on płynie w cichym biegu?
Zwrócił na mnie wprost spojrzenie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Błysły pluski fal u brzegu...

Przybił.. skoczył... Już koło mnie,
Piersią rzucił jak wiatr tchnienie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Zaczął cicho szeptać do mnie.

Płyną słowa ciche, drżące,
By arfianych strun brzęczenie,
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Rozbudź echa w sercu śpiące.

Czuję ogień w piersi, w skroni,
I stuk serca i krwi wrzenie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Arfa dzwoni... dzwoni... dzwoni...

Co on mówił, żem tak trwożna,
Stała w drzew schowana cienie?
Snuj się nitko! snuj marzenie!
To oszaleć było można!

Szeptał: »kocham!« Dźwięk uroczy
Ginął szmerem, jak westchnienie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Jam spuściła na dół oczy...

On przytulił mię do łona,
I poczułam ust płomienie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Wieńcem kwiatów płyń w ramiona.

Zmierzch wieczorny upadł z góry,
Księżyc rzucił w dal promienie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
W haft koralów, w pereł sznury!

Coś zbudziło echa gaju,
Coś splątało drzew półcienie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Wiedź do nieba, wiedź do raju!

Świecą marzeń jasne sploty,
Jak północnych gór kamienie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Na mym palcu pierścień złoty!

Ślub, wesele, tan, swoboda,
Rozkosz, szczęście, upojenie!...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Dom opuszcza panna młoda.

Rozjechali się drużbowie...
Jak mi serce drży szalenie!
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Przyszedł do mnie... Co on powie?

On... Ja tylko!... Brzękło w ciszy.
Z pocałunkiem ust, westchnienie...
Snuj się nitko! snuj marzenie!
Nikt nie widzi, nikt nie słyszy!

Jak gołąbka staję zlękła...
Zmierzch nadpłynął... noc, milczenie...
Snuj się nitko!... — Ach, nić pękła,
I wionęło w dal marzenie!

BOLESŁAW CZERWIEŃSKI
(1851—1888).

STARE DZIEJE.

»Jam pan, jam król, gdy rączkę twą
W swych drżących dłoniach pieszczę,
Gołąbko ma, całuska daj...
Och! jeszcze... jeszcze... jeszcze...

»Twe złote włoski na mą twarz
Spływają miękką falą,
Na chwilę chłodzą czoła żar,
Za chwilę ogniem palą...

»Oddechu twego cudna woń,
Jak wietrzyk podczas spieki...
Och! nie odrywaj ust od ust...
Niech zrosną się na wieki!«

»Na wieki, mówisz, drogi mój?
Więc przysiąż mi statecznie,
Że nigdy nie opuścisz mnie,
Że kochać będziesz wiecznie!«

»A ty!« »Wątpliwość możesz mieć,
Choć znasz tak serce moje?
Niewdzięczny!« — »Przebacz, błagam cię!...«
Przysięgliśmy oboje...

Przesięgi naszej — stara rzecz —
Wysłuchał księżyc blady,
Ciekawy po nas wodząc wzrok
Przez starych lip arkady...

Ach! jak nam słodko spływał czas
W cienistych tych alejach,
Codzień w różowych byliśmy
Marzeniach i nadziejach...

Co wieczór śród miłosnych drżeń
Śniliśmy ideały...
Miesiące tak mijały, aż
Rok wreszcie minął cały.

W rocznicę naszych przysiąg znów
Siedzieliśmy przy sobie,
Jak zwyklem trzymał w dłoniach mych
Anulki ręce obie...

Lecz oczy me błądziły gdzieś
Po niebie inną stroną —
A moja lubą miała też
Twarzyczkę odwróconą.

Do rozhoworu brakło nam
I chęci i osnowy —
I ręce nam nie drżały już
I zimne były głowy...

Na jedno tempo — aż mi wstyd —
Obojeśmy ziewnęli —
»Pan ziewasz?« »Pani ziewasz też...«
I miłość dyabli wzięli!

Minęły lata... Duszka ma
Oddawna już mężatką —
Staruszek zacny mężem jej,
Więc bywam tam nierzadko...

I cóż powiecie? Kiedy mąż
Czasami zdrzemnie trochę,
My ręka w rękę siedzim znów
I myśli roim płoche...

I dłonie nasze znowu drżą,
Znów płoną ust korale,
Rozmowa cicha nie rwie się
I nie ziewamy wcale.

MARJAN GAWALEWICZ
(1852—1910).

NIE KOCHA!...

Za motylami biegała
Calutki dzień —
Każda różyczka ją znała,
Każda ją mile witała
Wonią swych tchnień.

Drzewa szumiały radośnie;
Gdy weszła w gaj —
Ptaszę nuciło miłośniej,
Echa wtórzyły mu głośniej,
Istny był raj!...

I wszędzie wkoło dziewczyny
Tajemny gwar
Wznosiły kwiaty, krzewiny,
Jakby jej ustek maliny
Rzucały czar.

Aż raz zerwała malutki
Wyroczni kwiat:
— »Nie kocha!...« rzekł liść stokrótki
I zasiał w sercu jej smutki,
Zachmurzył świat.

Odtąd po gaju już rzadko
Biegała w dzień —
Umknęło motyli stadko,
A między kwiatów gromadką
Snuł się jej cień.

Kiedy wśród smutnej zadumy
Schylała skroń —
Listki głuszyły swe szumy,
A kwiatów tęczowe tłumy
Wstrzymały woń.

I milkły ptaszęta śpiewne,
Gdy weszła w gaj,
Wciąż powtarzając to rzewne:
— »Nie kocha, och, nie — zapewne...«
Rozwiał się raj!

A patrząc na takie skutki
Tej wróżby złej —
Powiędły wszystkie stokrótki,
Dzieląc królewny swej smutki
I troskę jej!...

STANISŁAW GRUDZIŃSKI
(1852—1884).

NAIWNY.

Raz mi ona mówiła,
Że nas chyba mogiła
    Rozłączy.
Światło zmieni się w cienie,
Nim się nasze marzenie
    Zakończy!
I w rozwarte ramiona
Wpadła cała spłoniona
    I drżąca,
I w cienistym mnie lasku
Całowała przy blasku
    Miesiąca.
Gdy spoiły się usta,
Ona przedtem tak pusta
    I płocha,
Powtarzała wzruszona,
Tuląc mi się do łona,
    Że kocha!
Rzekła: »Zawsze i wszędzie
Serce wierne ci będzie
    Przy tobie —
Bo jak Bóg jest na niebie,
Nie zapomnę ja ciebie
    I w grobie!«

. . . .

Ale przeszło dni kilka
I dziś piękna Emilka
Natchniona,
Nowych snując mar roje,
Pada, ale... nie w moje
Ramiona!
I w tym lasku olszowym,
Na kobiercu darniowym
Dziewczyna,
Gdy nikt nagle nie spłoszy,
Już ciąg nowych rozkoszy
Zaczyna.
I powtarza innemu,
Kochankowi nowemu
Sen dziwny...
Szepce słodko do ucha,
A on wierzy i słucha —
Naiwny!

JÓZEF STANISŁAW WIERZBICKI
(ur. 1853).

O! JAKŻE CHCIAŁBYM.

O! jakże chciałbym (choć się nie roi
Jeszcze mej duszy o wniebowzięciu)
Skonać z miłości... na piersi twojej
I śnić tak wieki... w twojem objęciu!

Jeden twych ustek całus miodowy
Z snu śmierci by mię do życia cucił,
Jeden twój uścisk... i sen grobowy
Znówby na oczy moje powrócił...

I usypiając, w czasie konania,
Miałbym pociechę w nadziei złotej,
Że znów nastąpi czas zmartwychwstania,
Że znowu skonam śród twej pieszczoty!

ASPAZYA.

Masz uśmiech dziecka, co kocha i wierzy
W poczciwość ludzi i świętość pacierzy.
Masz wzrok Madonny, co z świętego lica
W błękit dusz patrzy i serca przenika,
A jednak jesteś namiętna i dzika,
Niby krwi żądna pustyń tygrysica.

Uśmiechem dziecka porwałaś mi duszę,
Wzrokiem Madonny uniosłaś ku niebu,
Z którego wiecznie smętny spadać muszę,
Tęskniąc do ciebie z mojego pogrzebu.

Strach mi cię kochać, niekochać nie mogę
Gdy mnie twe oczy, twój uśmiech zachwyca,
Męczennik wołam, czując męki błogie:
Rozszarp mi jeszcze serce, tygrysico!...

CZESŁAW JANKOWSKI

(ur. 1857).

PAŹ KRÓLOWEJ.

Graj mi, wciąż jeszcze graj,
Mój paziu, mój ty mały,
Graj mi, wciąż jeszcze graj,
Co ci podszepnie maj.

Najświeższą oto z róż,
Co ranne mgły owiały,
Najświeższą oto z róż
Dla ciebie zrywam już...

O pani, nie każ mi
Tknąć srebnostrunnej lutni,
O pani, nie każ mi
Wiosennych śpiewać dni.

Dość mi tych piosnek mdłych,
Wciąż tęskniej mi, wciąż smutniej,
Dość mi tych piosnek mdłych,
Śpiewanych u nóg twych.

Królowo, w duszy mej
Przedziwne zaszły zmiany,
Królowo, w duszy mej
Wyczytać prawdę chciej.

Rwie mi się serce w świat,
W szeroki świat nieznany,
Rwie mi się serce w świat
Po plon młodzieńczych lat.

Bojowa surma gra.
Grzmią, wrą i kipią boje,
Bojowa surma gra,
Czem przy niej lutnia ma?

Tam, pani, daj mi iść,
Weź wszystkie kwiaty swoje,
Tam, pani, daj mi iść!
Po krwawy lauru liść!...

* *
*

O zorzy hufce szły
Ordynkiem z zamku bramy,
O zorzy hufce szły
Hen, z gór w poranne mgły.

W narożnej izbie tam
Królowa w oknie stoi,
W narożnej izbie tam,
Od dworskich zdala dam.

I duma, patrząc w dal,
I własnych dum się boi;
I duma, patrząc w dal,
Serdeczny tłumiąc żal.

U stóp królowej tuż
Milcząca lutnia leży;

U stóp królowej tuż
Najświeższa więdnie z róż.

A tam z podleśnej mgły
Wiatr niesie pieśń ku wieży.
Hen, tam w podleśne mgły
Królowej płyną łzy...
Królowej płyną łzy.

WIOSNY ZADUSZNY DZIEŃ.

Te białe ku mnie przybliż chryzantemy
I ów medalion ze ściany mi daj —
I cicho teraz rozmawiać będziemy...
Był niegdyś — maj.

Maj był tak jasny, tak piękny, dziecino,
Że nie mógł długo trwać: jak mgły... jak sny...
Kiedyś — w Zaduszny dzień — szarą godziną,
Maj taki będziesz wspominać i ty.

Przyjdziesz siąść może w tym oto fotelu,
Gdzie życia mego dzień powoli gasł...
Cyt! — cyt! Niech wskrześnie widmo z przed lat wielu
Ostatni raz.

Czemu tak drgnęły kwiaty — tam — na stole?
Wionęło chłodem... dziwnym... Przymknij drzwi...
Był maj. Wprost z sadu dróżka wiodła w pole...
Śni mi się, śni.

Śni się... Jak błogo!... Cicho... I powoli
Na wszystko dziwny jakiś schodzi cień.
Daj mi, daj rękę!... Przeszło już. Nie boli!
Już odświęcony wiosny mej i doli
Zaduszny dzień.

Z ARABESEK.

Gdym chciał serdeczne skreślić udręczenia,
Rozmowę nagłym tyś przerwała zwrotem;
Skinęłaś główką, rzekłaś: »Do widzenia!
A... kiedyś, kiedyś... pomówimy o tem«.

Tym innym razem: była noc majowa.
(Sami pod nieba gwiaździstym namiotem).
Miałem na ustach przenajtkliwsze słowa...
Czyś ty, królowo, zapomniała o tem?

Potem — ulicą szliśmy. Gwar śródmieścia
Targał nam nerwy nieznośnym łoskotem.
Rzekłem: »O, wątła pamięci niewieścia!«
A tyś szepnęła: »Ach!... nie mówmy o tem...«

Nie mówmy o tem! — O! kapryśna pani!
Znienawidzona — kochana... przelotem!
Otośmy w cichej oboje przystani — —
I mówić nigdy już nie będziem — o tem.

EDMUND BOGDANOWICZ
(1859—1911).

QUASI-EKLEGA.

— Leśną malinę Sylen zgniótł,
Zgniótł i rumiany pił jej miód. —
— Bateo*), czemu drżysz cała?
— Raz leśną dziewkę porwał bóg,
Wlókł ją po mchach, ślad znacząc dróg
Różaną smugą jej ciała.
— Bateo, czemuś zadrżała?

Patrz, jakie miękkie leśne mchy,
Patrz, jakie złote skaczą skry,
Gdzie stopa twoja biała.
Bateo, nachyl malin ust...
Drżysz?... To pod nogą chrzęstnął chróst...
To echa fletnia grała.
— Bateo, czemuś zadrżała?

Las duszny, — jakaś bije woń.
Czy tchnie kadzidłem leśna toń,
Czy róże twego ciała? —
Patrz, jak się wdzięczy Chloi strój,
Jak Irys szaty zdziewa w zdrój,

*) Batea, imię kobiece — malinowa. (Przyp. autora).

Jak w bluszczach stoi skała —
— Bateo, czemu drżysz cała?

Powojów jasny spływa włos,
W paprociach szemrze szelest ros.
Erosa brzęczy strzała —
— Bateo, malin nachyl ust...
Drżysz?... To w krzach tylko gwizdnął drózd,
To Psyche nam się śmiała, —
— Bateo, czemu drżysz cała?

Cyt! słychać tupot bosych nóg...
To, malin szuka leśny bóg. —
— Bateo, czemu drżysz cała?
Słysz, jaki tam zdyszany czwał!
Patrz, jaki tam słoneczny szał
I ramion pas w pół ciała!...
— Bateo, czemu drżysz cała?

— Leśną malinę Sylen zgniótł,
Zgniótł i rumiany pił jej miód. —
— Bateo, jakaś omdlała!...
Kalliste! Już cię porwał bóg,
Zmógł i po mchach omdlałą wlókł
W różanym rozkręcie ciała —
— Bateo, moja ty — cała! —

ADAM M-SKI (MAŃKOWSKA)
(ur. około 1860, um. 1911).

WZIĄŁEM CI WSZYSTKO.

Wziąłem ci wszystko, com mógł wziąć od ciebie:
Błękit twych oczu, by o nim śnić wiecznie,
Ilekroć zechcę zamarzyć o niebie;
Połysk twych włosów świecących słonecznie; —

Dźwięk twego głosu, by jak dumka słodka
Niósł mi o szczęściu i weselu wieści,
A gdy cierń nowy czoło moje spotka,
Był mi piastunką kojącą boleści; —

Szkarłat ust twoich, by mi lśnił jak róże,
Z któremi wietrzyk o rozkoszy szepce,
Jak te upojeń czarodziejskie kruże,
Ku którym idąc, śmiało głóg się depce.

Wziąłem ci więcej, wziąłem duszę twoją
I roztopiłem w ogniu mego ducha,
I odtąd czuję, jak siły się dwoją,
Jak zdrój natchnienia z piersi mej wybucha.

I tak mi błogo, gdy myślami memi
Łączę się z tobą, choć od cię daleki;
Choć wiem, że niema mocy na tej ziemi,
Coby złączyła nas; z pod mej powieki

Łza się nie toczy. — Wyciągam ramiona
Do gwiazd w błękity, z nich obraz twój spływa;
Ja go ukrywam w głębi mego łona,
Gdzie jak w kaplicy relikwia spoczywa.

USTA.

Usta, usta purpurowe,
Co za czar z was tchnie?
Wy, łagodne i surowe
I natchnione i zmysłowe,
Usta, usta purpurowe,
Czemu o was śnię?

Róża wznosi krasną głowę,
Rój pszczół ku niej mknie.
Chcą nektary pić miodowe
W krótkie, letnie dni czerwcowe;
Usta drogie, purpurowe,
Czemu o was śnię?

Tam, gdzie Ganges rwie spieniony,
Rośnie dziwny kwiat:
Ledwo dotknie mu korony,
Ginie owad pochwycony,
Usta, do was przytulony,
Konałbym tak rad!

Usta, widok wasz oszala!
Błogi, kto was tknie;

Lecz ten męki czuł Tantala,
Komu żądza pierś przepala,
A on, patrząc wiecznie zdala,
Znał was tylko w śnie.

JÓZEF WEYSSENHOFF
(ur. 1860).

SIEDEM GRZECHÓW GŁÓWNYCH.

Pycha twoja na obręczach
Aksamitnych brwi zawisa,
W twoich oczu hardych tęczach
Modra pyszni się hurysa.

Czy się puszysz pawią szatą,
Czy nagością szydzisz z ranka,
Czy się drożysz, Lyzistrato,
Czyli stąpasz, jak Hiszpanka,

Czy twa kibić się przechwala,
Czyli warga wzgardą prycha,
Czy się chełpi gorsu fala —
Wszędzie tylko pycha, pycha!

Że łakomstwo jest niecnotą,
Opowiadał stary Kato —
Dziś i cnota lubi złoto,
Tylko nie chce nic dać za to.

Każdy ciągnie, ile się da,
Każdy tylko woła: zamień!
Więc nie wielka znowu bieda,
Że tam lubisz... twardy kamień,

Że tam kiedy śnisz o złocie
W formie krągłej, w jubilerce,
Poco ślęczeć w czoła pocie,
Gdy masz ładne takie serce?

Gdybym rzekł, że się obżera
Buzia twa, ten kwiatek śliczny,
Grzech popełniłbym — i wiera
Grzech tak mało estetyczny.

Powiem raczej: łykasz grzesznie
Rozperlone ostryg brzuszki
I ząbkami się ucieszenie
Do soczystej śmiejesz gruszki.

Dajesz nawet w moc szatana
Wszystkie władze mojej duszy,
Kiedy wina słodka piana
Ust twych róże szronem prószy.

Twe lenistwo się rozkłada
Cudną linią na kanapie —
Grzech to cudzy i nielada,
Gdy cię widzą męskie gapie.

Twe lenistwo w służbie Bożej,
Przy niedzieli, czy powszednie,
Niech się skromniej choć położy,
Niechby w nocy, a nie we dnie — —

Bo zmyśliły znów dziwadła
Dla kobiety te kanony!
Gdyby nigdy się nie kładła,
Toćby świat był przewrócony!

Gniew od ludzkiej pra-pamięci
W dwóch gatunkach rozróżniano:
Lekki — noskiem tylko kręci,
Ciężki — ciska porcelaną.

Trzeci rodzaj kobiet gniewu,
Znany teologom starszym,
Jest to gniew od niedośpiewu —
Ten zaś bywa najupartszym.

Że ząbkami umiesz zgrzytać,
Sam widziałem kiedyś z rana —
Lecz wolałem już nie pytać,
Która gniewu to odmiana.

Wiew spódniczki twej wiośniany
Grzech zapachem swym rozszerza,
Batyst, jedwab, tarlatany
Też nie nęcą do pacierza.

Przez mgłę lekką »Idealu«
Wypieszczona wabi skórka
I ponętą w każdym calu
Dyszy giętka twa figurka.

Im cię bliżej znać, tem więcej
Upojenia w tobie gości
I pokusy tej dziewczęcej...
A to wszystko — z nieczystości.

Czyś zazdrosna? — tak z uśmiechu
Drapieżnego sobie wróżę — —
Chciałbym i siódmego grzechu
Na mej własnej doznać skórze.

Drapnij nawet kocim szponkiem,
Jeśli pragniesz tej uciechy —
Że nie jestem twym małżonkiem,
Zniosę wszystkie twoje grzechy.

I dam sobie z nimi radę,
Przyjmę, stłumię, w rymy splotę...
Wiesz co? — skarb na szalę kładę:
Dam ci za nie moją cnotę.

JAN KASPROWICZ
(ur. 1860).

NIERAZ SIĘ PYTAM.

Nieraz się pytam, czy ja kocham ciebie?
Czy to nie blaski uczucia zwodnicze,
Podobne zorzy wieczornej na niebie,
Która, przed sobą widząc noc mogiły,
Jeszcze ostatnie wydobywa siły,
Jeszcze ostatnie chce rozdmuchać znicze
I płonąć.

Wówczas drętwieję i jestem lodowy,
Jakby mnie sztukmistrz uwięził w marmurze,
Jakby mi stopy przygniotły okowy,
Że na swą zwykłą nie umiem wejść drogę...
I chciałbym płakać, lecz płakać nie mogę,
I w niebios jasnym nie mogę lazurze
Utonąć.

Najdroższa moja! ty poznasz tę chwilę,
Gdy do uścisku zimne podam dłonie;
Kiedy źrenicę, co zniosła już tyle
Spojrzeń, przed twemi chcę zakrywać oczy...
Poznasz po smutku, co ją dziwnie mroczy
I po tej bruździe, która blade skronie
Rysuje.

Drżę i, chcąc zabić duszącą mnie zmorę,
Wyrzekam czci się i duszę swą własną
Obrzucam błotem i serce swe chore
Klnę, że do żadnych niezdolne uniesień —
Że mi starości rozpaczliwa jesień,
Mimo lat młodych, tkaninę przejasną
Już psuje...

O, wówczas spojrzyj! o, wówczas tej łzawej
Każ na mem licu wypocząć źrenicy,
Co mnie z duchowej wyswobadza wrzawy
I w taką szatę spokoju mnie stroi,
Jak gdybym stanął śród złotych podwoi,
Gdzie wieczne biją ze szczęścia gromnicy
Promienie.

O, wówczas spojrzyj, ty, pełna prostoty,
Ziemskimi jeszcze nie skażona brudy!
Uśmiechem dziecka, co rzuca obroty
Sztucznych wysileń, połączysz mnie z sobą:
I ożywiony czoło stawię grobom
I z tobą razem przejdę wszystkie grudy
I cienie.

PRZYPOMNIENIE.

Pamiętasz jeszcze, kiedym cię za rękę
Pierwszy raz schwycił tą gorącą dłonią?
Wieczór był wtedy; ponad nami dzwonią,
Zdało się, gwiazdy złocistą piosenkę.

Tyś dłoń ścisnęła w miłosną podziękę,
A głębie ócz twych, ukryte pod skronią,

Białą jak marmur, zdrój w me serce ronią —
Ach! dziś to czuję — na nawałnic mękę.

Lecz wtedy, cały w tobie zatopiony
Duch mój, jak okręt, któremu rozwinął
Żagle wiatr lekki, po twej fali płynął.

Wtedym nie myślał, że przyjdzie z tej strony —
Z mej własnej piersi — demon burz z pobladłą
Twarzą i stłucze to szczęścia zwierciadło.

CZEM JESTEŚ DLA MNIE?

Czem jesteś dla mnie? Tem światłem gorącem,
Siłą, co z ziemi wydobywa zioła,
Zlewa je wonią, stroi barw tysiącem,
Co sieje życie i radość dokoła,

Czem jesteś dla mnie? Myślą i tem rwącem
Tchnieniem uczucia, co w prostego zgoła
I ułomnego człeka wnętrzu śpiącem
Budzi niebiańskich haseł apostoła.

Czem jesteś dla mnie? Zamknij to pytanie
W wielkich tajemnic świętym Alkoranie,
Ty dla mnie pierwsza w pierwszych milionie:

Wszak, aby godnie odpowiedzieć na nie,
Nie starczą, widzę, światło, barwy, wonie,
Myśl, ni uczucie, choć tak żywo płonie.

GDY MNIE OGARNIA ZMROK...

Gdy mnie ogarnia zmrok, co dusze człecze
Tak natarczywie aż do ziemi tłoczy,
Spieszą nademną zbawczą spełniać pieczę
Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy.

I zło, uchodząc, poza sobą wlecze
Tabor swych skutków i w nicość się toczy,
Tak je spłoszyły, jak cherubów miecze,
Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy.

I znów oczyszczon i znowu ochoczy
Do tego życia, które mi zmieniły
Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy,

Tulę do piersi ten mój skarb uroczy,
Ach! i całuję, pełen nowej siły,
Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy.

NIE WIEM, GDZIE JESTEŚ...

I.

Nie wiem, gdzie jesteś i czy wielkie, czarne
Twoje źrenice tak się jeszcze palą,
Jak ongi, w chwilach, dziś przymglonych dalą
Sennych li wspomnień, ku którym się garnę

Słabym, ostatnim wysiłkiem żeglarza
Na szalejącej, złowróżbnej głębinie,

Kiedy mu wiosło z rąk zmęczonych ginie
I kiedy łódź się ku śmierci przeważa.

Nie wiem, czy dzisiaj, stanąwszy przede mną,
Nie snem, lecz jawą, umiałabyś jeszcze
W strunach mej duszy dawne wzbudzić dreszcze...

Ale twój obraz, odsunięty w ciemną,
Odległą przestrzeń, nęcić nie przestaje,
Jak nęcą owe z baśni niedościgłe raje.

II.

Nieraz cię widzę tak blizko, że usta
Chylę ku twoim, aby z ich kielicha
Wszystką wieczorną wypić woń, w tem cicha
Gaśniesz mi w oczach i znikasz, jak pusta
Bańka mydlana... Wnet ku duszy mojej
Przychodzisz znowu: Czy to ta, co mami
Nieugaszonej żądzy płomieniami,
Hańby się ludzkiej i wstydu nie boi.

I żar miłości, nie znający granic,
Ani prawideł, na przekorę świata
Z tchem najszczytniejszych bogomodleń brata?

Nie! sen to dawnych dni, który się na nic
Rychło rozwiewa, żalu tylko mgławą
Snując smugę za sobą, że nie jesteś — jawą.

O PORANKU.

Rozwiały się twoje włosy,
Złote włosy twoje,
Jak jutrzniane
Blaski ranne
Tak ci się rozwiały...

Jak ta zorza,
Kiedy, hoża,
Wzejdzie na niebiosy,
By po łąkach i po lasach
Rozbudzić hejnały,
By rozdźwięczyć jasne zdroje
W pieśni tajemnicze,
Które słyszą tylko dusze
Z pośród dusz wybrane,
Tak dziewicze
Twe oblicze,
W młodości skąpane,
Przyoblekło się w purpurę
I ponure
Moje wnętrze,
Zatopione w twoich krasach,
Co od dni letnich zdają się gorętsze,
Rozjaśniwszy radości promieniem,
Nastroiło je w weselny
Hymn...

Śmiertelny,
W nieszczęśliwych tłumie
Wychowany człowiek,
Kroczący przez głuszę
Ciemnego żywota

I nie wierzący, by dla jego powiek,
Przywykłych tylko do nocy,
Mogło zabłysnąć słońce
W swej wielkiej mocy,
Albo jutrznia złota
W swym słodkim wdzięku,
Czyż umie
Przyjąć bez lęku
To, co jest przeczeniem
Dotychczasowego bytu?

Czyliż to szczęście, co płynie
Z twojej postaci,
Do wcielonego podobnej zachwytu,
Nie jest tą hojną wieczerzą,
Skąpaną w winie
I w wyszukane owoce bogatą,
Którą straceńcom w godzinie,
Nim sprawiedliwość wymierzą,
Podają prawa obrońce,
Litościwi kaci,
By koniec jeszcze był krwawszy?

Czyż się promienną szatą
Ten straszny odział kościotrup, nabrawszy
Świeżego ciała,
Aby omamić — wbrew fantazyi mniszej,
Że wypoczynek wśród jego uścisków
Nie jest rozkładem, lecz życiem
W rozkosznej ciszy,
Na ciepłem łonie
Którejś z niebianek?
Z złocistych błysków
Włos ten uwity, co-ć okala skronie,

Twarz, co się ku mnie podała,
Kwitnąca kwieciem
Jedwabnych róż,
Nie jest-li jedną z złud, które przede mną
Wymarzył ondyn kochanek,
Shelley, niebiański poeta,
By wnet w pościgu za niemi,
Mogiłę znaleźć ciemną
Śród głębin mórz?

Twoje włosy się rozwiały — ja dłońmi drżącemi
Sięgam po nie: rzeczywistość, a nie snów podnieta!
Sięgam po nie i do wargi półotwartej tulę
I nie pytam już, co będzie! pieszczę i całuję
Twoje złote, jasne włosy,
Co się tak rozwiały,
Jak jutrzniane
Blaski ranne,
Kiedy świt wspaniały
Operlony mgłami rosy,
Promienistą tkankę snuje
Dla ziemi zbudzonej,
Dla szczęśliwej, świeżej ziemi
Poślubną koszulę...

Zrumieniły się twe lica,
Twoje lica mleczne
Śród korony
Złotych włosów tak się zrumieniły,
Jak ta zorza,
Kiedy, hoża,
W pełni rajskiej siły
Na niebiesiech zajaśnieje

I rozleje
Czar na kwiaty, drzewa,
Na jezioro, które śpiewa
Głosem stujęzycznym
Melodye odwieczne
I do fali
Smugi z dali
Przyciąga olbrzymie,
Błękitów kobierce,
Szafirowe,
W promienistość
Przystrojone nieba...

Szczęścia błyskawica
Przeniknęła elektrycznym
Prądem moje serce.
Usta szepcą twoje imię —
Wznoszę głowę, nie jak ślepiec, co się [drogi boi,
Lecz pewnego świadom celu,
I w weselu
Rozpieśnionej duszy mojej,
Której nic nie trzeba,
Obejmuję cię w ramiona!
Obejmuję w ramion kleszcze,
Aż mi serce kona,
Twoją postać wiotką!
Obejmuję
I całuję
Jak ta zorza,
Kiedy, hoża,
Wzejdzie na niebiosy
I światu przyświeca...
Jeszcze, jeszcze i wciąż jeszcze

Tulę, pieszczę
Twoją wargę słodką!
Tulę, pieszczę i całuję twoje jasne włosy,
Co naokół białej skroni tak ci się rozwiały,
Jak jutrzniane
Blaski ranne.
Jak ten świt wspaniały!...

MIRIAM (ZENON PRZESMYCKI)
(ur. 1861).

POD STOPY TWOJE...

Pod stopy twoje lilij kielichy,
Pod stopy twoje myrrę i nard;
Marzeń mych szychy, szkarłat mej pychy
Pod stopy twoje!

Krzyż, jaki prawy nieść musi bard,
Wnętrznych walk rany, zwycięstw przepychy,
Wszystko! — i dumy stalowy hart!

Chcę być przed tobą ubogi, lichy,
Czem jestem, byłem, co mam, com wart,
Składam w upojnej ekstazie cichej
Pod stopy twoje.

LILIJNĄ JENO BIEL...

Lilijną jeno biel swych rąk
Na spiekłe czoło połóż me,
Abym bezsłownie duchem kląkł
I widział w marzeń wonnej mgle
Lilijną jeno biel.

Zgaś w ócz ogniskach skrę po skrze,
Ust granatowy zasłoń pąk,
Niech cicho, słodko, jasno śnię...

Ogłuszający zmysłów gong
Zmilka na sennej toni dnie,
Perłowy rozświt leje wkrąg
Lilijną jeno biel...

TWE USTA.

Twe usta na ustach mych
Jak złoty rozdźwiękły rym.
Noc spada — gwar miejski scichł....
— Twe usta!

Zadrgnęłaś? Oboje drżym?
Z ócz pierzchł ci rozkoszy śmiech.
Po lecie — mówisz — śnieg zim?

Niestety! — Gruz marny z pych,
Szych — z marzeń, z wulkanów — dym...
O! lecz mieć tylko w dniach złych
Twe usta!

RONDO-MADRYGAŁ.

W kołyszących się rytmach piosenka
Waha mi się na ustach, kolebie,
Woni wonią rośnego róż pęka,
Mknie po niebie, o śniona, od ciebie
W kołyszących się rytmach.

Rzekłem sobie: »Pod sercem zagrzebie
Wonnej pieśni pajęcze włókienka;
Moja-ś po twej duszyczki pogrzebie!«

Pęka serca kryształna trumienka,
Więzień pierzcha do ciebie w podniebie,
Mnie ból w piersi — o, męka! — dodźwięka
W kołyszących się rytmach.

NEGLI OCCHI PORTA LA MIA DONNA AMORE.

I.

Jam ci nic nie powiedział, ani ty mnie, Pani,
A jednak kiedy nasze spotkają się oczy,
Ja słodycz niezmierzoną w twych widzę przezroczy,
Słodycz, jaka zbawieniem byłaby w otchłani.

I wtedy czar mię jakiś owiewa uroczy,
I szepcę, wszystkie myśli niosąc tobie w dani:
»Błogosławieni wszyscy smutni i znękani,
Których takie spojrzenie swą wstęgą otoczy!«

I tak mi cicho w duszy, jak pod wieczór w borze,
Gdy drzew gąszcz czerwienią zachodowe zorze,
I tak mi w duszy tęskno, jak kiedy na niebie

Konstelacye rozbłysną oczami złotemi,
A ja dla nich nie mogę rzucić starej ziemi
I lecieć, lecieć, lecieć!... Czyżbym kochał ciebie?

II.

Tyś mi nic nie mówiła, ani też ja tobie,
A jednak, gdy się nasze spotkają źrenice,
Jakieś w mych widać grają ognie, błyskawice,
Jak o wiosennej wzruszeń, burz, nawałnic dobie.

Bo naprzód w łez dyamenty oczy twoje zdobię,
Potem w żywsze róż barwy ubieram twe lice,
A potem — sam już nie wiem, jak blaski rozświecę,
Co drgają w oku, w głowie, w całej twej osobie.

I stoisz tak przede mną, drżąca, bez wyrazu,
Nakształt Madonny słodkiej jasnego obrazu,
A twarz twa to w purpurach, to znów jak śnieg biała.

A ja patrzę z zachwytem w ten blask objawienia,
Co dziewicze twe czoło nagle opromienia
Wdziękiem niewysłowionym. Czyżbyś mnie kochała?

ANTONI LANGE
(ur. 1861).

O BŁAGAM JESZCZE!

O, błagam jeszcze! Gdy u stóp twych zgięty
Ja szukam słowa, co mogłoby cały
Żar moich uczuć ująć w dźwięk zaklęty;

Nie żądaj, błagam, abym dla twej chwały
Powtarzał ciągle: kocham, kocham ciebie!
Bo mi te słowa zbyt zlodowaciały.

Tysiączne usta w kłamliwej potrzebie
Tak zamroczyły ich blaski pierwotne,
Że dziś ich gwiazdy nie lśnią już na niebie.

I zdają mi się takie nieistotne
I tak obłudne w próżnem swem znaczeniu,
Że, nim wypowiem te dźwięki przewrotne,

Luba! Ja kochać cię będę w milczeniu.

PJEŚNI O POCAŁUNKACH.

(SCHERZO).

I.

Każdem marzeniem,
Każdem westchnieniem,
I każdą moją tęsknotą —
Myśli wyrazem,
Wspomnień obrazem,
Każdą nadziei pieszczotą;

Każdym oddechem,
Każdym uśmiechem
I każdem kolan ugięciem;
Każdem spojrzeniem —
Słowem a tchnieniem
I każdem ręki dotknięciem;

Wszystkiem, co śniłem,
Wszystkiem, czem żyłem,
Wszystkiem na ziemi i w niebie;
Kochanko moja,
Wybranko moja —
Wszystkiem — jam całował ciebie! —

II.

Luba, jam całował
Jasne twoje oczy,
Wargi twe różane,
Pukle twych warkoczy.
Całowałem śnieżne
Czary twego łona,

Białe twoje ręce,
Białe twe ramiona.

Całowałem ciebie
W skromnej twej świetlicy;
Całowałem w parku
Samotnej ulicy.
Całowałem ciebie
Pośród pól złocistych,
Pośród łąk zielonych,
Śród gajów cienistych.

Całowałem ciebie,
Gdy wschodziło słońce,
Całowałem ciebie
W południa gorące.
O wieczornej zorzy
I śród nocy ciemnej,
Gdy anioły lecą,
Dzwoniąc psalm tajemny.

FRAGMENT.

My się nie możem kochać, jak gołębie!
Dwie nasze dusze są, jak dwie otchłanie,
Co wzajem patrzą w swe bezdenne głębie
I nigdy wzrok ich u kresu nie stanie.

Czasem je siła nieznana porywa:
Padamy w cienie jakichś nocy czarnych,
Kędy samotność dumna i straszliwa
Króluje nakształt sił elementarnych.

Czasami płoniem ognistym wybuchem
I pożar pożar iskrami podsyca,
I duch się jeden zlewa z drugim duchem,
Jak chmur za chmurą, z mgławicą mgławica.

Naraz rzucamy te podniebne loty,
Mrok od otchłani zionął ku otchłani;
Znów samotności czujemy tęsknoty
I idziem gorzcy i rozczarowani!

Nie wciąż się równo toczy wielka rzeka,
Opływa lasy i góry i sioła,
I różnie działa jej fala daleka:
Ma w sobie czarta, ma w sobie anioła!

I duchów naszych te głębie otchłanne
Mają swej jaźni wieczne tajemnice:
Mają swe tęcze i zorze poranne,
I swoje wichry — i swe błyskawice.

Czuję te burze, co żałobną tuczą
Królują w tajniach duszy twej głębokiej;
Słyszę te wichry, co w sercu twem huczą,
Widzę twe tęcze — i widzę twe mroki.

Twój duch jest niby ciemny bór, gdzie sosny.
I dęby kwitną pośród iw tysiąca;
Którędy wicher przelata żałosny
I o zielenie twych drzew się roztrąca.

Jam jest jak równia puszczy rozpalonej,
Której bezpłodne piaski w wir się kłębią,
Po której wicher dmie nieposkromiony,
Chyba nad morską zatrzyma się głębią.

Wichry pustyni i wichry te leśne,
Kiedy się razem zejdą w swym poszumie —
Wzajem oddechy swe karmią bezkreśne
I otchłań otchłań jak siostrę rozumie.

Bo czujesz w świętej owej tajemnicy
Tchnienie świadome samoistnej duszy,
Lot białoskrzydły królewskiej orlicy,
Wicher po leśnej szalejący głuszy.

I miłość nasza zda się nieraz walką
Dwóch potęg ciemnych, dwóch dusz nieśmiertelnych,
I z których każda pragnie być westalką,
I strzeże wiecznie swych zniczów udzielnych.

Aż oba wichry — i otchłanie obie
W dzień uroczysty, przez pragnienie jedno
Dążąc ku sobie, zlewają się w sobie
I w niebo płyną drogą snu bezwiedną.

Kocham cię za to, że jesteś otchłanią,
Kocham cię za to, że jesteś orlicą,
I że się wichry w duszy twej orkanią —
I żeś jest chmurą, i żeś jest mgławicą!

STORNELLE.

I.

Kwiecie różany,
Jak igły ostre kolce masz, a przecie
Zrywam purpurę twą — pomimo rany!

Różany kwiecie,
Jesteś jak usta dziewicze! Nieznany
Jad w nich, a jednak pragnę ich, jak dziecię!

II.

O kwiecie lilii,
Madonna białą twoją suknię plecie,
Luba ma kornie przed tobą się chyli!
O lilii kwiecie,
Gdy się modlicie — ty z nią — w jednej chwili
Czuję się w jakimś archanielskim świecie.

RIFIORITA.

Kwiaty zaschnięte,
Między kartami mych ksiąg zachowane,
W was me wspomnienia — moje sny zaklęte!

Myśmy je razem pośród łąk zrywali,
Lecz jam pozostał: ona znikła w dali.

W was me wspomnienia — moje sny zaklęte —
Uśmiechy wszystkie — i łzy wypłakane —

Myśmy je razem pośród łąk zrywali,
Lecz jam pozostał: ona znikła w dali.

Uśmiechy wszystkie — i łzy wypłakane
I pocałowań kwiaty wniebowzięte —

Myśmy je razem pośród łąk zrywali,
Lecz jam pozostał: ona znikła w dali.

I pocałowań kwiaty wniebowzięte —
I słodkich objęć kwiaty nieskalane!

Myśmy je razem pośród łąk zrywali.
Lecz jam pozostał: ona znikła w dali.

MŁYNARECZKA.

O, gdybyś ty mnie kochała,
Młynareczko złotowłosa!
Chłopcabyś wiernego miała —
Niczemby mi deszcz i rosa!
Kochałbym cię bez pamięci,
Z oczu twoich pił wesele...
Wiatrak kręci się a kręci,
Miele zboże, miele, miele!...
Całowałbym twe oczęta
I twój warkocz jasno-złoty,
I żyłabyś uśmiechnięta
Na pieszczoty, nie roboty.
Hej, czyż garnki lepią święci?
Ja robotę twą podzielę!...
Wiatrak kręci się a kręci,
Miele zboże, miele, miele!...
Sambym przystał do młynarzy,
Sambym nosił wory mąki,
A w nagrodę, jak się zdarzy,
Brałbym słodkie pocałunki!
Bądź mi w sercu dobrej chęci,
Młynareczko, mój aniele...
Wiatrak kręci się a kręci,
Miele zboże, miele, miele!...

VITA NOVA.

(FRAGMENT).

Znów ja przed tobą klęczący i korny,
Zbywszy się żalu, goryczy i pychy,
Złamawszy wichry mej duszy niesfornej —
W oczy twe patrzę, niby dziecko cichy.

W oczy twe patrzę — w pokorze błagalnej —
O jeden promień błagam twojej łaski;
Niech mi znów błyśnie ten czar niewidzialny,
Co wlewał we mnie natchnienia i blaski.

Abyś tem wyżej stanęła nade mną,
Im niżej wola złośliwych przeznaczeń
Mnie w jakąś otchłań pogrążyła ciemną:
Dałem ci wszystkie rozkosze przebaczeń.

Wszystko, co bóstwu należy się z prawa,
Łask wywołanie i uśmiech dobroci —
Wszystko ci dałem, bogini łaskawa;
Jak drogi klejnot niech to skroń twą złoci.

A ja — przebaczeń i łask twych niegodny
Duch marnotrawny — na klęczkach dziś stoję —
Rychło-li z twojej źrenicy pogodnej
Wybłyśnie nowe przeznaczenie moje!

KAZIMIERZ LASKOWSKI
(1861 —

DZIEWCZYNO, PÓJDŹ.

Dziewczyno, pójdź! Choć sine mgły,
Choć wicher gra żałośnie,
Póki pierś z piersią ja i ty
Możemy śnić o wiośnie!

Dziewczyno, pójdź! Choć z nagich drzew
Ptak drżący mknie wyrajem,
Póki nam w piersiach dzwoni krew,
Świat cały dla nas majem!

Dziewczyno, pójdź! Choć zwiędły liść
Żałoby nutą szumi,
Póki pierś z piersią możem iść,
Wesela nic nie stłumi!

Dziewczyno, pojdź! Choć sine mgły,
Choć wicher gra żałosno,
Póki pierś z piersią ja i ty,
Przed nami kwiaty rosną.

Dziewczyno, pójdź! Choć z nagich drzew
Odleciał ptak wyrajem...
Przed nami pieśń, przed nami śpiew,
Przed nami świat lśni majem!

Dziewczyno, pójdź! Choć jesień już
Powiędłym liściem toczy,
Przede mną raj z wiązanką róż,
Gdy patrzę w twoje oczy!

Przede mną maj, przede mną raj,
Gdy pierś twa u mej bije!
Dziewczyno, pójdź, rączęta daj,
Daj objąć się za szyję!

Dziewczyno, pójdź! Z twych słodkich warg
Uczynię marzeń krosna...
I będziem śnić bez żalu, skarg,
Że znowu świeci wiosna!

MAZUREK.

Nie brońże mi się,
Dziewczyno!
Nie wzdragaj się, nie!
Toć powrócę,
Nie porzucę —
Albo nam to źle
Ze sobą,
Albo nam to źle!

Pobierzewa się
Niedługo!
Na zapowiedź dam,
Wódki kupię
I w chałupie

Ojcom wyznam sam
Jak było —
Wszyćko wyznam sam.

Będziesz moja
I po krzyku!
Nie spadnie ci włos!
A dyć »pedam«,
Że cię nie dam,
Że mój a twój los —
To jedno,
Że nam jeden los!

Nie strachajże się
Kochania...
Nie bądź głupia, nie!
Toć o nocy
Nikt nie zoc(z)y!
Nie będzie nam źle
We dwoje,
Nie będzie nam źle!

O CZEM CI SIĘ ŚNI?..

O czem ci się
Śni, dziewczyno,
Z nową wiosną śni?
Pewnie jakie królewiątko
Z dobrą wróżką, złotą prządką...
A mnie jeno ty,
Dziewczyno,
A mnie jeno ty!

Próżno patrzę
A poglądam,
Gdzie się słonko skrzy...
Darmo gonię myślą, wzrokiem
Za zorzeńką, za obłokiem, —
Wszędy jeno ty!
Milejsza!
Wszędy jeno ty!

Płynie nocka,
Gwiazdy świecą
Kiej w mych oczach łzy!
Pod miesiączek, pod srebrzony
Kładnę serce rozżalony,
A w tem sercu ty,
Kwiatuszku!
A w tem sercu ty!

Co ci w duszy
Gra jagodo,
Z nową wiosną gra?
Pewnie w piersiach bije młotem,
Dzwoni srebrem, dzwoni złotem...
A w mych jeno łka
Przez ciebie!
A w mych jeno łka!

Idę w pola
W gaj szumiący...
Wietrzyk echa gna...
Ptak się cieszy, świat raduje...
A ja słucham... nasłuchuję...
Moja nuta łka
Za tobą,
Aż rozlega! łka!

Chociaż utnę
Po skrzypicy,
Że aż w strunach drga —
Na nic! Co ja raźniej smykiem,
To się od strun zrywa krzykiem,
Twem imieniem łka
Do bólu,
Twem imieniem łka!

O czem ci się
Śni dziewczyno,
Z nową wiosną śni?
Nie chcę, nie śmiem zajrzeć w duszę,
Ale to ci rzeknąć muszę,
Że mnie jeno łzy,
Jak rosy,
A w tych rosach... ty!

WALCZYK.

Dziewczyno
Kalino,
Nie zważaj na włos...
Nie lata
Go srebrzą,
Lecz dola i los.

Na mgnienie
Wspomnienie
Niech skradnę z twych lic,
O więcej,
Dziewczyno,
Nie proszę ja nic.

Choć życie
W przesycie
Schmurzyło mi brew,
Pierś bije,
Dziewczyno,
A w żyłach wre krew!

Schyl skronie,
Daj dłonie,
Dziewczyno i w szał!
Wypijem
Do mętów,
Co w czarę los lał!

Pójdź śmiele,
Aniele,
Rozkołysz, daj śnić!
Wszak życie
Jest jedno,
Żyć trzeba, więc żyć!

Bez lęku
Przy dźwięku
Walczyka, spleć dłoń,
Pierś z piersią,
Dziewczyno,
A potem... choć w toń!

Pójdź, maju,
Nim z raju
Wypędzi nas świt...
Chwil szału
Niewiele,
A reszta, to... mit!

Dziewczyno,
Kalino,
Nie zważaj na włos...
Nie lata
Go srebrzą,
Lecz dola i los!

STANISŁAW ROSSOWSKI
(ur. 1861).

TA CZWARTA...

Czterech chłopców, a trzy róże...
Jakże je rozdzielę?
Róż zamało; ich — zawiele,
Komuż tedy kwiaty dać?
O serduszko moje, nuże
Radź mi, radź!

Kuzyneczku, grzeczny, miły,
Stoisz pierwszy w rzędzie;
Pierwsza biała twoja będzie
W niewinności zdobna puch...
Losy nam nie przeznaczyły
Tamtych dwóch...

Płomienistą masz ty, panie,
Natarczywy srodze.
Patrz, co żaru w tej niebodze!
Serce twoje — przyznać chciej,
Zyska symbol i uznanie
W róży tej...

Innej znowu barwy pączki
Tobie się należą,
Który ciągle skargą świeżą

Dręczysz mnie tak rad...
Zazdrośniku! weź z mej rączki
Żółty kwiat.

Ot, i wszystkie... Cóż dam tobie
O, milczący dumnie?
Ty róż także szukasz u mnie?
Nie bój się! nie wyjdziesz źle!
Zamiast róży — wiem co zrobię —
Weźmij... mnie!

MĘTY WSPOMNIEŃ.

Serc czujną straż
Postawmy dziś u podwoi;
Bez obaw niechaj szał broi,
Bezkarnie figle niech płata...
Ani się waż
Powracać myślą do świata!
Słodkie nas wino upoi,
Kwiatami róż pooplata
Miłości czar niepojęty...
Nie dość-że jeszcze ponęty?
Na co nam świata?
Jak straszny on,
Ty nie wiesz.. cyt, cyt, dziecino...
Należy mi się dziś wino,
Całus twych ustek należy...
Pustoty dzwon
Niech hasło da do grabieży;
Niech rzucą się pstrą lawiną

Motyle pragnień po świeży
Miód twoich pieszczot, a na dno
Niech męty wspomnień opadną,
Niech wreszcie zginą!
Na piersi twej
Układam gorące skronie...
Pod piersią wulkan ci płonie,
Zdrajczyni pierś go wydała.
Hej wina! Hej,
Cóż to za wino? Patrz: pała,
Jak krew... krew... Tam na bastyonie
Krew taka sama spływała
W dniu walki... z ran przyjaciela...
Zgasł na mych ręku... Ty!... Hela!
Czego drżysz, mała?
Usta mi daj,
Ustami zamknij me usta!
Czemu pobladłaś, jak chusta?
Skąd ów cmentarny chłód wieje?...
O kilka staj
Mogiła wryta w transzeję...
Pisklątko, bądźże raz pusta!
To zwykłe na wojnie dzieje!
O kilka staj stąd... Nie dalej...
Na Boga, pieść, kąsaj, szalej —
Lub oszaleję!

1915.

AKSEL (IGNACY BALIŃSKI)
(ur. 1862).

PIERWSZA MIŁOŚĆ
(OPOWIADANIE GIMNAZISTY).

Niezbyt to odległe czasy, byłem uczniem piątej klasy
I nie zdobił mojej twarzy jeszcze płowych wąsów cień,
Lecz już w sercu wpółdojrzałem jakiś dziwny pociąg
[miałem
Do panienek, i choć stałem śród nich jak milczący pień,
Zawsze jednak, choć śród panien stałem jak milczący pień—
Miłym mi był tańców dzień.

Otóż prawie niespodzianie, otrzymuję raz wezwanie
Na wieczorek, gdzie osoba miała także pewna być,
Która dla mnie od kwartału grała rolę ideału;
Ucieszony niepomału, snuję słodkich marzeń nić —
O kim? O niej naturalnie snuję słodkich marzeń nić —
O kimż innym śmiałbym śnić?

Któż jest ona? Ach, nie wiecie, to prześliczne, lube dziecię,
Najpiękniejsze pensyi kwiecię; takiej nie znał żaden z was
Jaka grzywka, uśmiech jaki, jakie oczki i buziaki!
Niech się schowa nawet Czaki! To też gdym ją ujrzał raz,
Zmiękło serce moje biedne, gdym ją ujrzał jeden raz —
Choć-em dawniej był jak głaz!

Od tej chwili, mówię szczerze, gdym ją spotkał na spacerze,
Jak z swą ciocią po trotuarze, niby bóstwo jakieś, szła —
Codzień z sercem rozkrwawionem, ale z czołem podnie-
[sionem,
Pod kamiennym jej balkonem przechodziłem razy dwa...
Regularnie jak zegarek przechodziłem razy dwa —
Straszną była miłość ma!

Więc radośnie snułem plany, jak w dzień balu ukochanej
Mojej będę przedstawiony i nastąpi związek dusz...
Jak jej, niby od niechcenia, zlekka dam do zrozumienia,
Że jej pięknych ócz spojrzenia ranią mnie jak kolce róż,
Że utkwiły w mojem sercu, jakby wonnych kolce róż,
Że kraśniejsza jest od zórz.

Nadszedł wreszcie upragniony dzień, więc biegam na wsze
By czasami się nie znalazł w tualecie jaki brak. [strony,
Wyczyściwszy z wielką biedą blaszki mych guzików kredą
I skropiwszy się rezedą, żem jak wonny woniał krzak,
Bo wiem, że rezedy lubią panieneczki wonny krzak,
Wkładam mundur — gdybyż frak!

Gdybyż frak! bo wówczas pewny byłbym łaski mej kró-
[lewny,
Ach! bo ubiór ten powiewny ma dla panien dziwny czar.
Lecz gdy niema innej rady, wkładam mundur, cały blady
I zabrawszy dla parady rękawiczek kilka par,
Ruszam, mając w swej kieszeni rękawiczek kilka par,
A w swem sercu — straszny żar.

Ach, pamiętam to, jak wczora! Była już spóźniona pora—
Wchodzę... sala przepełniona iskrzy się od świateł stu.
Ledwiem gospodyni rączki cmoknął, czuję, że gorączki
Przebiegają mnie zajączki, bo już widzę: ona tu!

Nogi się pode mną chwieją, bo już widzę: ona tu,
Ach, i w piersiach brak mi tchu.

Któż zmieszanie me określi? Nie zdołałem zebrać myśli,
Aż tu ktoś pod rękę chwyta i przedstawia migiem już.
Kłaniam się przed mą królową, ona zlekka kiwa głową,
A ja myślę, jakie słowo szepnąć jej o związku dusz,
Bo wszak trzeba coś powiedzieć, by nastąpił związek dusz...
A tu zacząć — ani rusz!

Szczęściem, skocznej polki dźwięki wybawiły mię z tej
[męki;
Proszę ją — i wnet po sali w lekkim tańcu ze mną mknie.
Zrazu wszystko dobrze było, a na sercu lekko, miło.
A wtem licho mię skusiło, żeby w lewo zwrócić się.
Kiedy w prawo dobrze idzie, poco w lewo zwracać się?
Straszna rzecz spotkała mnie.

Takt zgubiłem, tracę drogę, chcę się zwrócić i nie mogę
I, o zgrozo! na jej nogę następuję — ciężko rzec.
Po tem strasznem wydarzeniu, w ostatecznem osłupieniu
Zostawiam ją na siedzeniu, a sam zmykam aż pod piec.
Cóż innego miałem robić, jak nie zmykać aż pod piec,
Choćbym wolał trupem ledz.

Od tej chwili koło pieca stałem prosto niby świeca
I, nie śmiejąc tańczyć więcej, tęskny ku niej słałem wzrok.
Gdzie się tylko obracała, czy tańczyła, czy siedziała,
Wzrok mój za nią biegł jak strzała, wypatrywał każdy krok,
Z uwielbieniem i rozkoszą wypatrywał każdy krok,
Każdy w tańcu lekki skok.

Ach, jak piękną była ona! Lekka jakby puch zasłona
Okrywała jej ramiona, niby różę srebrny śnieg,
A jej jasnych włosów sploty, nakształt wielkiej chmury
[złotej,
Jak wspólniczki jej ochoty, mknęły za nią w tańca bieg,
A gdy na mnie wzrok rzucała unoszona w tańca bieg,
Blask jej oczu serce piekł.

Więc czy dziwić się należy, że gdy nagle śród młodzieży
Ruch się zrobił, bo już dano do kolacyi miły znak,
Ja z pod pieca raptem wstaję i minąwszy innych zgraję
Rękę swoją jej podaję, cały w ogniu niby rak,
I do stołu ją prowadzę, cały w ogniu niby rak,
Nie wiem skąd i nie wiem jak.

Lecz gdy z nią do stołu spieszę, mocno w myśli mej się
[cieszę,
Że mnie tak poruszył w porę jakiś dziwnie szczęsny traf,
Ona bowiem patrzy wkoło i uśmiecha się wesoło.
Więc i ja podnoszę czoło i jak dumny kroczę paw,
Ona idzie jak królowa, ja jak dumny kroczę paw.
W szczęściu drga mi każdy staw.

I siadamy. Któż jeść może, Boże wielki, w takiej porze,
Kiedy obok dziewczę hoże, przedmiot skrytych serca bić,
Siedzi sobie najwygodniej. Nie! to byłby rodzaj zbrodni.
Zakochani przecie głodni nigdy nie powinni być,
Chyba — uczuć; więc nic nie jem, gdy nie wolno gło-
[dnym być,
Nawet wody nie śmiem pić.

Ale miast rozmawiać raźnie, puszczam w lot swą wy-
[obraźnię
I zapadam w rozmarzenia jedną z najstraszniejszych faz.

Zdaje mi się, że daleko płynę z nią srebrzystą rzeką,
Której fale zwolna cieką, a dokoła szumi las. .
Że rozmawiam z nią cichutko, a dokoła szumi las...
I tak słodko mija czas.

Ach! i jeszcze mi się zdaje, że za lasem księżyc wstaje,
Że jej serce mięknie, taje, pod wyznaniem słodkiem mem,
Że uczucie moje dzieli i płyniemy w dal weseli,
W księżycowej tonąc bieli, oddychając jednym tchem,
Że mnie ona kocha... Wtem!

Wtem... spostrzegam — słodka chwila — jej usteczek
[się rozchyla
Koralowa bramka mała, jak szkarłatny pączek róż —
Z ustek, jak zefiru tchnienie, wylatuje w świat westchnienie,
A ja wpadam w uniesienie, że nastąpi związek dusz,
Że rozumie mnie, gdy wzdycha... i nastąpi związek dusz.
Teraz trzeba mówić już!

Więc oparłszy wzrok mój na niej, zwolna mówię do niej:
[»Pani!
Ty westchnęłaś, więc rozumiesz, co się dzieje w duszy mej,
Znasz uczucie, co mnie rani, może nawet dzielisz, pani,
To, co w sercu czuję dla niej. Więc pociechę w serce wlej!
Tyś westchnęła, wzdychasz jeszcze, więc pociechę w serce
[wlej,
Odpowiedzieć słówkiem chciej!«

Ona nawpół nieprzytomnie, nagle się obraca do mnie,
Róże lic jej dziwnie blade, oczy zaszła jakaś mgła.
O, wyraźnie jest wzruszona, więc z nadzieją w głębi łona
Czekam, co też powie ona... Wreszcie słyszę, mówi: »a«.
Pomilczała przez czas jakiś, wreszcie słyszę, mówi: »a«,
Potem ziewa raz i dwa!

Ziewa! czy mnie oko myli? Wtem odzywa się po chwili:
»Pan coś mówił, nie słyszałam, bo mi strasznie spać się
[chce«.
...Jakto, ona spać chce, ziewa—gdy mi z serca się wylewa
Miłość taka, żeby drzewa kawał nawet zatlił się.
Nie przesadzam, żeby nawet kawał drzewa zatlił się.
Och, jakże zawiodła mnie!

O, kobiety, coście warte! My stawiamy wam na kartę
Nasze serca i marzenia, wy ziewacie na to... Nie!
Raz przez taką ranion strzałę, ręczę, przez gimnazyum całe
Będę w piersi nosił skałę, i już zacznę kochać się,
Chyba, jak studentem będę... Wtedy mogę kochać się,
Bo już tak nie złapią mnie.

W NOC LETNIĄ.

I.

Słyszysz, luba, ten szept cichy
Nocną dobą,
Te szemrzące wokół głosy?
Wonnych kwiatów to kielichy,
Otulone w krople rosy,
Gwarzą sennie między sobą.

Chcesz podsłuchać razem ze mną
Kwiatów plotki?
Miłość nasza je zachwyca,
O niej gwarzą nocą ciemną.
— Nie widziałam — bladolica
Mówi lilja — takiej słodkiej.

— Nie pamiętam tak prawdziwej —
Fijołek mały
Szepnął z cicha śród pacierzy.
— Ani — westchnął goździk tkliwy —
Takiej rzewnej, czystej, świeżej,
Nieśmiertelnik:
— Ni tak stałej.

Obudzona tym szelestem
Z dumy sennej,
Rzekła róża, płonąc cała:
— Choć miłości kwiatem jestem,
Nigdym jeszcze nie widziała
Tak gorącej i płomiennej.

II.

Ciepło i ciemność otuliły ziemię.
Żaden blask nie drgnie, gwiazda nie zamruga,
W gałęzi splotach każdy listek drzemie...
Czemu jak wieczność noc ta nie jest długa?

Ciepło i ciemność otuliły ziemię.
Najdroższa, tylko dłoń twą czuję w dłoni...
Ciepło to miłość, ciemność — zapomnienie,
Więc zapomnijmy o czasu pogoni,
O tem, że kędyś słońca jest jaśnienie,
Wiew jakichś wichrów, jakichś myśli brzemię!

Ciepło i ciemność otuliły ziemię;
Ciepło to miłość, ciemność — zapomnienie.
Najdroższa, tylko dłoń twą czuję w dłoni...

Najdroższa! dusze utopmy w tej toni,
Lecz niech jej nawet nie zmąci fal drgnienie...
Ciepło i ciemność otuliły ziemię,
Ciepło to miłość, ciemność — zapomnienie.

O, jak rozkosznie zrzucić myśli brzemię
I trwać tak razem długo, nieskończenie,
W cieple i mroku, dłoń trzymając w dłoni...

K. M. GÓRSKI
(1862—1909).

WIOSENNE UKOJENIA.

Wszystkie moje łzy i smutki
Pochłonęły niezabudki.

Z moich pragnień i tęsknoty
Powyrastał jaskier złoty.

Ilem szału znał przed laty,
Przeszło w pełnych róż szkarłaty.

W czyste lilie się zamienia
Zwątpień ból i przebaczenia.

Oto wstaje wiatr i zwieje
Marne troski i nadzieje.

I nad serca mego ciszą
Śpiewne już skowronki wiszą.

SONET.

Próżno się ze słów bez życia, krwi, kuszę
Dobyć jej piękność, jak rzeźbiarz z kamienia:
Wykrzesać świeżość lic, połysk ramienia,
Kształt szyi krągłej — i stal dłuta kruszę.

Bo, gdy wyciosam linie, wiem, że muszę
Myśl znaleźć, co je z wewnątrz opromienia
I że mi serce każe bez wytchnienia
Śledzić, aż chwycę na marmury duszę.

A ja się w oczu barwie zakochałem,
W ust krwi gorącej, w ramieniu jej białem
I pięknym kształtom niosłem miłość grecką.

Dziś, gdy jej wargę pocałuję krasną,
Chciałbym jej duszę duszą wypić własną.
Tak Psyche przywiódł mi Amor, zdradziecko.

WACŁAW ROLICZ-LIEDER
(1863—1902).

DO FIJOŁKOWYCH OCZU.

Wpatrzony w oczy twoje fijołkowe,
Płynę myślami w jakąś dal przestrzenną,
A za mną kędyś milkną w oddaleniu,
Krzykliwe tłumy zawiedzionych trosk:
Troski to panny szalone, a człowiek
Dający posłuch im — stokroć szaleńszy.

Bóg mi twe oczy zesłał fijołkowe,
Abym myśl wyrwał w jakąś dal przestrzenną
I, kiedy wieczór mrok smętny rozlewa,
Był bez goryczy, bez żalu i trosk:
Troski to panny szalone, a człowiek
Dający posłuch im — stokroć szaleńszy.

Całuję oczy twoje fijołkowe
I płynę, płynę w jakąś dal przestrzenną
Cichy, spokojny i ufny, wierzący,
Jak gdybym nie znał zasępionych trosk:
Troski to panny szalone, a człowiek
Dający posłuch im — stokroć szaleńszy.

Obym mógł w oczy twoje fijołkowe,
Wpatrzony wiecznie, płynąć w dal przestrzenną

I tak przypadkiem, raz jeden, niechcący,
Zamrzeć, odbiegłszy od bólów i trosk;
Troski to panny szalone, a człowiek
Dający posłuch im — stokroć szaleńszy.

KAZIMIERZ TETMAJER
(ur. 1865).

GDYBYŚ TY BYŁA.

Gdybyś ty była szklannem jeziorem,
Patrzałbym w toń twą przez całe życie;
Gdybyś ty była zielonym borem,
Słuchałbym szumu twego w zachwycie;
Gdybyś ty była pustka bezludna,
Dla ciebie świata zrzekłbym się śmiele;
Gdybyś ty była śmiercią — o cudna! —
Szedłbym do ciebie jak na wesele.

Z ŁEZ, KTÓRE...

Z łez, które dla mnie mgliły twoje oczy,
Różaniec w mojej uwiłem pamięci.
Kiedy mię cisza wieczorna otoczy
I spokój lasów tatrzańskich okoli:
Idąc, jak ludzie od świata odcięci
Ofiarą duszy i Bóstwa miłością,
Pod lasu cieniem i nieba cichością
Różaniec z łez twych przesuwam powoli.

JAK DEMON GŁOS TWÓJ...

Jak Demon głos twój krąży mi nad głową,
Jak Demon z ognia rozpościera pióra —
Chmurą mię żaru owija ogniową,
W bezmiar mię, w zaświat porywa ta chmura...
Lecę w toń, ginę... Kocham cię! Przyjdź do mnie!
Ach! Gdyby rzucić te cielesne pęta!..
Ojczyzna nasza, patrz! nieogarnięta!
Morza, pustynie rozlane ogromnie...
Ojczyzna nasza, patrz! te wichry kwiatów,
Te kłęby tonów, te światła orkany!
Ojczyzna nasza: ocean wezbrany
Wszystkim płomieniem, wszystkiem pięknem świa-
Pójdź! Niech się wali na druzgi strzaskany [tów!
Krąg ziemi! Niech się w proch rozpada cała!
Pójdź! Ramionami owinę cię, biała —
Pójdź ze mną! W niebo, czy w przepaść podziemną:
Serce przy sercu, w dłoni dłoń: pójdź ze mną!...

KOCHAM CIĘ ZA TO...

Kocham cię za to, że cię kochać muszę,
Kocham cię za to, że cię wielbić mogę,
Kocham cię za to, żeś ty mi jedyna
Piękną kobiecą objawiła duszę,
Że się przed tobą kolano ugina,
I myśl o tobie każda niesie trwogę,
I niepokoi się tem i pamięta,
Żeś może dla niej za czysta, za święta...

POŻEGNANIE

Bądź zdrowa! To ostatni raz,
Że mówię komu: bywaj zdrowa — —
Dawno, ach dawno minął czas...

Ja nie zapomnę — — serce moje
Niewiele w sobie imion chowa,
Lecz ciebie każdy ciemny las
I każdy ostęp dziki, mroczny
I każdy górski szczyt obłoczny
Przywiedzie znów przed oczy moje...

Z uśmiechem nad twem zejściem stoję —
Tak mi przez ręce wszystko leci,
Jak śmigłe ryby poprzez sieci — —
Zostaje pustka próżnych ok...

Bądź zdrowa! Sczezł ostatni głos,
Ostatni ruch, ostatni wzrok,
Co miał do serca mego wejście — —
Bądź zdrowa! Kładzie twe odejście,
Jak pieczęć, na me życie los.

MOJA MIŁA...

Moja miła ma cudne usteczka,
Ma usteczka jak wiosenne rano —
Moja miła jest cała melodyą
Gdzieś na łąkach i kwiatach śpiewaną...

Na usteczkach mojej miłej oczy
Zawisają, jak na polnym kwiecie —
Moja miła jest stworzona na to,
Aby przez nią śnić o innym świecie...

A KIEDY BĘDZIESZ MOJĄ ŻONĄ.

A kiedy będziesz moją żoną,
Umiłowaną, poślubioną,
Wówczas się ogród nam otworzy,
Ogród świetlisty, pełen zorzy.

Rozwonią nam się kwietne sady,
Pachnąć nam będą winogrady,
I róże śliczne i powoje
Całować będą włosy twoje.

Pójdziemy cisi, zamyśleni,
Wśród złotych przymgleń i promieni,
Pójdziemy wolno alejami,
Pomiędzy drzewa, cisi, sami.

Gałązki ku nam zwisać będą,
Narcyzy piąć się srebrną grzędą,
I padnie biały kwiat lipowy
Na rozkochane nasze głowy.

Ubiorę ciebie w błękit kwiatów
Niezapominek i bławatów,
Ustroję ciebie w paproć młodą
I świat rozświetlę twą urodą.

Pójdziemy cisi, zamyśleni,
Wśród złotych przymgleń i promieni,
Pójdziemy w ogród pełen zorzy,
Kędy drzwi miłość nam otworzy.

KOCHAM CIĘ, ŚWIATŁO...

Kocham cię, światło!... Na moje źrenice
Zlewasz się falą: nurzam się w niej, tonę,
Oczy ku tobie wznoszę roztęsknione,
Na twej jasności promienną mgławicę.

Kocham cię, jasna! Patrzę na twe lice,
Oczu szafiry rzęsą ozłocone,
Na krasę twoich ust — patrzę i płonę,
Tem więcej pragnąc, im więcej się sycę...

Kiedy mię światło falą opromienia,
Zda mi się, czuję twoje uściśnienia,
A gdy w ramiona, ciebie, jasna, chwytam:

Całą mi światła płonie świat ozdobą,
I sam już nie wiem i sam siebie pytam:
Czyś ty jest światłem? czy światło jest tobą?

TYLE LAT ZBIEGŁO...

Tyle lat zbiegło, a jam jeszcze do tej
Nie przywykł myśli, że dla mnie stracona,
Że nie zostało mi nic, prócz tęsknoty.

Jeszcze wyciągam ku niej me ramiona,
Jeszcze jej czekam, jeszcze marzę o niej,
A wiem, że nigdy nie powróci ona..

Obraz jej wszędzie, zawsze za mną goni,
Wiecznem jest niebem mojego marzenia
I wiecznem dnem jest w uczuć moich toni.

Czas, biegnąc, wiele niszczy i odmienia
I wiele grzebie w niepamięci pyle,
Lecz jej nie wydrze z mojego wspomnienia,

Jak jej nie wydarł, choć lat zbiegło tyle...

OLBRZYMI, ŚWIETNY KWIAT...

Olbrzymi, świetny kwiat—odurza mię swą wonią,
Oślepia barwą, w sieć chwyta mię swych gałęzi,
Próżno się wyrwać chcę: wszędy mię one gonią,
Gdziekolwiek jestem, sieć oplata mię i więzi.

Lubieżny uścisk jej, jak ramion oplecenie,
Szkarłat ma krasnych ust, łon śnieżność kielich
[kwiatu,
Szmer liści, jako szept namiętny i westchnienie,
Podobna jego woń do włosów aromatu.

Czuję, jak serce me odrętwia kwiat olbrzymi,
Jak mózg wysusza mój, jak siły wchłania moje,
Wyssana ze mnie krew w kielichach jego dymi,
Lecz próżno z siebie chcę gałęzi strącić zwoje.

CZEMU DZIŚ MÓJ KOCHANEK...

»Czemu dziś mój kochanek ze schylonem czołem
Siedzi tak zadumany? Czemu lice twoje
Od bladości tak białe, jak poszewek płótno,
Gdzie tylekroć się wsparły głowy nasze społem,
Gdy byliśmy jako dwa splecione powoje — —
Przychodzę cię popieścić — czemu ci tak smutno?

Patrz: już księżyc wypłynął na niebie sklepienia,
Cicha nocy muzyka grać już rozpoczyna,
Jakby księżyc był harfą dźwiękami rozrzutną,
A strunami drgające, srebrzyste promienie;
Jest to błogosławiona kochankom godzina — —
Przychodzę cię popieścić — czemu ci tak smutno?

Patrz: już cichy mrok nocny mgłą owinął drzewa,
Ćma skrzydłami o szyby okienne trzepoce,
Mknie nietoperz zajęty pogonią okrutną,
Wszystko staje się szare, usypia, omdlewa...
Zgaś świecę — — gdyśmy razem, zbyt krótkie są noce!
Przychodzę cię popieścić — czemu ci tak smutno?«

Kochanko, wczoraj różę przyniosłaś mi świeżą,
Dziś straciła już zapach i kolor — umiera —
Kiedym na ten kwiat patrzał, dziwną wizyę miałem —
Zdało mi się, że w grobie zwłoki twoje leżą,
A grób ten się powoli przede mną otwiera
I dźwignęło się wieko trumny nad twem ciałem.

Byłaś podobna sobie, lecz jakże zmieniona!...
Cała woskowej barwy, twe oczy błękitne
Zapadły się w głąb czaszki, zamglone i szkliste;

Rój robaków się wgryzał do twego łona,
Kłębił się, pożerając biodra aksamitne,
Wkręcał się w twoich włosów jedwabie złociste.

Gdyś weszła tu, zniknęło okropne zjawisko,
Lecz pamięć jego w mózg mój wdziera się namiętnie,
Niosąc ze sobą zgrozę, szyderstwo i trwogę — —
Czujesz?... Śmierć jest nad nami tak blizko, tak blizko,
Słyszałbym krok jej w każdem serca twego tętnie,
Zbyt mi straszno i smutno — — pieścić cię nie mogę...

LUBIĘ, KIEDY KOBIETA...

Lubię, kiedy kobieta omdlewa w objęciu,
Kiedy w lubieżnem zwisa przez ramię przegięciu
Gdy jej oczy zachodzą mgłą, twarz cała blednie.
I wargi się wilgotne rozchylą bezwiednie.

Lubię, kiedy ją rozkosz i żądza oniemi,
Gdy wpija się w ramiona palcami drżącemi,
Gdy krótkim, urywanym oddycha oddechem,
I oddaje się cała z mdlejącym uśmiechem.

I lubię ten wstyd, co się kobiecie zabrania
Przyznać, że czuje rozkosz, że moc pożądania
Zwalcza ją, a sycenie żądzy oszalenia,
Gdy szuka ust, a lęka się słów i spojrzenia.

Lubię to — i tę chwilę lubię, gdy koło mnie
Wyczerpana, zmęczona leży nieprzytomnie,
A myśl moja już od niej wybiega skrzydlata
W nieskończone przestrzenie nadziemskiego świata

KIEDY NA OCZY...

Kiedy na oczy srebrno-szafirowe
Spuści powieki i na wznak upadnie
I leży miękko, sennie i bezwładnie,
Lekko schylając ku ramieniu głowę —

A płomień światła, co nad nami płonie,
Półnagą stroi ją w światła i cienie,
I ledwo znać jej białej piersi tchnienie,
Widnej w przejrzystych koronek osłonie:

Wówczas ma w sobie taki urok boski
I takie dziwne piękności i czary,
Że, zda się, jakiś malował ją stary,
Anioły w duszy noszący mistrz włoski.

ZDAJE MI SIĘ...

Zdaje mi się, że z głową na piersi schyloną
Pójdzie za moją trumną, pierwszy raz mnie blizka,
Nieznana mi z oblicza, nieznana z nazwiska,
Nieprzeczuwana nawet pod widzeń osłoną.

Pójdzie, sama nie wiedząc, czemu drży jej łono,
Czemu się do jej oczu paląca łza wciska,
Czemu na moją trumnę chce patrzeć tak zblizka,
Czemu jej usta drgają, czemu skronie płoną?

Pójdzie, sama nie wiedząc, czemu po mnie płacze,
I czemu jest zazdrosna o mnie tam, w tej trumnie,
I czemu smutna, że jej nigdy nie zobaczę?...

To będzie ta kobieta, którą mnie przeznaczył
Los, ale ją zapóźno przyprowadził ku mnie,
A wpierw szczęście me zdeptał, życie moje spaczył.

WYKOŁYSAŁEM CIĘ...

Wykołysałem cię wśród fal
Mych snów, jak limbę gdzieś nadwodną
Śniłem cię cichą i pogodną — —
Ach! jak mi żal, jak żal...

Na zieloności sennych hal,
Gdzie wiatr błękitne mgły rozpina,
Byłaś mi, dziewczę, tak jedyna — —
Ach! jak mi żal, jak żal...

Wkoło szumiały smreki w dal
Jakiemś modleniem cichem, wiecznem —
Byłaś mi tam czemś tak słonecznem — —
Ach! jak mi żal, jak żal...

NIE WIDZĘ, SŁUCHAM CIĘ.

Nie widzę, słucham cię oczyma, biała!
Nagości twojej linie i kolory
W hymn mi się jeden łączą różnowzory,
W muzykę kształtu, w pieśń twojego ciała...

Melodyą jesteś i harmonią cała!
Rzucona kędyś w dalekie przestwory,

Jako przelotne świecisz meteory — —
Pieśń twej piękności promienieje, pała...

Komu się zjawisz taka, pójdzie dalej
Z twarzą od świata odwróconą, senną —
Tak ci rzeźbiarze, co Wenus promienną

Niegdyś w paryjskim marmurze kowali,
Chodzili cisi, senni między ludem —
Oni widzieli cud i żyli cudem...

W TWOJE CUDNE OCZY...

W twoje cudne, cudne, cudne oczy
Kiedy patrzy, wstrzymuje się słońce,
I dziwuje im się kwiat na łące
I czar idzie z niebieskich roztoczy
W twoje cudne, cudne, cudne oczy.

W twoje cudne, cudne, cudne oczy
Kiedy patrzę, chciałbym w łzę zaklęty
Po twej twarzy spłynąć, bogom wziętej,
I z twej piersi patrzeć się uroczej
W twoje cudne, cudne, cudne oczy.

UST TWYCH...

Ust twych więc usta nie tknęły niczyje?
Nikt nie uścisnął twojej drżącej ręki?
Nikt się nie oplótł w twoich włosów pęki,
Ani się wessał w twoją białą szyję?

Nikt się nie wsłuchał, jak twe serce bije,
Jak omdlewają słów błękitne dźwięki,
A ciała twego kształt smukły i miękki
Zdrój tylko widział i wodne lilije?

I nigdy dumne to, królewskie ciało
W niczyich ramion uścisku nie drżało?
Pragnienie twoje jest jak blask o wschodzie?

Nigdy w twych oczu słonecznym ogrodzie
Nie trysła rozkosz kwiatami złotemi?
Pójdź! Tyś jest szczęściem najwyższem na ziemi!

JAK PO BEZBRZEŻNYM MODRYM OCEANIE.

Jak po bezbrzeżnym modrym oceanie
Żegluje okręt: tak ja teraz płynę
Po bezgranicznym rozkoszy przestworze.

Dmij, namiętności szalony orkanie!
Z krańca, do krańca, wszerz, wzdłuż niech przepłynę
To fal płomiennych niezgłębione morze...

A gdy już siły pruć fale nie stanie,
Niechaj do portu owego dopłynę,
Gdzie się na wieki żegna słońca zorzę.

Nie gorzkiem będzie mi to pożegnanie:
Na słodkie wody wspomnień myślą wpłynę,
Na łonie śmierci skroń z uśmiechem złożę.

ONA GDZIEŚ JEST.

Ona gdzieś jest... ja wiem... wiem to i tęsknię do niej...
Wiem, jaką twarz ma; wiem, jakim się różem płoni,
Wiem, jaki szafir ócz ciemnemi rzęsy kryje,
Jaka w nich tkliwość lśni i jaki żar z nich bije.

Wiem, jaka śpiewa w nich słodycz niewysłowiona,
Jaka w nich słania się zaduma, drżą pragnienia,
Jaki wilgotny blask przez oczy te do łona
Ciągnie i jaka mgła lubieżna je zacienia.

Każdy jej uśmiech znam i każdy ruch, jej słowo
Każde w mem uchu brzmi muzyką sfer echową,
Każdą jej czuję myśl, znam kraje jej pamięci,
Wiem, czego żal jej, wiem, co trwoży ją, co nęci.

Co kocha, także wiem; znam serce jej i duszę
I kocham całą mych niezmiernych smutków tonią,
Bezdenią tęsknot mych — — kocham i czuć to muszę,
Że nigdy myślą mi nie sięgać nawet po nią.

W POŻARZE SŁOŃCA.

W pożarze słońca, w róż oceanie,
　　W płomiennym zmysłów zachwycie:
Jak grom w dzień jasny, śmierć niespodzianie
　　Niech przyjdzie przeciąć me życie.
A nim twarz moja zblednie jak chusta,
　　Nim zimne wstrząsną mię dreszcze:
Słodka dziewczyno, daj mi twe usta,
　　Jeszcze raz, jeszcze, raz jeszcze!...

W TWEGO CIAŁA PRZECUDOWNEJ CZARZE.

W twego ciała przecudownej czarze
Życie kipi, jak złociste wino:
Trzykroć, trzykroć ten będzie szczęśliwy,
Komu dasz się niem upić, dziewczyno.

W twego ciała przecudownej głębi
Oczy toną, jak w jeziora fali
I powrócić na słońce nie mogą
Z ławic pereł i ławic korali.

SZUKAM CIĘ ZAWSZE.

Szukam cię zawsze, choć wiem, że nie znajdę,
Tęsknię do ciebie, choć wiem, że cię niema,
Idę za tobą, choć wiem, że nie zajdę
Do twego domu, ścigam cię oczyma,
Choć cię nie widzę, choć wiem, że cię niema.

Do żadnej z kobiet, którem widział w życiu,
Tyś niepodobna — — widzę cię w mych oczach
Jak gdyby w jakiemś przymglonem odbiciu;
Jak kwiat, w strumienia odbity przezroczach,
Jak gwiazdę we mgłach, widzę cię w mych oczach.

I oto teraz, w tę noc księżycową
Cichą i jasną, kiedym rzucił tłumy:
Czuję twe ręce gdzieś nad moją głową,
I pełen jestem o tobie zadumy,
I żywszą dla mnie jesteś, niż te tłumy.

I z zimnem sercem wśród ludzi przechodzę
Zaledwie patrząc i widząc, pół we śnie — —
Ciebie jedynie czekam na mej drodze,
I choć się zawsze zawodzę boleśnie,
Szukam cię wszędzie, przeczuwam cię we śnie.

MIŁOŚCI OWE...

Miłości owe, o których tak mnogo
Słyszałem w życiu — kędyż one są?
Ja nie pamiętam, nie baczę nikogo,
Przeszedłem może kiedy czyją drogą,
Ale nikt drogą nie przestąpił mą.

Jednej kobiety nie zostawiam w drodze —
Są jakieś cienie, czy też były — cóż?
Z dziewiczem sercem żywot mój przechodzę,
Albom je oddał gwiazdom, gór srzeżodze,
Szumowi lasu, wodzie, schodom zórz...

ANDRZEJ NIEMOJEWSKI
(1864—1922).

SIELANKA.

Już słońce na zachód pochyla swą skroń
I czołem się nurza w mgieł fali.
Malutka, milutka, ty podaj mi dłoń,
My teraz będziemy ślub brali!

Las-kościół organem zaszumiał przez liść,
Tłum cieniów gromadzi się w dali,
Noc-babka kościelna za chwilę ma przyjść
I gwiazdy na niebie zapali.

Wiatr lasu zakrystan omiata z drzew pył
I ołtarz ubiera we wieńce,
Już księżyc ksiądz proboszcz, staruszek bez sił
Podąża, by związać nam ręce.

Spogląda na niebo, gdzie biały drży ptak,
I komżę obłoku przywdziewa,
Skowronek-ministrant do ślubu dał znak,
Chorałem ozwały się drzewa.

»Ty kochasz?« wietrzany zapytał się głos,
Wnet echa sąsiadki dokoła
Chwytają odpowiedź... Ha, szczęsny padł los,
Z uznaniem się chylą drzew czoła.

A kwiaty wonieją, a hymnem brzmi las,
Pójdź luba, na święto miłości!
Orkiestra słowików swem pieniem czci nas,
A wkoło się zbiera tłum gości.

Na czele orszaku dąb praszczur, śród chmur
Drżą gwiazdy, a księżyc dobrodziej
Za zdrowie-by wypił, zagląda więc w bór,
Uśmiecha się, zerka, podchodzi.

Mgły wiotkie rusałki śród pląsów mkną w dal,
Przygrywa muzyka dąbrowy,
Pan młody z swą panią opuścić chce bal,
Do ślubnej podążyć alkowy...

Malutka, milutka, ty rękę mi daj,
Wspaniałeż to było wesele!
Pałacem zieleni otacza nas maj
I ciepłe nam łóże z mchu ściele.

W namiętnych uściskach prześnimy nasz sen,
Nim ranek swym chłodem go spłoszy,
Nim cudna sielanka zamieni się w tren,
A w gorycz kropelka rozkoszy.

Nim życie nas zbudzi do łez
I ciernie przymiesza do kwiatów,
Nim sami powiemy, przebiegłszy znów kres,
Że była z nas para waryatów!

JÓZEF JANKOWSKI

(ur. 1865).

PO TYLU LATACH.

Po tylu latach na mej piersi,
Jak kwiat spoczęła czuły,
I łzy z jej oczu opowieścią
Długą się, długą snuły...

I wszystkie, jako sen bolesny,
Wpłynęły w moją duszę —
I dzisiaj łzami temi ciebie,
Dziewczyno, karmić muszę.

TWA PIERŚ CUDNA...

Twa pierś cudna — morza fala,
Najponętniej wirem wzdęta...
Hej, żeglarzu! mijaj zdala!
Bo pociągnie — i opęta.

Jam z nieszczęściem zbratan dawno,
W zdradną toń się rzucam śmiele:
Za mą duszę niepoprawną
Mówcie pacierz, przyjaciele!

TY W SWOJE BIAŁE, MAŁE DŁONIE...

Ty w swoje białe, małe dłonie
Weź zkołatane serce moje:
Serce, co krwawe przeszło boje,
Serce, co krwią żałości płonie.

I przepaść wybierz, gdzie najprawszy
Wzrok głębi nie uświęci;
Tam serce moje przeżegnawszy,
Rzuć w otchłań niepamięci!

JAN LEMAŃSKI
(ur. 1865).

CHCĘ, BY MI TWOJE OCZY.

Chcę, by mi twoje oczy jedyne, jarzące,
Zabłysły w życia nocy samotnej, tułaczej;
By mi żywiej płonęły, niż innym, inaczej,
Żeby przy mnie jaśniały, a gasły w rozłące.

Chcę być twoją radością i łzami twych płaczy.
Niech mię twoje wołają sny niepokojące,
I roztęskniona twoja myśl niech mię opłącze,
Jak dziewannę powoje przy chacie wieśniaczej.

Chcę, by mię twoich włosów osypały zwoje,
Rozplątane i wonne, i były mym licom
Szatrem liści zwieszonych nad szemrzącym zdrojem.

W dzień upalny, — i, nieme kochania tęsknicą,
Niech ramiona mię twoje łamliwe ochwycą,
W dzień upalny, gdy kwitną dziewanny, powoje...

OR-OT
(ur. 1867).

ŁAWECZKA NASZA...

Ławeczka nasza skromnie stała
Pod lipą starą,
I białym kwiatem wciąż sypała
Nad cichą parą.
Ach, wtedy pełna czaru była
Miłości czasza,
Gdy się tak cudnie ukwieciła
Ławeczka nasza!

I przyszła zima w srebrnym śniegu,
W dyamentach szronu,
I brzmiała z wiatrem w drzew szeregu
Hymnami zgonu.
Ale mnie jednak piekły żarem
Twoje usteczka —
I zawsze cudnym lśniła czarem
Nasza ławeczka.

Dziś znowu dawna wraca wiosna
Z zielenią, z kwiatem,
Upajająca pieśń radosna
Polata światem;
Ale już znikły twoje usta
I wyschła czasza! —
Ach! i tak smutna jest — i pusta
Ławeczka nasza!

TAM, GDZIEŚ DALEKO...

Tam, gdzieś daleko — daleko — daleko,
W onej krainie, gdzieśmy byli razem,
Umarła Miłość pod omszonym głazem,
Leży bezwładna, umęczona, senna,
Z ciemnych cyprysów łzy na kamień cieką,
I żłobią w głazie szczerby, jak żelazem...

Tam, gdzieś daleko — daleko — daleko,
Gdy za górami kona gwiazda dzienna,
Gdy liście róża rozchyla płomienna,
Jak tyś wilgotne roztulała usta, —
Skróś drogę z świata, co się srebrzy, pusta,
Wcielenia marzeń lękliwie się wleką...

Z lazuru patrzy księżyc nieruchomy,
Cyprysy patrzą z bezmowną rozpaczą,
A one idą między skalne złomy,
Gdzie z grobu płyta bieli się kamienna,
I głaz skrzydłami pieszczą lekko... lekko...
I — nieme — łzami czerwonemi płaczą...

Od morza płynie ciche wiatru wianie,
Od morza fale jednym brzmią wyrazem,
Wcielenia marzeń w purpury łachmanie
Gną skroń królewską z pokorą żebraczą,
Tam, gdzieś daleko — daleko — daleko —
W zapamiętaniu... gdzieśmy byli razem...

CIEŃ.

Byłbym za tobą poszedł w świat,
Na wody i na stepy,
Byłbym za tobą poszedł w świat,
Kochaniem wielkiem ślepy,
I serca mego oddał rdzeń,
Anioła mając z sobą...
Nie! nie! bądź zdrowa: stoi cień
Pomiędzy mną a tobą!

Prysnął mi w ręce czaru kwiat:
Na listkach rdza i skazy!
Prysnął mi w ręce czaru kwiat:
Hej! w puszczę znów z oazy!
We mgłach mój złoty kona dzień,
Owiany łez żałobą..
Nie! nie! bądź zdrowa: stoi cień
Pomiędzy mną a tobą!

Pragnąłem jedno serce mieć:
Talizman! — szkaplerz! — zbroję!
Pragnąłem jedno serce mieć:
Jedyne — ale moje!
Och! zmień twe oczy! zmruż lub zmień!
I nie kuś warg ozdobą!
Nie! nie! bądź zdrowa: stoi cień
Pomiędzy mną a tobą!

Już się rozdarła złota sieć
I więźnia nie zatrzyma!
Już się rozdarła złota sieć,
A za nią — celu niema!

I śnię o tobie, pełny drżeń,
Wieczorną, cichą dobą...
Nie! nie! bądź zdrowa: stoi cień
Pomiędzy mną a tobą!

POŻEGNANIE.

Och, opleć mnie dłonią, och, opleć białą
I główkę swą złotą na piersi mi złóż!
Już stało się, dziewczę, co się stać miało —
Ostatni... ostatni nasz walc to już!

Jak dziwne, jak chmurne muzyki tony!
Ból wieje z nich taki, tchnie taka pleśń,
Jakgdyby jęczały pogrzebne dzwony,
Jakgdyby płakała nadgrobna pieśń.

Zda mi się, że słyszę jęk jakiś głuchy,
Że pęka pierś czyjaś, zbryzgana krwią,
Zda mi się, że wokół tańcują duchy,
Posępne, milczące, owiane mgłą.

Jak w świecie szerokim smutno i ciemno,
W mej piersi rozdartej smutno jest tak..
Och, nie szarp mi serca skargą daremną,
Wszak szczęście, dziewczyno, przelotny ptak.

Ta chmurna muzyka mózg mój uśmierca,
Zatruwa mnie jadem mogilnych tchnień,
Podstępnie się wkrada do mego serca
I spycha mnie... spycha mnie... spycha mnie w cień.

I spycha mnie w otchłań, w przepaść nieznaną,
Tej głębi, tej pustki lęka się wzrok!
Czy wzejdzie tu słońce? Czy wzejdzie rano?
Czy wieczny w tym grobie panuje mrok?

Na chwilę powiało świeższe znów tchnienie,
Na chwilę duch mroku uwolnił mnie,
I czuję żałosne piersi twej drżenie
I widzę spłakane źrenice twe.

Och, opleć mnie dłonią, och, opleć białą,
I główkę swą złotą na pierś mi złóż!
Już stało się, dziewczę, co się stać miało —
Ostatni... ostatni nasz walc to już!...

WACŁAW WOLSKI
(ur. 1867).

ŚNIJ, DROGA...

..A niechaj ci się we śnie kraj marzeń rozzłoci
Tęczowych, brylantowych, gdyby szronu kwiaty...
I niech ujrzą twe oczy czarownych widm światy,
Gdyby lśniące sezamy pod kwiatem paproci...

Morze pereł, szafirów, złociste makaty,
Grody z kości słoniowej... A oczu blask koci
Ćmy Shyloków nie zdołałby przejrzeć tych kroci,
Ani zważyć bez błędu brylantów karaty...

Śnij baśń złotą, legendy tęczowe... Śnij, droga...
Niech przeczyste twe tchnienie ulata do Boga,
Unoszone na skrzydłach śnieżystych, anielich...

I niech spali mi serce płomienna pożoga,
I niech w uścisk lodowy mnie chwyci śmierć sroga,
Zanim do dna wychylę nieszczęsny ten kielich.

RONDO MIŁOSNE.

Nad starym, włoskim pochylona murem,
W ciszy laurów tych, nie mówiąc nic,
Wtula złociste chryzantemy lic
W róż płomieniącą magiczną purpurę...

Niby tajemna, grecka, złota Psyche,
W geście tym składa mi wyznanie ciche,
Nad starym, włoskim pochylona murem...

Nad starym, włoskim pochylona murem
Z cegieł, co pleśnią, jak emalią, lśnią,
Patrzy przed siebie czarnych oczu mgłą,
Jak urzeczona tym boskim lazurem,
Pełna florenckich fioraj gentilezzy,
Jakiejś tajemnej zadumy kobiecej,
Nad starym, włoskim pochylona murem...

Nad starym, włoskim pochylona murem,
Co się rozpada zwolna w czarny gruz,
Cicho zastygła w najcudniejszej z póz,
Której złocistym jestem trubadurem.
Na tle lazuru śni ma ukochana
W róż słodkiej woni, jak Wenus Tycyana,
Nad starym, włoskim pochylona murem.,.

STANISŁAW WYSPIAŃSKI
(1869—1907.)

JAK POMNĘ...

Jak pomnę, stała na stopniu wiodącym do cieni
Dużej altanki, wolnej od słońca promieni,
Bo chociaż była obszerną przestrzenią,
To jednak cała usłana zielenią
Krzewu — co uporczywie piąć się nie przestawał
Po ścianie i po słupach — przez co cień jej dawał;
Liściem i gałązkami zamknąłby ją całą,
Gdyby nie obcinany był wciąż rączką dbałą,
Ogrodniczki — tą właśnie była ona sama.
Stała tak w drzwiach altanki ujęta jak w ramce
Zielenią wkoło — na tle tej zieleni
Ciemnej,
Zdała się główka jej blaskiem promieni
Odbijać dziwnie jasno — jakby do jej czoła
Dodano ową świetlną przepaskę anioła.
O, bo anielską duszę miała — ku kochaniu
Skłaniała wszystkich zaraz po jej poznaniu. —
Prawie nie uważała na mnie — wciąż patrzała
Przed siebie — nie wiem zaś, coby znaczyła
Boleść ta w jej twarzy — zamglone
Jej łagodne oczy — ozdobione
Zaledwie widzialnemi łzami
Zdały się jak szafiry oprawne perłami,
Że trzeba było tylko — choć jedno wzruszenie

Więcej — jednego ruchu powiek, żeby to cierpienie,
Co w głębi duszy tkwiło przytłumione,
Wybuchło naraz w rzewny płacz zmienione,
Taką widziałem wtenczas smutną. — Wina zwoje
Jakoby pochylały się nad nią płaczące
I dla jej żalu współczucie niosące,
Łzę otrzeć chciały z oka, lub ubrać jej głowę,
Ze żywych liści kwieciem zdobiąc włosy płowe.
Sądziłem, jakby przez swe igranie swawolne
Dokoła twarzy może były zdolne
Spłoszyć smutek z jej lica — z czoła myśl posępną,
Aby się stała bardziej szczerą i przystępną...
I nagle wietrzyk, co zrazu spokojnie
Długie, splecione chwiał gałązki krzewu
W takt szumu drzew i ptasząt miłych śpiewu:
Zerwał się silniej — liściem niepamiętny
Musnął po twarzy ją — nadto natrętny
Dotknął ust — a czytaną mnie kartę przewrócił.
Nie zgadłem czy dlatego, że ją śmiały zbudził
Z marzeń jej drogich — czy może wspomnieniem
Dawnem rozranił serce: — dosyć, że westchnieniem
Pierś się podniosła — jedna łezka się stoczyła
Po licu bladem...
A że pozwoliła
U stóp mi swoich siedzieć—więc, patrząc w jej oczy—
Marzyłem, przeglądając się jakby w przeźroczy,
W jej duszy czystej — — właśnie rozłożoną
Książkę czytałem: — łza na odwróconą
Spadła mi kartę. — Poznałem, że była
Zasmucona — że boleść swą przede mną kryła.
Ona spostrzegła — zmieszała się — biała
Jej twarz rumieńcem zapłonęła cała.
Przeczuła, że jej boleść stała mi się jawną —
Usta zadrżały prośbą — i z bladych niedawno

Poczęły mienić barwę róży i koralu.
Zdało się, że patrzała wzrokiem pełnym żalu
Za czemś, co stało się pomimo woli —
Prosiła: nie wspominaj o tem, co mnie boli.
Potem odeszła prędko — ja nie rozumiałem
Z tego wiele — zdziwiony — dalej skoro czytać chcia-
[łem —
Rzecz dziwna — w miejscu, gdzie karta zroszona
Łzą, przeczytałem: miłość zawiedziona...

BOGUSŁAW ADAMOWICZ
(ur. 1870).

UKOŁYSANA.

Powiew poranku po nocy marzenia
Coraz to tęskniej i pieści i chłodzi,
Coraz to cudniej zdrój szczęścia się spienia —
Coraz to słodziej, i słodziej, i słodziej...

Coraz to rzewniej czar do snu ją kłoni,
Coraz to mgliściej jej oko się mruży...
Coraz to tkliwiej drży uścisk jej dłoni —
Coraz to dłużej, i dłużej, i dłużej...

Coraz to bliżej — jej główka zmęczona,
Coraz to śmielej na pierś mą się tuli,
Coraz to ufniej garnie się w ramiona,
Coraz to czulej, i czulej, i czulej.

Coraz to rzewniej, i tęskniej, i senniej,
Coraz to wolniej serduszko jej dyszy...
Coraz pogodniej, spokojniej, promienniej,
Coraz to ciszej, i ciszej, i ciszej...

ZNIJDŹ-ŻE TY KU MNIE...

Znijdź-że ty ku mnie, gdy chmurno dokoła i ciemno,
Droga, jedyna!
Przybądź z nadzieją, gdy troską tajemną, daremną
Ból mię ugina.

Zlej się, jak balsam, łagodna, kojąca, gojąca
Serca katusze,
Czarem muzyki, pieszczotą promieni miesiąca
Spłyń na mą duszę.

Zagość w mem życiu, gdy klęski przez otchłań je wiodą
Szczęścia promieniem —
Ciepłem ożywczem i rajem i złotą pogodą —
I ukojeniem!

ZDZISŁAW DĘBICKI
(ur. 1871).

STORCZYKI.

Chore storczyki kwitną, w dusznej mrąc cieplarni,
A gdzieś daleko — chodzi wiatr po parnej łące...
Piersią ku mojej piersi cicho się przygarnij
I dłoń mi białą połóż na czoło gorące...

Chore storczyki kwitną — — wdycham ich trujące,
Ich dziwne, jako blekot mocne aromaty...
O dni rozkosznych szałów! O rozkwitające
W pożodze pocałunków słodkie warg szkarłaty!...

Chore storczyki kwitną, zionąc woń zmysłową,
A czarny motyl śmierci na ich kwiatach siada...
Na łąkę mego życia, łąkę szmaragdową
Padł cień od chmury złej i bezmoc mną owłada..

Piersią ku mojej piersi cicho się przygarnij — —
Oto się przeznaczenia cicha wola ziszcza:
Chore storczyki więdną, w dusznej mrąc cieplarni,
A smutna miłość nasza patrzy na swe zgliszcza...

TAK PACHNĄ KWIATY...

Tak pachną kwiaty w noc majową,
Tak pachną, jak przed laty,
Gdy z rozmarzoną szedłem głową
W dalekie światy — —

Tak samo wszystko dookoła,
Tak pachną kwiaty z łąk...
Ach, tylko dwoje innych rąk
Dotyka mego czoła...

A tamte były, jak płomienie,
A te, jak białe są powoje —
Te drugie były »przeznaczenie«.
Te pierwsze były »moje...«

Te pierwsze były... Ach, przed laty...
Może to tylko mi się śni...
Tak pachną kwiaty,
Tak księżyc lśni...

NA DROGI MOJE...

Na drogi moje,
Po których szedłem samotny,
Spojrzały oczy twoje
I upadł blask stokrotny
Na drogi moje...

Na serce moje,
Kiedy targało się w męce,
Słodkie i dobre swoje
Tyś położyła ręce —
Na serce moje...

Na usta moje,
Które miłości bluźniły —
Tyś położyła swoje,
By odtąd szczęście piły
Z nich usta moje...

POMIĘDZY NAMI...

Pomiędzy nami jest tęsknota
Niewymówionych nigdy słów,
Pomiędzy nami przędza złota
Snów.
Ale nie powiem sercu: mów,
Chociaż mi duszę żałość mota,
Bo wiem, że kiedyś i bez słów
Milcząca ramion twych pieszczota
Wskaże mi jasne szczęścia wrota
Znów...

PODAJ MI USTA...

Podaj mi usta!... Chcę dziś wyssać z ciebie
Wszystko, co miłość twoja dać mi może...
Zanim świt nowe pozapala zorze,
Zanim się słońce pokaże na niebie,

Pragnę się upić twojem wonnem ciałem...
Ach, jakże długo ja ciebie szukałem!...

Podaj mi usta... Dokoła noc głucha,
My tylko dwoje na łożu rozkoszy
Nie śpimy jeszcze.. Płomień, co wybucha
W naszych ekstazach — sen stąd cichy płoszy...
Podaj mi usta!... Chcę się twojem ciałem
Upić... Tak długo, długo cię szukałem...

TĘSKNOTA.

W toń morza cudnie szafirową
Rzucam to tęskne, ciche słowo:
Przyjdź!
Bo chociaż jesteś mi daleka,
Dusza cię moja tutaj czeka
Co dzień, co noc, co chwila — —

Gdy wiatr w altanie mej rozchyla
Powiewne winorośli sploty,
W żałości spazmie i tęsknoty,
Na szafirowe patrząc morze
Skróś gęstą zieleń liści wina,
Do ciebie wołam, o jedyna,
Głos w puste śląc przestworze:
Przyjdź!
W miłości czekam i w pokorze...

LUCYAN RYDEL
(ur. 1870).

WARKOCZE.

U mojej Jadwisi
Warkocz jeden — drugi,
A jasny, a długi
Za główeńką wisi
I ciążą głowisi
Te dwie złote strugi.

A gdy je rozplecie,
To się tych warkoczy
Złoto szczere toczy:
Istny cud na świecie!
— A wy aż giniecie,
Moje chciwe oczy.

RUSAŁKA.

Gdy zostaniemy sami
I patrzę na Jadwisię,
To myślę tak czasami,
Że baśń mi dawna śni się —

Że to z Rusałek jedna,
Nadludzki dziw urody,
Co do mnie wyszła ze dna
Zaklętej leśnej wody.

Rzuciła potajemnie
Odludne uroczysko
I rozkochana we mnie,
Usiadła przy mnie blisko.

Rzuciła dziwów kraje,
Gdzie rosną złote drzewa
I dzwonią całe gaje,
Gdy liśćmi wiatr powiewa.

Rzuciła cudów światy
Za ludzką miłość moją,
Gdzie śpiewające kwiaty
W tęczowym blasku stoją...

Gadają ludzie starzy,
Że padnie trupem śmiałek,
Który się pojrzeć waży
W czarowny wzrok Rusałek.

Niech zaraz śmiercią zasnę,
Na miejscu niech zostanę,
Lecz patrzeć chcę w twe jasne
Oczęta rusałczane.

WIATRY ZWIAŁY.

Wiatry zwiały
Ten kwiat biały
Z pachnącej jabłoni,
We mgle bladej
Stoją sady
I słowik nie dzwoni.

Później, wcześniej,
Sen się prześni
I kochać przestanę...
Pod powieką
Łzy mnie pieką,
Łzy niewypłakane!

ANI TY MOJA.

Ani ty moja, anim ja twój:
Próżno mi, Haniu, o tobie śnić!
Pryśnie marzenia pajęcza nić,
I snów tęczowych prześni się rój,
Ja w swoją drogę, ty w swoją idź,
Próżno mi, Haniu, o tobie śnić.
Ani ty moja, anim ja twój!

PROŚBA.

Gdy mi się wszystko w koło mroczy,
Gdy się powszednim trudem znużę —
Wtedy mi patrzeć daj w swe oczy,
W oczy swe czarne, ciche, duże...

Kiedy się ugnę w twardej męce
I gdy w bezsilnym smutku stoję —
Ty mi na czole połóż ręce,
Ręce swe miękkie, słodkie, moje!

CHOĆ NIE MAM PÓL.

Choć nie mam pól, choć nie mam łąk,
Ni lasu całych włók —
Mam nieba strop i świata krąg
Aż gdzieś po tęczy łuk.

Mam złoto gwiazd, purpurę zórz
I perły mlecznych dróg,
Szmaragdy niw, szafiry mórz,
Opale mglistych smug.

Mam każdy pąk rozkwitłych drzew
I róż pachnący dech,
I lasów szum i ptaków śpiew
I tysiąc brzmień i ech.

Lecz wszystko dam: ten cały świat
I pieśni srebrny zdrój
I wszystek czas młodzieńczych lat
Za pocałunek twój!

KAZIMIERA ZAWISTOWSKA
(1870—1902).

Z MARZEŃ MOICH.

I.

Kochałam ciebie i czasem bojowe
Zbroje ci kładłam — czasem harfę w dłonie —
Czasem twe czoło tuliłam w koronie —
Czasem trefiłam pazia włosy płowe!

Gdzież ty poszedłeś, o mój książę senny?
Na sarkofagu twojego marmurze
Skamieniał anioł cichy i promienny
I w twarz ci rzuca blade grobów róże,
Bo w tym kamiennym aniele żałości
Dawno umarła moja dusza gości.

II.

Ciszy, ach ciszy! Daj mi twoje dłonie,
Błękitne światłem, ochłodzone rosą —
Jak kwiatem niemi opleć moje skronie —
Niech mi sen, spokój, i chłód nocy niosą.

Ciszy, ach ciszy! Włosów falą złotą
Przed moim wzrokiem skryj ust twych pożary.—
Bądź dziś posągom podobna martwotą,
Bądź dziś urokiem niedotkniętej czary.

III.

O, przyjdź ty do mnie — bom dziwnie samotna,
Noc się nademną rozełkała słotna
I dziwnie jestem w tej nocy samotna...

Strugami deszczu mży mgielna szaruga,
Noc pełna cieni, i wystygła i długa.

Przedzgonnych psalmów snuje hymn pokutny,
Łka w strunach deszczu w rytm niezmiernie smutny,
W mgłach odrętwiałych łka swój hymn pokutny.

I jak widm śmierci leci mi nad głową
Ta noc rozgrana ulewą deszczową...

O, przyjdź ty do mnie — przyjdź w te ciszę mroczną.
A oczy moje przy tobie odpoczną,
Oczy, zasnute mgieł oponą mroczną.

I wzlecę w jasne oczu twoich głębie,
Jako za światłem tęskniące gołębie.

I spiję niebo z gwiazd złotymi ćwieki!...
I przymknę pjane rozkoszą powieki,

Wypiwszy niebo z gwiazd złotymi ćwieki.

IV.

Daj mi sny twoje, daj ten sen skrzydlaty
O mnie prześniony — ja chcę duszę własną
W jego zwierciedle ujrzeć cichą, jasną,
Rozkołysaną jak mgły srebrnej kwiaty.

Wprowadź mnie jeszcze w kryształne zaświaty,
A tam, twą dłonią poruszone smutnie,
Niech się rozdźwięczą wszystkie ścichłe lutnie
W ów akord nagle zerwany przed laty...

Wówczas mnie ujrzysz raz jeszcze wyśnioną,
Raz jeszcze wszystkie, pogasłe w ukryciu,
Perły mej duszy tęczowo zapłoną...

I jedną cudną dam ci chwilę w życiu,
Chwilę jedyną — bo potem w noc ciemną
Pójdę, byś nigdy nie spotkał się ze mną...

EPITAPHIUM.

Cieniem byłeś ty dla mnie, bladym, wątłym cieniem,
Jak kwiat w wodzie odbity, tracąc woń, kolory,
Żywego tylko kwiatu ma nikłe pozory —
Tak w twych oczach ócz innych szukałam wspomnie-
[niem.

O minionym śnie byłeś dla mnie tylko śnieniem,
I przy tobie me myśli, błędne meteory,
Tęczą wspomnień barwiły ów kwiat różnowzory,
Ów kwiat żywy wciąż we mnie — któregoś ty cieniem.

I czasem żal mi ciebie, bo ci jestem dłużną.
Żary duszy twej padły na opokę twardą.
I czasem żal mi ciebie, żeś nie poszedł z wzgardą.

Żeś nie poszedł ode mnie ty, karmion jałmużną!...
Tylko został gdzieś w głębi twej pokornej duszy,
Jak ślad bicza, pręg krwawy od krwawszych katuszy.

DUSZE.

HERODYADA.

Czy wiesz co rozkosz? Czy cię nie poruszy
Szept białych kwiatów w takie noce parne?
Pójdź!... ja ci włosy me rozplotę czarne,
Wężem pożądań wejdę do twej duszy!

Płomiennym szeptem odemknę twe uszy,
Podam ci usta drżące i ofiarne,
I ust tych ogniem ciało twe ogarnę,
Aż pieszczot moich fala cię ogłuszy!...

Pójdź'... ja rozkoszą ściemię tobie Jehowę...
Zapomnisz, twarzą padłszy na me łono,
Pijąc źrenice me błyskawicowe...

Lecz pójdź!... bo czasem w oczach mi czerwono
z piekielnemi zmagam się widmami,
I wiem, że dłonie krew mi twoja splami.

WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI (SELIM)
(ur. 1871).

VORREI MORIRE NELLA STAGION DELL' ANNO...

Ach, umrzeć chcę,
        Ach, umrzeć w takiej porze,
Gdy kwiatów woń
        Upaja swą pieszczotą,
Kołysze się
        Wśród pól zielone zboże,
Na srebrną toń
        Z lazurów kapie złoto...
Ach, umrzeć chcę,
        W kwiecistym spocząć grobie,
Lub — kochać cię
        I żyć — i żyć przy tobie!

Ach, umrzeć chcę,
        W słoneczny ranek wiosny,
Gdy pośród bzów
        Słowicze słychać łkania,
Gdy duch się rwie
        W upojeń świat miłosny,
Stęskniony znów,
        Spragniony znów kochania...
Ach, umrzeć chcę,
        W kwiecistym spocząć grobie
Lub — kochać cię
        I żyć — i żyć przy tobie!

Ach, umrzeć chcę
Na pełnej kwiatów łące,
Gdzie strumień gra
Melodyę nieskończoną...
Jak gwiazdy dwie
Twe oczy kochające...
Z nich perła-łza
Niech spadnie na me łono...
Ach, umrzeć chcę,
W kwiecistym spocząć grobie,
Lub — kochać cię
I żyć -- i żyć przy tobie!

Ach, umrzeć chcę,
Gdy pachną wiosny kwiaty,
Jak pielgrzym iść
W ich woni w kraj daleki...
Niech usta me
Przysłonią róż szkarłaty,
Akacyi kiść
Niech spadnie na powieki!...
Ach, umrzeć chcę,
W kwiecistym spocząć grobie,
Lub — kochać cię
I żyć — i żyć przy tobie!

GDYBYM BYŁ TWÓJ...

Gdybym był twój, gdybyś ty była moją,
Ten wizyi rój, co w oczach ducha stoją,
Ten szereg mar, co tak o życie proszą,
W istnienia czar powcielałbym z rozkoszą

I rojem snów, zaklętych w kształty żywe,
Zacząłbym znów dni moje, dni szczęśliwe,
Gdybym był twój, gdybyś ty była moją.

Gdybym był twój, gdybyś ty moją była,
Potężny zdrój, nowego życia siła,
Sam nie wiem skąd, trysnąłby z głębin ducha,
Jak lawy prąd, co z dna wulkanu bucha.
I blaski zórz wśród mrocznych siejąc cieni,
Na wieki już szlibyśmy połączeni,
Gdybym był twój, gdybyś ty moją była..

Ach, z tobą wraz, gdy miliard gwiazd migoce,
Iść w marzeń las w cudowne letnie noce...
Księżyca blask twe bujne, wonne sploty
Przybrałby w kask błyszczący srebrno-złoty...
Tak cudny świat, tak tęskno strumień gwarzy,
A każdy kwiat u szczęścia śni ołtarzy...
Jam z tobą wraz, a miliard gwiazd migoce!...

A w złoty dzień z twych objęć iść do boju,
Gdzie mrok i cień, tem stać, tem walczyć w znoju
O prawdy moc, o szczęście, o swobodę...
Niech ginie noc, niech żyją duchy młode,
Wawrzynu liść niech wieńczy mężne czoła!
Ach, z tobą iść, gdzie głos milionów woła,
W słoneczny dzień z twych objęć iść do boju!

. . . .

Lecz jam nie twój i ty — nie jesteś moją!
Gdy przyjdzie bój, nie będziesz mi ostoją,
Mych krwawych ran twój uścisk nie uleczy...

Przez burzę gnan, wśród włóczni i wśród mieczy,
Nim przyjdzie grób, mieć muszę inną drogę,
Do twoich stóp nie mogę przyjść, nie mogę,
Bo jam nie twój i ty nie jesteś moją!

Ach, jam nie twój i ty nie jesteś moją,
Ożywczy zdrój — twe usta — mnie nie poją.
Nie nam, nie nam miesięczna lśni poświata,
Od moich bram ptak szczęścia znów odlata
Z szelestem piór, co wnet umilkną w dali.
Wśród wiecznych chmur duch skarży się i żali:
»Ach, jam nie twój i ty — nie jesteś moją!«

GUSTAW DANIŁOWSKI
(ur. 1871).

GDZIE ONA?

Pól mi zielone błyszczą malachity,
Koralem maków tkane, srebrem rosy,
I, niby namiot z błękitów rozbity,
Tak nad tą ziemią zawisły niebiosy.
W błękitach słońca lśni tarcza złocona,
A jednak smutno. Jej niema, gdzie ona?

Wieczór się zbliża; na smukłe topole
Z krzykiem zleciały kawki dla narady:
Bocian już usnął w swem gnieździe na kole;
Wypłynął księżyc i patrzy się blady,
Czy prędko słońce na zachodzie skona,
A mnie tak smutno. Jej niema, gdzie ona?

Takie tu piękne, ukraińskie noce,
Gdy wiążą kraj ten swojej ciszy pętem:
Niebo drobnemi gwiazdami migoce,
Potem zabłyśnie mnogich gwiazd dyamentem.
I stoi noc ta, gwiazdą załzawiona...
A mnie tak smutno... Jej niema, gdzie ona?

Gdzie ona? ciche pytają kurhany.
Co się po polach rozsiadły szeregiem.
Gdzie ona? szepcą mi gwiazd karawany;

Brzozy tak płaczą ponad stawu brzegiem...
Gdzie ona? krzyk ten rwie się z mego łona...
I tak mi smutno... Jej niema!... gdzie ona?

DROGĄ MI JESTEŚ...

Drogą mi jesteś, gdy piersią namiętną
Czuję pierś twoją falami drgań żywo,
Przy wrzącem sercu — łkań twojego tętno,
Przy mych — twych włosów pachnące przędziwo!
Lecz stokroć droższaś, gdy po krwawym szale
Pełen najtkliwszej prawie że boleści,
Patrzę na oczu twych łzawe opale,
Na dłoń twą błędną, co mnie jedna pieści!
Bo wówczas, kiedy ognie zmysłów gasną,
Cuci się dusza ma, w niebo ucieka
I tam się — mroczna — łączy z twoją jasną,
Tracąc kobietę, zyskuję człowieka,
I tem zmazuję ów grzech słodkiej winy,
W którym duch upadł pod ciężarem gliny.

ADAM ŁADA
(ur. 1871).

POWROTNY TON.

Z krwi naszej dawno przebrzmiałej symfonii
— Jak wtedy słońce świeciło inaczej! —
Został ton jeden zbłąkany, tułaczy:
Motyw powrotny naszych żądz agonii.

Słyszę go nieraz wskroś północnej głuszy,
Gdy mi na piersiach wspomnień wampir siada,
— Jakże upiorna twarz księżyca blada! —
Rozpacznie płacze ugor mojej duszy.

Rozpaczna skarga bije w strop gwiaździsty,
W kosmicznych pyłów cichy bezmiar płynie...
Słuchaj, co Anioł nasz mi szepce czysty:

Kiedyś w dalekiej dopełnień godzinie,
Do tego tonu, kiedy świat przeminie,
Bóg hymn dusz naszych nawiąże wieczysty!..

WŁADYSŁAW NAWROCKI
(ur. 1872).

RONDA.

I.

Czarą wina bądź mi, Marysieńko,
Równie słodką, gdy się pić poczyna,
Kiedy żaru bucha z niej ławina —
Jak i wówczas, gdy już widać denko...
Przygarnianą zawsze chciwą ręką,
Czarą wina.

Kiedy żal i ból krew w żyłach ścina,
Gdy jesienny smaga deszcz w okienko,
Bądź mi tą, co godzi z życia męką,
Czarą wina.

A gdy wreszcie ziemska we mnie glina
Przepaloną stanie się i cienką,
Nim śmierć dłonią mnie przytuli miękką,
Bądź ostatnią jeszcze, o jedyna,
Czarą wina!

II.

Krwi twojej tętno w licach mi się płoni,
I widzę Ciebie, jak w tę noc pamiętną
Z rozwianym włosem i źrenicą mętną,

Rwanym oddechem i płomieniem skroni
I usty, które k'moim ustom kłoni
Krwi twojej tętno.

Każesz i będę miał twarz obojętną,
Choć tęskny topię wzrok w twych źrenic toni,
Choć mym pragnieniom niczego nie broni
Krwi twojej tętno.

Tylko w godzinę zadumania smętną,
Kiedy odwieczerz słońca blask przysłoni,
A głos twój luby duszę mi rozdzwoni —
W pieśni mej nutą ozwie się namiętną
Krwi twojej tętno.

III.

Przed laty w najpiękniejszy czas
Młodości mojej w sny bogatej,
Wiodłaś mnie w jasne szczęścia światy
I pod urokiem twoich kras,
Jak przez zaklęty szedłem las —
Przed laty.

Lecz życia podmuch lodowaty
Cudne marzenia zwarzył wraz
I rozwiał sen, co poił nas —
Przed laty.

Dziś — gdy nie wróci nic tej straty —
Nim pod mogilny legnę głaz,
Chciałbym przez chwilę, jeszcze raz
Śnić jak u skraju twojej szaty —
Przed laty.

IV.

Twoje włosy, gdy opadną falą
Ciemno-złotą jak pszeniczne kłosy,
Tchnącą aromatem, jak pokosy
Uśmiechniętą rozesłane halą —
Olśniewaja wzrok, krew w żyłach palą
Twoje włosy.

Wonne, miękkie, jako leśne wrzosy
— Gdy mi pierś zakrwawisz źrenic stalą —
Zda się, że się rosą łez krysztalą
Twoje włosy.

Gdy wzrok topię w oczu twych niebiosy,
A duch marzeń ulatuje dalą —
Mego szczęścia zdają się być szalą,
Mej przyszłości zdają się kryć losy
Twoje włosy.

MAJ.

I.

O naszem szczęściu niech ptaszę śpiewa...
O naszem szczęściu niech szumią drzewa...
O naszem szczęściu, w leśnej ustroni,
Niech strumyk cichą piosenkę dzwoni...

W różane ranki, w srebrne wieczory,
Na jasne pola, na ciemne bory,
Niech o niem słodkie roznosi wieści
Wietrzyk, co z każdym kwiatem się pieści...

Szum drzew, głos wiatru, śpiewy ptaszęce
Niech się w poety ozwą piosence
Szeptem pieszczoty, nutą namiętną,
Jak szmer całusów i jak krwi tętno..

O naszem szczęściu niech dzwoni echo...
W rozpaczy wiarą, w smutku pociechą,
Nadzieją w bólu, wytchnieniem w trudzie —
— Ale niech o niem nie mówią ludzie!

II.

Pragnący mojej zguby,
Znów los mi wchodzi w drogę
I słyszę głos jej luby —
I widzieć jej nie mogę.

Tylko mi obojętnie
Pytać się wolno o nią,
Choć żar wre w każdem tętnie...
Choć lica krwią się płonią

Słodycz jej ust od wczora
Na ustach czuję jeszcze —
Nadchodzi pieszczot pora...
Lecz dziś jej nie popieszczę.

Krew mnie opływa falą
I jestem szału blizki,
Tak mnie wczorajsze palą
Całusy i uściski.

III.

Z myślą o tobie, w noc jasną,
Goniłem wzrokiem po niebie...
Patrzałem, jak gwiazdy gasną
I patrząc, drżałem o ciebie...

A gdy tak gasły powoli
Jedna za drugą w błękicie —
O naszej myślałem doli,
Złączonej na całe życie.

Zalane białej mgły smugą,
Coraz mdlej świecąc — z kolei
Gasły tak jedna za drugą...
Gasły bez żadnej nadziei.

W mdlejące wpatrzony blaski,
Wierzyłem jednak niekłamnie,
Że nad gwiazdami tam — łaski
Dość jest dla ciebie i dla mnie.

IV.

A więc mnie pytasz znów,
Źrenice chyląc modro-złote,
Z jakich ci dzisiaj słów
Miłości naszej piosnkę splotę?

Jedyna, kiedy wiem,
Że nie ćmi szczęścia zwątpień plama —

Z róż wonią, z wiatru tchem
Piosnka przychodzi do mnie sama.

Oto się snuje już!
Patrz! długo czekać nie potrzeba,
Gdy z głębi naszych dusz
Jasny wyziera błękit nieba.

W uścisku-m spoczął twym
I już gotowa piosnka cała:
Usta się splotły w rym...
Pierś rytmem się rozkołysała.

LUDWIK SZCZEPAŃSKI
(ur. 1872).

PIĘKNA.

W mięsięcznej bieli jedwab przeźroczy
Ustrój swe ciało!
I zachwyć moje stęsknione oczy
Piękności chwałą!

O, marmurowa, w zorzy skąpana,
Smukła i biała!
Cudna — całuję twoje kolana,
Serce me pała!

Olśniony patrzę, patrzę w twe blaski,
Wznoszę ramiona:
O, różo złota — o, pełna łaski,
Bądź uwielbiona!

Pieśni się moje ku tobie wznoszą
W szczęsnym zachwycie.
Zdasz mi się cała, cała rozkoszą
W zwycięztwa świcie.

I każda kropla twej młodej krwi
Swobodnie płynie!
O, jakżeś piękna! Noc wznosi ci
Rozkoszy srebrną świątynię!

TADEUSZ MICIŃSKI
(ur. 1873)

KAIN.

Wyszła mi z boru — w złocie warkoczy,
Z twarzą indyjskiej Bogarodzicy —
W błękitnych iskrach — w srebrnej przeźroczy —
Nadksiężycowej wieszczka świątnicy...
Ach, rozkochały się w niej moje tęskne oczy —
Ach, — i zabrzęczał łańcuch mej ciemnicy.

Jak wulkan krwawy w łonie Arymana,
Jak Samum, gdy się wichrami rozuzda —
Tak we mnie otchłań — gwiazdami przetkana
Leciała w państwo słoneczne Ormuzda.
Ach, rozkochały się w niej moje tęskne oczy —
Ach, i zabrzęczał łańcuch mej ciemnicy.

Nie wzbraniał mi jej smok, żelazna wieża,
Zdradny labirynt, ni królewskie ramię —
Miłość zwycięży wszystko — wszystko złamie —
Ale nie miłość drugą do pasterza.

Więc śmierć przyzwałem — i śmierć odtąd żyje —
I wszechświat cały grobowcem przywarła —
— — — — czuję mdły powiew — — —
— — — — — — w oczeretach gnije — —
Z tęsknoty — u nóg mych — umarła.

Na pustej trzcinie rozpiąłem jej włos —
Nad śniącą rzeką schyliły się drzewa —
Wiatr cicho płacze — ptak mogilny śpiewa —
To los mój — los!...
Głębiny tajne pruć —
Milczenia głuche mącić —
Jako stracona łódź
Od brzegu się odtrącić —
Mieć gwiazdy — gwiazdy rzucić —
I tylko piosnkę nucić —
To los mój — los!...

BĄDŹ ZDROWA!

Bądź zdrowa! [jak dziwnie brzmi dzwon!]
Bądź zdrowa! [lecą liście z drzewa...]
Bądź zdrowa! [miłość jest jak zgon...]
Bądź zdrowa! [wiatr złowrogi śpiewa...]
— Już nigdy!
Rwie serce twój płacz!
— Wydarł się z piersi niespodzianie,
— Żegnam cię — trzeba — i Ty Boże racz —
— Litości!.. — —
W konie!... Chryste Panie.

PALMY.

Widzę w twych oczach ciemne morza tonie
I szafir nieba, co się w nich przegląda —
Rozkosz otchłani, która śmiercią zionie —
Ciszę bezmiarów — których się pożąda.

Lub mi się zdaje, że to leśne głusze
W podzwrotnikowem słońcu gorejące —
A w głębi zimne; strojne w pióropusze
Tęczowych kwiatów, a od lian ginące.

Tak się w mej duszy mienią Twoje oczy,
Że nic trwałego w nich prócz tajemnicy.
I próżno pytam, czy mnie do świątnicy
Ten sfinks prowadzi, czy pustych roztoczy,
Gdzie palmy więdną na słonecznym skwarze
I tak do rajów podobne — miraże.

STANISŁAW WYRZYKOWSKI
(ur. 1873).

TRZY ŁODZIE.

Trzy białe łodzie płyną
Umarłych wód głębiną
Gdzieś w nieprzejrzanej mgle.

Z nich pierwsza pod namiotem
Z purpury — wiosłem złotem
Z fal krzesze skrę po skrze.

A druga zwolna smutno,
Swych skrzydeł biel pokutną
Po szklistem wlecze tle.

A trzecią fala niosła
Bez żagla i bez wiosła
Na wir, co w mrokach wre.

W tej pierwszej miłość moja,
W tej drugiej zemsta moja,
W tej trzeciej serce me.

LIST.

Niczego tobie dusza nie pamięta.
W sny się zasnuła, zbłąkała w pustkowiu,
Pod niebem głuchem, jak tarcza z ołowiu,
We własną mękę jak w płomień zamknięta.

Już jej tęsknota nigdy nie opęta
Mieć ciebie jasną na złotem wezgłowiu,
W skrach gwiezdnych drżącą — jak fala w sitowiu,
Gdy zalśni we śnie wichrem ogarnięta.

A cierpię, że się bez ciebie nie może
Rozpętać dusza, jak ogień skrzydlaty,
Każdej swej myśli przelśnić w cud i w zorzę —

Cierpię i pytam, patrząc nieprzytomnie
Na ciemne morze idące w zaświaty,
Czy łódź nadpływa — i czy płynie po mnie?

CZARNE TUJE.

Owiły czarne tuje
Znużoną głowę moją:
Twój cień się przy mnie snuje
Jak blask wśród sinej mgły.

Na sennych oczach czuję
Bolesne ust twych płomię;
W me serce niewidome
Spływają twoje łzy.

Twe myśli niepokoją,
Anielstwo twe się żali —
W powietrznej, szklanej fali
Źrenice twoje skrzą — —

Tęsknota duszę truje,
Sny jasne jej nie koją:
Owiłyż czarne tuje
Znużoną głowę mą!

JERZY ŻUŁAWSKI
(1874—1915).

PRZEZ CMENTARZ.

O, dziewczyno, czy pamiętasz —
pamiętasz?
Noc majową, cichy cmentarz,
ten cmentarz?
Stare krzyże, bzy pachnące,
pachnące —
I te gwiazdy w górze lśniące,
tak lśniące?

Jam cię pytał, czy mnie kochasz — —
czy kochasz?
Pojrzę na cię, — a ty szlochasz! —
ty szlochasz?...
Powiedz, czemu łzy ci płyną,
łzy płyną,
Czy ja winien? ja — dziewczyno?
dziewczyno!

»O! ty winien! Ja cię kocham,
tak kocham...
I ze szczęścia teraz szlocham,
ach, szlocham!?«
Jam całował twoje oczy,
twe oczy, —

Czoło, usta, splot warkoczy,
warkoczy...

Dzisiaj idę znów przez cmentarz,
przez cmentarz;
W myślach pytam, czy pamiętasz...
pamiętasz?
Myślę, dumam, łzy mi cieką,
łzy cieką:
Jam samotny, — ty daleko,
daleko! — — —

POŻEGNANIE.

Bądź zdrowa, luba moja! Gdy słońce jesienne
Chmur zawojem oplącze swe czoło promienne,
Gór gdy szczyty zbieleją na pobladłem niebie,
Wichry zmącą jezioro —: powrócę do ciebie!

Bywaj mi zdrowa! Cóż to? Łza świeci w twem oku?
Nie płacz! otrzyj ją, droga! Niedługie rozstanie!
Wkrótce będziem znów razem, znów przy twoim [boku
Siądę szczęsny jak dzisiaj... jasne śnić kochanie!

Podaj usta, tak! jeszcze! Namiętny, gorący
Pocałunek na drogę niech pali me wargi;
A gdy ciężar tęsknoty osiędzie gniotący

Piersi moje i z duszy się wyrwie jęk skargi,
Wtedy ogień ust twoich przypomni mi ciebie —
Przymknę oczy i znowu będę śnić... o niebie...

TY MNIE WINISZ...

Ty mnie winisz, dziewczyno? Myśmy wespół winni
Albo raczej zarówno niewinni oboje!
Winą-li to jest naszą, żeśmy byli inni,
Niźli te tu codzienne, szare ludzi roje?

Zali naszą to winą, że nam serca wrzały
Żądzą szczęścia? miłości? Los nam zbliżył dusze,
Jak dwie gwiazdy pędzące w niebo lotem strzały;
Trącą się i rozbiegną w ciemności, w dal i głuszę...

Płakać?—cieszmy się raczej! Myśmy niebu skradli
Rozkosz jego najwyższą, myśmy w jednej chwili
Wieki szczęścia tak błogo, choć szybko przeżyli!

Cierpim?—wszakże anieli z niebios niegdyś spadli
Za to, że się ważyli piąć do szczęścia szczytu;
My tam byli!—więc żyjmy wspomnieniem zachwytu!

ŚPISZ JUŻ...

Śpisz już... Jeszcze przed chwilą pragnąca, namiętna
W mym uścisku się wiłaś i usty z płomienia
Twarz mi piekłaś — i czułem twego ciała drżenia
I w obłędzie rozkoszy krwią bijące tętna...

Śpisz już... Jeszcze mnie palą pocałunków piętna,
Czuję uścisk ciepłego, miękkiego ramienia,
Widzę falę twych piersi — ale myśl się zmienia,
Żądza gaśnie, zaduma wstaje cicha, smętna...

Białe członki twe w świetle księżycowem miękną;
Zapominam, żem rozkosz czerpał z nich zwierzęcą,
Myślę tylko, jak białą jesteś i jak piękną...

I żal mi, że oboje nie jesteśmy czyści,
Że nie możesz tak przy mnie z ufnością dziecięcą
Spać śród lilii na łożu z jaśminowych liści...

NIE WIERZ!

Nie wierz mi, dziewczę, choćby i przysięga
Z ust mych do ciebie poszła prosić wiary!
Nie wierz! — jam różne wychylał puhary,
A wciąż po nowe jeszcze dłoń ma sięga.

I słodycz wina, miłości potęga,
Słomiane w piersiach mych wzniecają żary...
Gasną tak prędko! Z wypróżnionej czary
Gorycz się potem i przesyt wylęga.

Nie wierz mi, — proszę!... Twe usta tak świeże
I tak dziewczęce — — ust twych dla mnie szkoda!
Jabym je skalał... Tyś tak jeszcze młoda,

A ja w anielskie miłoście nie wierzę!
Chciałbym całować, ale wyznam szczerze:
Jutro zapomnę tej, co ust dziś poda!

CZUJESZ?

Czujesz? — szalone w krwi mej biją młoty
I mam na ustach pożar! Daj! tak białe
Piersi twe... Podaj! Usta oszalałe
Chcą cię i giną od krwawej tęsknoty!

Podaj mi wargi! Słonecznej ochoty
Napój z nich chłonę boski! Swoją chwałę
Spełniam puharem ust twych! Życie całe
Piję w tej chwili, jak wina sok złoty!

Dziś wszystkie słońca swoje jasne dasz mi! —
A cóż, że jutro bunt się w tobie wzmoże
I — mściwa — stargasz tę złotą obrożę,

Którą cię dzisiaj moja boskość jarzmi?
Dziś musisz nosić mego szału pęta,
Ty dziewko dumna, dziewko nieugięta!

CAŁUJ JESZCZE!

Całuj jeszcze! szalone, wściekłe usta twoje!
Tak z nich upić się można, jako z czary wina!
A cóż, że kłamią? — owszem, i ja kłamię także.
Ani ja cię nie kocham, ani ty mnie. Głupstwo!
Znamy dobrze swe kłamstwo, swe kłamstwo kochamy,
Tę grę zwinną nad ogni pożerczych otchłanią,
I te usta szalone, usta nasze krwawe,
W płomień jeden stopione, z rozkoszy omdlałe,
I na rozkosz krwią żywą znowu wzbierające!
Chociażby wszystko było kłamstwem — cóż mi oto,
Kiedy prawdą jest rozkosz twoich ust, dziewczyno!
Kłam i całuj! Gorące! wściekłe usta twoje!

MARYAN ZBROWSKI
(ur. 1872).

SERCE.

I.

Żyjesz więc, serce?... Czemże były twe przysięgi,
Że nie przeżyjesz?—Nie drżyj.—Imion nie wymienię...
Wszystko umarło... A ty?... Świątyni sklepienie...
Pająk zasnuł... Jak głucho!... A ty?... Szczyt potęgi?

Jakże ty żyjesz?... Milczysz?... Więc cię zaczerwienię
Tem »jak« i rzucę nagie w torturowe kręgi,
I wydrę tajemnicę twoją... Mów!... Wspomnienie
Z trumny ruszę... Pamiątek wydobędę księgę!...

Drżysz... Przymuszę!... I skomlisz, jak pies... jak pies...
[Chryste!
Więc nie zostało w tobie nawet cienia dumy,
Nawet chęci udania? Nie?... Ty, płomieniste,

Ty niegdyś żądne walki, szydzące z rozbicia?
Niegdyś... Wszystko ulata, jak sen, wiatru szumy...
I tylko trwa bezwstydnie przyziemny pień życia...

II.

I znów przed tobą serce moje kładę,
Jak muszlę pełną radosnego głosu,
Spojrzyj! Złowieszczy ptak mojego losu
Gniazdo w niej utkał — ust weselnych zdradę.

Jeśli nań ręce położysz, jak blade
Na rzecz pamiętną dwie gałązki wrzosu,
Jeśli posłuchasz, to może z chaosu
Szmerów — szmer jeden urośnie w kaskadę

Smutku i żalu. Może ci się wciśnie
W duszę — i zmarszczkę wyrzeźbi na czole,
Znak zamyślenia. Może na ust wiśnie

Popiół posypie. Może plamę cienia
Położy na twych dróg obłędnem kole:
— Będzie to w muszli dźwięk twego imienia!

MAMERT WIKSZEWSKI
(1872—1908).

POWRÓT.

Tęsknotą bzów i szałem róż
Wionęła noc majowa.
Szeptałem jej o wiośnie dusz
Zaczarowane słowa.

I na modlitwy mojej szmer,
Na tajnych słów zaklęcie
Porwało nas do gwiezdnych sfer
Miłosne wniebowzięcie.

Jak biały ptak po niebie wzdłuż,
Jedna się istność niosła.
Dwa skrzydła — były naszych dusz
Promienne, ciche wiosła.

Żeglował ptak po niebie wzwyż,
Gdzie gwiazd się kończy droga,
Gdzie w głuchem śnie wieczystych cisz
Już niema nic — prócz Boga.

I leciał ptak do bożych bram,
Gdzie wieczność klucze chowa —
By dwojga dusz wyśpiewał tam
Zaczarowane słowa.

LEON RYGIER
(ur. 1875).

NIE WOLNO MI O TOBIE ŚNIC...

I.

Nie wolno mi o tobie śnić
  I kochać cię, dziewczyno,
Kto inny będzie z ust twych pić
  Najsłodsze pieszczot wino!

Tęczowa marzeń moich nić
  Zerwała się, dziewczyno,
I trzeba mi uczucia kryć —
  Czy miną, czy nie miną...

Spokojnie w drogę swoją idź
  I kwiaty rwij, dziewczyno;
Bez twoich oczu muszę żyć,
  Choć z moich — łzy popłyną.

Nie możesz ty mi szczęściem być
  I pieśnią mą jedyną;
Nie wolno mi o tobie śnić
  I kochać cię, dziewczyno...

II.

Na rozstanie, pożegnanie,
Piosnkę rzucam znów...
I stłumione serca łkanie,
Sny, co ziścić się nie mogą —
Kwiat, co zakwitł nade drogą —
Niosę ci tu na rozstanie
W garstce śpiewnych słów...

Hej, dziewczyno... sny przeminą,
Wyschnie szczęścia zdrój...
Ale piosnki w dal popłyną
I poniosą z sobą światu
Blask słoneczny, zapach kwiatu —
I ten uśmiech twój, dziewczyno,
I ten uśmiech twój...

Na rozstanie, pożegnanie
Piosnkę rzucam znów...

III.

O, cichy, jasny, słoneczny dzień —
Czemu tak szybko na czasu fali
Zniknął w oddali
I skrył się w cień —
Ten cichy, jasny, słoneczny dzień...

Nieśmiałych marzeń błękitny kwiat
Więdnącą główkę ku ziemi chyli —

Minionej chwili
Nie wróci świat...
Nieśmiałych marzeń więdnie już kwiat...

I serce, pełne bolesnych drżeń,
Na szarość życia próżno się żali...
Zniknął w oddali
I skrył się w cień —
Ten cichy, jasny, słoneczny dzień...

NIE MÓW...

I.

Kochałem cię... Nie, nie mów, że te święte słowa
Bezczeszczą moje usta, gorączką spalone...
Ja wiem, powiedzieć »kocham« – dziś nie mogą one –
Lecz kochałem... I byłaś ty mi, jak królowa...

Tak... W prochu u stóp twoich leżała ma głowa;
Z pokorą, czcią i dumą patrzałem w twą stronę...
A jeśli dziś nie kocham, jeno żądzą płonę —
Tyś winna — że ci obcą była duszy mowa...

Prawda, miałaś hart, ale i chłód miałaś stali,
Bałaś się, że cię dłoń ma, zgiąć nie mogąc,–skruszy –
I ostrzem klingi w pierś mą godziłaś z oddali.

A jam czekał daremnie, wierząc, że cię wzruszy
Korne moje milczenie...
Dziś mię żądza pali:
Pragnę twojego ciała, bom nie znalazł duszy.

II.

Nęcą mnie twoich oczu rozdęte źrenice,
Nęcą mnie twoje usta, wrzącą krwią nabrzmiałe,
Nęcą mnie twoje piersi okrągłe i białe —
I ten uśmiech, co wieczną chowa tajemnicę...

Gdy na sobie przelotne twe spojrzenie schwycę,
Co choć pragnie — fałszywie jasne jest i śmiałe —
Zapominam, że gardzę — i zmysły omdlałe
Szepcą: »pójdź!... niech się twoją pięknością nasycę!...«

A jednak.. Wiem, — świat w przepaść runąłby wraz
[ze mną,
Gdybyś chciała usłuchać mojej krwi wołania
I padła w me ramiona po rozkosz wzajemną —

A jednak — gdy się przeszłość z pamięci wyłania —
To za swą wiarę w ciebie, świętą, choć daremną,
Dałbym — nawet ten krwawy tryumf pożądania!...

EDWARD SŁOŃSKI
(ur. 1875).

NIE PŁOŃ SIĘ...

Nie płoń się, nie wstydź! Jutro nas rozdzieli —
I nie spojrzymy sobie więcej w oczy.
Życie nas swoją szarością otoczy,
Starość siwizną nam skronie pobieli,

Uczucia przejdą — a każde spopieli
Swój ślad na sercu... Więc śnijmy uroczy
Sen, wykąpani w tych blasków roztoczy,
Na tych ziół miodnych i tych mchów pościeli!

Dziś nasze święto... Jutro gardła nasze
Swem zimnem cielskiem wąż żalu opasze
I wyssie wszystką naszą krew z pod serca.

I przyjdzie starość, w ciche odwieczerze,
Jak dziad kościelny, szepcąca pacierze
Bezzębna starość, co wszystko uśmierca.

GRZECH.

I.

Dziś przyszłaś do mnie w nocy,
Zbudziłaś trwożny sen,
Rzuciłaś mi na oczy
Swych włosów płowy len.

Na piersi mej rozkwitłaś,
Jak róży wonny pąk,
Purpurą ust gorących,
Oplotem białych rąk.

W szeptanych twoich słowach
Drżał płacz i dzwonił śmiech...
Przyniosłaś mi dziś w nocy
Swój pierwszy słodki grzech.

II.

W dziewiczem twojem łonie
Krwią młodą tętnił szał
I ból rozkoszy pierwszej
Niemocą słodką mdlał.

Słyszałem szept twój cichy,
Bezsilny płacz i śmiech:
— Mój miły, jaki słodki
Mój wspólny z tobą grzech.

Mój miły, jak mnie palą
Płomienie twoich rąk!
Słowiki w sadach jęczą,
Jaśminy pachną wkrąg...

III.

W dziewiczej twej samotni
Śród czterech białych ścian,
Pacierza święte słowa
Szły z grzeszną myślą w tan.

W panieńskim alkierzyku
Z matczynych dobrych rad,
Rozkwitał purpurowy
Pierwszego grzechu kwiat.

Strach jakiś słodkim dreszczem
Po ciele twojem biegł,
Rozkoszą i tęsknotą
Nalewał cię po brzeg.

Więc, jak nalana czara,
Lśniąc złotym płynem wkrąg,
Czekałaś ust spragnionych
I chciwych ciebie rąk.

IV.

Myślałaś o mnie długo
Z zapartem w piersi tchem,
Wołałaś każdą myślą
I każdym swoim snem.

I do mnie, czując w sobie
Wezbraną życia moc,
Prężyłaś swe ramiona,
Jak lwica w parną noc...

Aż wreszcie po księżycu
W brylantach z mgły i ros
Przybiegłaś do mnie drżąca
I zawołałaś w głos:

— Wołałeś mnie, więc przyszłam,
Przybiegłam do twych rąk!
Słowiki w sadach jęczą,
Jaśminy pachną wkrąg! —

V.

Z białego alkierzyka,
Jak z klatki, uciekł ptak —
Łóżeczko niezasłane,
W łóżeczku kogoś brak.

Na małej otomance,
Wciśniętej w mroczny kąt,
Matczyne dobre rady
Usiadły wszystkie w rząd.

Usiadły w rząd i płaczą,
I krzyczą: — Co za srom!
Na oścież drzwi otwarte,
Skroś nocy pusty dom! —

Za drzwiami otwartemi
Noc śpiewnych pełna ech,
Przez drzwi otwarte wchodzi
Do alkierzyka grzech.

I mówi dobrym radom:
— Nie załamujcie rąk!
Słowiki w sadach jęczą,
Jaśminy pachną wkrąg!

WINCENTY KORAB BRZOZOWSKI
(ur. 1874).

DOMUS AUREA.

Kocham! Goreję! — Milcz ty! tak mowa jest pusta!
Serce grzmi, łono dyszy w głębiach nawałnicą!
Ach! przymruż lśniące ognie oczu, tygrysico!
Ach! daj mi kąsać żywe kwiaty, twoje usta!
Niechaj twą kibić ścisnę ramion mych obręczą,
A mleczne bryzgi moich gwiazd, z twą krwawą tęczą
Chciwie skłębione, w łona twojego przestworza
Rzucą drgającą wieczność!
Ciała, jak dwie fale
Leżą, mdlejące, lśniące, w słonecznym upale:
O hej! na złotych brzegach życia Fale Morza!

I.

WĘGLEM SMUTKU I ZGRYZOTY.

Odejdź ode mnie! Smutną jest biel ciała,
A dreszcze pieszczot są długą agonią —
Dusza już moja w objęciach konała,

A jeszcze nad nią łzy oczy me ronią,
A jeszcze serce me krwawi okrutnie!..
Tak, dreszcze pieszczot są długą agonią...

Słoneczna przeszłość moja zgasła smutnie,
Świątynię myśli ciemność zamieszkała,
U stóp twych świętą pohańbiłem lutnię!

Odejdź ode mnie! Smutną jest biel ciała...

II.

A więc na zawsze żegnasz mię? To dobrze.
Pokój niech będzie z tobą, piękna pani.
Czy z tobą rozstać się boleśnie rani?
Z żyjących jestem: wszystko zniosę chrobrze.

Oto jest pierścień, odbierz. Kamień złoty,
Jak lustro w ramie srebrzystej majaczy;
Oto są listy, mówiące inaczej
Niźli twe usta... Stylistyczne zwroty.

Nie szydzę, pani. Wierzyłem niezłomnie
W wszystkie twe słowa: »Kochaj mnie wieczyście!
Wiosna! Na drzewach, patrz, pachnące liście!
Wiatr szumi! Słońce świeci! O, pójdź do mnie!«

Lecz nim odejdziesz, pozwól, w twoje oczy
Raz jeszcze spojrzę. Ich czarem spowity,
Mówiłem zawsze: »Żywe chryzolity,
Lśniące w głębinach miłosnej roztoczy...«

Lecz nim odejdziesz, pozwól, niech popieszczę
Twoje przesłodkie, rytmiczne kolana,
Niechaj zmysłowe zaśpiewam hosana!
Na twojem łonie, gdzie jest blask i dreszcze!

I myśleć, że tam jakieś bezimieńce
Wtargną do twojej piękności świątyni,
I pośród tłumu, tej ducha pustyni,
Zgasną na twojem czole — moje wieńce!...

O, żegnaj, żegnaj! Odsunę wrzeciądze,
Otworzę wrota serca, gdzie, wśród mgławic
Szumnej purpury, lśnią pęki błyskawic
I w harfę życia dzwonią moje żądze!

Odejdź! Ostrożnie! Zapalę płomienie,
Bo ciemność nocy głęboko się szerzy —
A ty, w dół idąc ze szczytów mej wieży,
Potknąć się możesz i runąć w bezdenie...

III.

Czy blizko będziesz przy mnie, czy daleko,
Nie zmieni w radość to smutku mych dni:
W oczach twych, bladą przymkniętych powieką,
Już położyłem umarłe swe sny.

Już pożegnałem się z twojemi usty,
A z rąk twych powiał już rozłączeń znak:
Cóż stąd, że serce, czując wszechświat pusty,
Drgnęło kurczowo, jak zraniony ptak?

Ty wiesz, kto jestem; ja — poznałem ciebie;
Oto przed nami łachman zdjętych mask:
Gardła ściśnięte są, jak na pogrzebie...
Och! jaka próżnia! jaki nędzny blask!

Gwiazdy padają, martwe, w głąb chaosu,
Widzę miłości zwłoki pełne plam —
I łkają płaczki — żałobnice losu,
Żeś tak samotna ty, że ja — tak sam!...

STANISŁAW KORAB BRZOZOWSKI
(1876—1901).

DO * * *

Rzekłaś mi: »Spojrzyj na blask słońca złoty,
Co śle na ziemię ożywcze promienie —
Patrz! jak rozpędza pomroki i cienie
I świateł rzuca mieniące klejnoty!«

Rzekłaś mi: »Spojrzyj na drzew gęste sploty,
Co wydzielają balsamiczne tchnienie —
Patrz! lekko lecą, jak z duszy westchnienie,
Ptaszki, kierując ku niebu swe loty!«

Tyś tak mówiła, zachwytem przejęta,
Patrząc, jak wiosna, królewna zaklęta,
W blaskach słonecznych wykąpana, kroczy:

Jam jej nie widział, — boś ty, uśmiechnięta,
Stała przede mną, jakby cud uroczy:
Na ciebie tylko patrzały me oczy.

O DZIEWCZĘ!

O dziewczę! gołąb dziś na twem ramieniu
Usiadł, z twoją szyją łabędzią się pieści,
I, tonąc cały w cudnem zachwyceniu,
Miłości pierwszą jutrzenkę ci wieści.

Choć gołąb grucha, nie rozumiesz mowy,
Kryjącej w sobie miłość i tęsknotę;
A on się lęka namiętnemi słowy
Budzić w twem sercu pragnienia spiekotę...

Odleci cicho, kryjąc w sobie ciernie, —
A może nigdy nie ujrzysz go więcej...
Lecz gdy minione dzieje wspomnisz wiernie,
Poznasz, że nikt cię nie kochał goręcej!

MIECZYSŁAW MARYAN SROKOWSKI
(1876—1910).

ZAPOMNIENIE.

Smutno. Choć żar ust twoich moje usta spali,
Choć upojeń ostatnich złamię tajemnicę,
Choć nowym czarem grzechu oczy twe nasycę,
A twój anioł, ten biały, zapłacze w oddali,

Choć rozkosz już przeważy na dusz naszych szali,
A cnota w drżące dłonie zbladłe skryje lice, —
Choć szał nam rzuci w serca olśnień błyskawicę,
Cóż stąd — gdy mi zdolność do szczęścia zabrali...

Posłuchaj, raz noc była — raz dawno, przed laty —
Do mej biednej samotni wszedł geniusz — zwątpienie
I złą pieśnią połamał duszy mojej kwiaty —

Grzebałem białe róże — sny — lilie — marzenie
I szczęścia niedorzeczne, młode, jasne światy
Przed rozumem rozpaczy, pierzchły w zapomnienie.

WŁADYSŁAW ZALEWSKI
(ur. 1877).

W PŁOMIENIACH KRWI.

KOCHANKA

Kochany! Jam niewinna! Jam biała! Ust krwawe
Rubiny mam i piersi soczyste jagody,
I żar ciała! Przyjdź rychło na miłosne gody,
Oblubieńcze mój luby! W me włosy złotawe
Owiń się i oszalej! Bo dziś pragnę cała
Być rozkoszą! Jam lilia — we krwi szału biała!...

Jam dziś łuna pożogi — jako żagiew płonę!
Więc pójdź ku piersiom moim, ku ustom, ku łonu!
Nasyć głód mój, nim przyjdzie chwalebny dzień skonu,
Nim spopielejem w słodkim ogniu — bo już chłonę
Melodyę wszystkich szałów, co mnie w piekło kuszą...
Ja czekam z ciałem wonnem, z rozśpiewaną duszą!

Kochany! Noce długie w bezsenności trawię!
Przychodź, bo łono moje pieszczotami hojne,
We sny się mota i krwią smaga mnie na jawie!...
Ukój mękę, bogaczu szczodry! Patrz! Toczone
Biodra prężę, przeczuciem rozkoszy upojne — —

Oto twój szept płonący, oblubieńcze, chłonę!...

KOCHANEK

Ucisz wołanie pragnień, które sercem głuszę!
We snach moich jam ciebie widział lilię białą,
Czemu się w tobie znagła morze rozhukało
I szumi krwią, szalone?! Na Boga! Nam dusze
Gorzały w snach, jak znicze! Nam wonieją przecie
Ogrójce marzeń! O śnij, że cię tulę, dziecię,

Jak dawniej! Bądź mi siostrą — nie oblubienicą!
Nie zdzieraj szat! Rozkoszne skryj ciała ponęty!
Nie! Całować nie będę piersi odsłoniętej!
Precz idę — z nieumilkłą melodyi tęsknicą
Ku snom błękitnym! Nie kuś tak strasznie, widomie!
Bądź siostrą! Zgaś to żaru szalejące płomię!..

Kochana! Jam twych darów królewskich niegodny!
Bo nie dla mnie żar ciała — ani wonne łoże,
Ani róże ust twoich pachnące, ni miodny

Upojny szałów trunek! Moje sny młodzieńcze
W prochu, w pyle! Nie gorą, nie płoną, jak zorze!
Więc depcz mnie, syna mroku i przeklinaj—klęczę!...

ANTONI SZANDLEROWSKI
(1878—1911).

PIEŚN.

Daj włosy...
mżą zcicha... pieszczotne...
Jak wrzosy...
jak kwiecie paprotne...
Daj włosy...
na leże namiotne...
Jak wrzosy...
ich lśnienie pozłotne...
Daj ramię...
wcałuję płomienie...
Nie splamię...
skrysztalę w złocienie!
Spójrz na mię...
jak tęcza się mienię...
Połamię!
twe strażne pierścienie...
Daj piersi...
masz kute... masz władne...
Najpierwsi...
padają w niezdradne...
Daj piersi...
jak cień się w nie wkradnę...
Najpierwsi...
tajń zgadną... ja zgadnę!...

BOLESŁAW LEŚMIAN
(ur. 1878).

ZIELONA GODZINA.

FRAGMENT.

Dziewczyno, nim się w mojej odbijesz źrenicy,
Musisz przebrnąć splątane zieloności zwoje,
Co oddawna mych oczu zaprószyły głąb.

Leśno tam i cieniście, jak w owej krynicy,
Gdzie drzew wierzchy tkwią na dnie.
Nie patrz w oczy moje,
Bo twą postać przesłoni pierwszy z brzegu dąb!...

Długo one — te oczy — zbłąkane wśród jarów —
Zbierały kwiaty żywe i śmiertelne zioła,
Zważając na motyli dookolny tan.

Dzisiaj głąb ich — to leśny a wiszący parów...
I nie wiem, czy śmierć kiedyś udźwignąć podoła
Ducha — jagód purpurą przeciążony dzban

Nieraz one — te oczy — wpatrzone gwiaździście
W słońce, światłem rozprysłe po dębowych sękach,
Czuły, jak w nich dojrzewa i paproć i wrzos...

Więc im dano na miłość poglądać przez liście,
Nikłym cieniem na moich pełgające rękach,
Co za chwilę, dziewczyno, rozplotą twój włos.

Że też temi oczyma, gdzie las ma schronisko,
Zdołałem postrzedz ciebie — w twej chacie za rzeką
Gdy się wokół i dalej rozpłomienił czas!

Lecz, choćbyś do mej piersi przywarła się blisko,
Zawsze będę cię widział cudownie daleką —
Przez ukryty w mych oczach, nieznany ci las!

SCHADZKA.

Czy nie słyszysz, jak obłok porusza się senny?
Jak noc ciszą pogłębia dna ciekawy strumień?
A w alejach szeleści niepokój płomienny
Księżycowych powikłań i nieporozumień...

Spiesz się, dziewczę, spragnione pieszczoty bez-[kreśnej!
Śmierć i miłość zna tryumf umówionych godzin!...
Twój kochanek cię czeka od dnia swych narodzin,
Wierny tobie współtrwogą, tęsknotą — rówieśny!

Niech twe lico dla niego zakwitnie różowiej,
Niech osłabną ramiona, białych piersi stróże!
Burzą włosów upojnych marzenia mu owiej,
By miał w życiu tę jedną, niewrogą mu burzę!

Lecz nic nie mów o sobie — czemu tak nieznana?
Skąd przybywasz i dokąd odejdziesz za chwilę?
I dlaczego twe nogi tak we krwi i w pyle,
Że całować je mało od nocy do rana?

Ani jego nie pytaj, dlaczego spotkanie
Tak opóźnił? Dlaczego oczyma nie śledzi
Twych oczu? I czy kocha? Bo wszelkie pytanie
Jest wrogiem mimowolnym własnej odpowiedzi!...

Milcz i całuj! — Milczeniem pieszczota się krzepi
I niezgorsze wesele tkwi w dobrej żałobie!
Wszak nie można się kochać żarliwiej i ślepiej,
Jak tak właśnie: nic wzajem nie wiedząc o sobie.

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI
(ur. 1878).

PIOSENKA.

Niech żyje śmiech, niech żyje szał,
Niech ginie świat, niech wszyscy giną!
Bylem się bawił, bylem się śmiał,
Bylem cię zawsze u boku miał,
Dziewczyno!

Dość łez, dość westchnień, dosyć skarg,
Bo darmo i bez celu płyną —
Znudził mię życia huczny targ
I chcę się upić krwią twych warg,
Dziewczyno!

Niechaj tam fala życia wre,
Niechaj się łodzie jasne winą,
Ja wolę pierś twą, usta twe
I jedną twych całusów skrę,
Dziewczyno!

UAJALI.

Kochanka moja, Uajali biała,
O oczach czarnych, jak noc południowa,

O włosach złotych, jak łan w blaskach słońca,
Smętna jak lilia, jak płomień gorąca,
Gwiazd lśniących w duszy pani i królowa,
Kochanka moja, Uajali biała,
Stanęła przy mnie, cicho się zaśmiała,
Potem na czole położyła dłonie
I rzekła głosem, w którym słońce płonie:
— »Weź mnie... na wieki oddaję się tobie,
Wieńcem z róż jasnych czoło ci ozdobię,
Pieszczotą myśli do snu ukołyszę
I poprowadzę w dal, w błękitną ciszę...
A tam swe usta w usta twoje wplotę,
Pierś w pierś i w owym uścisku złączeni
Będziemy śnili, aż nas rozpłomieni
Krew, aż się w ognie przemienimy złote«.
Było to rankiem, kiedy gwiazdy mdleją
I kiedy w starym, przedwiekowym borze
Na drzewach ptactwo budzi się z uśpienia,
Kiedy łódź-słońce, na błękitów morze
Płynąc, zorzami drogę rozpłomienia.
Było to rankiem, kiedy gwiazdy mdleją,
Na kwiatach jeszcze srebrzyła się rosa,
W powietrzu jeszcze stały mgły perłowe,
Na niebie jeszcze noc hebano-włosa
Snuła warkoczem wstęgi purpurowe.
Kochanka moja, Uajali biała,
Stanęła przy mnie, cicho się zaśmiała,
A jej śmiech niebo otworzył nade mną,
Ciche, przesłodkie harf anielskich granie
Oplotło srebrną wstęgą moją duszę
Poczułem szczęścia jasne zmartwywstanie
I w serce taka weszła mi ochota,
Że rozśpiewało się jak harfa złota.

Stanęła przy mnie, cicho się zaśmiała,
A mnie się zdało, żem już wyszedł z ciała
I że na kwiatach gdzieś pod niebios progiem
Leżę i gwarzę cichą pieśnią z Bogiem,
Ze jestem blaskiem lilii, wonią róży
I pocałunków anielskich słodyczą,
Że jestem cichą piosenką słowiczą,
Świeżą jak łąka po wiosennej burzy,
Nie! To sen chyba! Uajali... Ona!
Wizya słoneczna ateńskich rzeźbiarzy,
Pieścić mnie pragnie i tulić do łona,
U stóp mych na głos o miłości marzy...
Nie, to sen chyba!... Uajali biała,
Do której długom modlił się daremnie,
Szepce, kochania owiana tęsknotą:
— »Niech mnie twe dłonie pożarem oplotą,
Niech usta twoje krew wypiją ze mnie«.

LEOPOLD STAFF
(ur. 1878).

PARAFRAZA.

Czy ma dziewczyna
Wspomina,
Żem ją nauczył miłości?

Chodzi po ogrodzie
O wieczornym chłodzie,
Z uśmiechem radości,
Jak gdyby w dzień spotkania.

— Czemu, dziewczyno ma pusta,
Tak czerwone masz usta?
»Do całowania«.

Czy ma dziewczyna
Przeklina,
Żem ją nauczył miłości?

Chodzi po ogrodzie
O wieczornym chłodzie,
W posępnej żałości,
Jak gdyby w dzień rozstania.

— Czemu, dziewczyno, jak chusta
Takie blade masz usta?
»Od całowania«.

NIGDY!

»Nigdy!« To słowo na swojego domu
Wyryłem progu. Na drzwiach drugie: »Dość!«
Ostatni raz dziś bez wstydu i sromu
Serce wspomnieniu-m rzucił, jak psu kość.
Cokolwiekby mi w przyszłości przyniosło
Złe przeznaczenie, co dumie kark zgina,
W dłoni swej wolę mam, jak twarde wiosło...
Hej! na żelezie malowana trzcina!...

By lico twoje, pobladłe pogardą,
Jak głaz w jezioro, w pamięć mi nie wpadło:
Dłonią swą zimną surową i twardą
Tłukę na zawsze wspomnienia zwierciadło,
I obojętność, która nie wspomina,
Samotne moje ogrody zamieszka,
I jedna tylko, — nie! — żadna w świat ścieżka...
Hej! na żelezie malowana trzcina!...

Wieniec na głowę, w rękę wina kielich,
Aby... zapomnieć, co... już zapomniane...
Rąk twoich słodycz i pieściwą biel ich
I usta twoje niegdyś całowane...
Lecz nie pamiętać ich w śnie, ni w obłędzie!
Śmiać się, weselić wśród róż z krużą wina!
Lecz cóż, gdy ciebie, ciebie tam nie będzie...
Hej! na żelezie malowana trzcina!...

JAKŻE MOŻECIE KWIATY...

Jakże możecie, kwiaty, być tak cudne,
Jako jej oczy i usta! Obłudne
Kwiaty, o kwiaty!

Róże czerwone i modre bławaty,
Jakże możecie mamić mnie tak kłamnie,
Kiedy jej oczy i usta nie dla mnie,
Gdy długą, długą oddzielone drogą
Żyją dwa serca, które
Ach, jednem być nie mogą!
Kwiaty, o kwiaty!

Jakże możecie świecić tak spokojnie,
Po modrem niebie rozsypane rojnie,
Gwiazdy, o gwiazdy!
Jakby rozłąki i gorzkie odjazdy
Dusz nie krwawiły! Jak możecie ciszą
Wydzwaniać wieczność, gdy was serca słyszą,
Które myśl »nigdy« spętała, jak matnia
I kiedy każda chwila
Jest pierwsza i ostatnia!
Gwiazdy, o gwiazdy!

A GDY UJRZYMY SIĘ ZNOWU...

Kiedyś po długich latach ujrzymy się znowu.
Łódź moja będzie w przystań wracała z połowu
Pereł, po które rozkaz twój na burz szaleństwo
Wyprawił mnie. Żądałaś, by niebezpieczeństwo
Było próbą miłości mej, a twej okupem.
W zachód różowy łódź ma wracać będzie z łupem,
Gdy na wód senność zaczną od skał padać cienie,
A morze będzie ciche, jak moje znużenie.
Wiosło złożę i zwinę żagiel, jak tęsknotę
U progu ukojenia. Fale miękkie, złote

Nieść mnie będą spokojnie, jak blade godziny,
Na których szczęście płynie w spomnienia krainy.
Na brzegu czekać będziesz. A gdy dotknę ziemi,
Milczenie będzie naszem powitaniem. Niemi
Popatrzymy na skarbów morzu wzięty przepych
Zgasłem spojrzeniem oczu od bujnych łez ślepych.
Pójdziem, a ty nie spytasz o moje przygody,
Gdy na twojego domu wchodzić będziem schody.
Aż kiedy w tym ogrodzie pod ciemnemi drzewy
Usiądziem, chłodząc skronie letnimi powiewy,
Choć nie wyrzeknę słowa brzmiącego wyrzutem,
Uczujesz nagle w sercu boleśnie ukłutem
Żal obłędny, szalony lęk, jak zawrót głowy;
Żeś pierwszy lot mych tęsknot na mozół jałowy..
Skazała, na tych marnych nam skarbów szukania,
I przeklniesz dzień, gdym słuchał twego rozkazania
Choć nie zgadniesz, że jutro opuszczę twe progi:
Bom, błądząc, nad cię błędne swe pokochał drogi..

NA RUINIE.

Woda wiedziała więcej o nas, niż my sami:
Że to ostatnia nasza schadzka pod drzewami
Wysokiemi nad rzeką, która w wolnym biegu
Fal odbijała nasze postacie na brzegu,
Siedzące w ostatniego słońca bladym błysku,
Na chwastami obrosłem świątyni zwalisku.
W głębokiem bezprzeczuciu słuchaliśmy w ciszy
Szumu drzew, w którym dusza zadumana słyszy,
Za czem tęskni, jak w chmurach płynących wysoko
Wszystkich kształtów dopatrzy się marzące oko.

Lecz woda znała przyszłość, jawiąc nam rozlewne
Odbicia nasze, zmienne i chwili niepewne,
Zwierciedląc usta nasze w swej ciemnej głębinie,
Złączone w pocałunku pierwszym — na ruinie.

KORONA.

W rubin stopić swą duszę i serdeczny ból,
W szmaragd nadzieje swoje i lasów zielenie,
W topaz swą młodość złotą i zboże wszech pól,
W szafir morze i słodkich twych oczu wspomnienie.

I w żarze, którym serce tchną mego płomienie,
Z złota, jakiego nie śni dla swych miodów ul,
Bez wytchnienia kuć dla cię, dzień i noc, szalenie,
Koronę, jakiej nie znał żaden ziemi król.

I zaprzysiągłszy ci się na życie i grób,
To świata wszechbogactwo rzucić ci do stóp
I bezgraniczne szczęście swe płakać w łez zdroju;

Potem, pośród zamętu rozkoszy i mąk,
Oszaleć od pierwszego dotknięcia twych rąk
I lecieć, umrzeć za cię w jakimś strasznym boju!

TWE ZŁOTE WŁOSY.

Włosy twe, jak płomienna błyskawicy grzywa,
Jak surm mosiężnych świetna, weselna muzyka,
Jak uroczyste święto bogatego żniwa,
Jak w południe lipcowe spieka słońca dzika.

Włosy twe: bursztyn — jedwab, ogień i oliwa,
Jesienny niebywały przepych października,
W zasobnych, miodnych ulach praca pszczół szczęś-
Złote szaleństwo wina dla ust biesiadnika. [liwa,

Włosy twe: rozżagwiona rozkoszy pochodnia,
Kojące jako morze, kuszące jak zbrodnia...
Jak w lesie o zachodzie, zabłądzić w ich złocie!

I po wirze upojeń, pieszczot zawierusze,
Zagrzebać w nich twe usta i upowić duszę
Dumną, jak sen zwycięzcy w zdobytym namiocie!

DOBRANOC.

Dobranoc! Śnij,
Że w las zielony wiosną
W słoneczne idziesz rano,
Gdzie pośród drzew
Mchy i paprocie rosną,
Muskając twe kolano.

Słoneczny blask,
Przesiany przez brzóz włosy,
Jak płatki złotej róży,
Pada na biel
Twych rąk a perły rosy
U twoich lśnią podnóży.

W gałęziach ptak,
Co z drzew szelesty strąca,
Ruszywszy je skrzydłami,

Rzuca swój śpiew
Pod błękit w złoto słońca,
By spadał ros kroplami.

Zielony głaz,
W mchów drzemiąc aksamicie,
Skusi cię spocząć w cieniu,
A zdrój, co gdzieś
W gęstwinie szemrze skrycie,
Przypomni-ć o pragnieniu.

I kiedy wkrąg,
Za źródłem patrząc blizkiem,
Sperlone ujrzysz zdroje,
Obudzisz się
Objęta mym uściskiem
I znajdziesz usta moje.

USTA TWE BLADE...

Usta twe blade,
Usta twe chłodne.
Wargi swe kładę
Na twe uwodne
I już me serce blade i chłodne.

Lecz usta twoje
Od mych odżyły:
Jak wiśni dwoje
Krwią się spłoniły,
Gdy serce moje krzepnie bez siły.

DALEKAŚ MI...

Dalekaś mi, daleka,
Jak radość szczęścia cicha...
Serce me czeka,
Usycha...

Lecz blizkaś ty mi, blizka,
Jak żałość niezgłębiona...
Serce się ściska
I kona...

MAJAK.

Co to było!... Okropna noc!.. Siedzimy niemi
Na łóżku obok siebie, jak bładzi morderce...
Niechaj oprzytomnieję... Jak mi bije serce!
Mów!... Gdziem był!... Nie dotykaj usty rozpustnemi!

Myśl tli: nocą obdarli mnie, gdym szedł pustoszą,
Włóczykije pijane, łotry i opryszki...
Wszetecznice szły za mną, nocne towarzyszki...
Obdarli.. Drogie strzępy mego płaszcza noszą...

Chodzą za mną... Morderca popatrzał mi w oczy.
Rzekł mi: »Bracie!« i krwawy nóż w rękę mi wsunął...
Czyśmy zabili kogo?... Tam trup w mroku runął,
To wichr łopoce.. spojrzyj... krew rąk mi nie broczy...

A jednak coś strasznego stało się... Patrz... świta...
Jakby głaz głucha głowa... Strach czyha u węgła...
Ach, nic! — To tylko szału noc majak wylęgła...
Ach, nic! — To była jedna noc z tobą przeżyta...

JÓZEF JEDLICZ
(ur. 1879).

PIEŚŃ POŻEGNANIA.

— Już mi przyjdzie porzucić
Te chłodne mroki sadu;
Twe objęcia królewskie
I usta z winogradu,
I oczęta niebieskie — —
Już mi przyjdzie porzucić,
Aby nigdy nie wrócić...

Pójdę na święte boje,
Na zgony i na męki,
Na bezmiar pracy krwawej
I niewysłowne lęki —
Na śmiertelne zabawy...
Pójdę na święte boje,
Na wieczne niepokoje.

Więc hartuj serce w piersi,
Bez żalu odejdź w mroki —
Spójrz z dumą w pomiot karli....
Tam — wśród głuszy głębokiej
Przyjmą ciebie Umarli — —
Wię hartuj serce w piersi,
Choć opuszczą najszczersi...

Gwiezdna cisza nad nami,
Gwiazdom duszę twą zwierzę —
Wśród mroków kurhanami
Pójdziem — świtem i mgłami —
Tam, z wielkimi duchami
Na wieczyste przymierze — —
Twą duszę gwiazdom zwierzę.

— Dziękuj Bogu, kochana,
W zachwytnej klęknij skrusze:
Za swe szczęście ułomne,
Za tę wielką swą duszę
I cierpienie ogromne —
Dziękuj Bogu, kochana,
Iżeś była wybrana!...

KORNEL MAKUSZYŃSKI
(ur. 1880).

A PRZETO CIĘ POŻĄDAM.

A przeto cię pożądam. Słuchaj, co ci prawię
W ciszy, by słów mych własne nie słyszało serce
A przeto cię pożądam i rękoma zdławię,
Do ust twych przylgnę usty, w pierś wzrokiem
[się wwiercę.

Nie przeklinaj mi duszy, bom w anielskie straże
Wypędził z siebie duszę, precz na noce dżdżyste...
Ciało całe mam w ogniu i całe mam w żarze
I rzucę je na piersi twoje, jak śnieg czyste.

Węże mnie nauczyły mocy swoich splotów,
Błysku oczu miłosna mnie uczyła lwica:
Nie broń mi się, bo krew ma gra w dyszącym
[gniewie,

Serce me jak pies wyje echem setki grzmotów:
Płoń! niech płomień w pierś twoją spełznie z mego
[lica,
Z moich oczu bierz żagwie, z moich ust zarzewie.

DAŁEM CÓRCE RYBAKA...

Dałem córce rybaka najpiękniejsze słowo,
Odrzekła mi, że woli mieć konchę perłową.
Dałem córce rybaka mą miłość dozgonną,
Odrzekła mi, że woli mieć dukat z Madonną.

Dałem duszę, podobną do otwartej książki,
Odrzekła mi, że woli dwie czerwone wstążki.
A kiedym jej dał serce, z krwią, podobną winu,
Odrzekła mi, że woli paciorek z bursztynu.

Pożyczyłem na lichwę pyszny, złoty pieniądz,
Spływają z rąk mych wstęgi, purpurą się mieniąc.
Błysnęła mi wśród piasku koncha srebrnolica
I bursztyn wynalazłem, jak okruch księżyca.

Przyszedłem z tem bogaty, jak książę przychodzi
I rzuciłem jej do stóp na dno śmigłej łodzi.
Stroi się w złoty bursztyn nadobna dziewczyna,
Czerwone jak krew wstążki do włosów przypina.

A kiedy się przeglądnie w lazurowej toni,
Mówi: daj mi to słowo, co jak dzwonek dzwoni.
Daj mi duszę i serce, które wiarę chowa,
Bom już piękna jak miłość, strojna, jak królowa.

Odrzekłem jej: na Boga klnę się na niebiosach,
Słowa dałem za wstążki, które masz we włosach.
Duszę gdzieś zagubiłem na brzegu w rozterce,
Zaś za dukat z Madonną — dałem moje serce.

MIŁOŚĆ WZGARDZONA.

Gdzie jest myśl twoja? Źrenice
Masz cichym smętkiem zamglone,
Gdzie są twe myśli przeczyste?
— Za tobą poszły, w twą stronę.

Twe myśli, zbłąkane ptaki,
Zbłądziły kędyś tajemnie,
A z nimi zginęły męki...
— Męki są we mnie, są we mnie.

Kobieto, krwią swą płacząca,
Ty sen swój, sen ciebie goni.
Zcisz serce, serce masz młode...
— Nie mogę, w twojej jest dłoni.

Słońcem ty napój swe oczy,
Bo poisz je tylko łzami...
Czemu masz gorycz na ustach?
— Wszak słodycz zdjąłeś ustami...

UPIÓR.

Zabiliśmy tęsknotę naszą pocałunkiem,
Zdjąwszy z ksiąg zakazanych siedem złych pieczęci.
Kochanko, daj mi usta, niech się rozkosz święci!
Zabiliśmy tęsknotę pierwszym pocałunkiem.

Wstało z warg twych pieszczoty to, czego nie było,
To, za czem oszalały nasze usta młode.
Wyprzędliśmy z konopi czarnych chmur — pogodę,
Z tęsknoty się wywiodło to, czego nie było.

Niema już ciężkich tęsknot,—widmo się rozwiało,
Nic nam serc już nie gniecie, nic nam dusz nie mota.
Co to? Czy tylko upiór?... Nie... Nowa tęsknota:
Za tem, co było pierwej, a co już się stało.

WSPOMNIENIE.

Odjechała dzisiaj moja miła
W pozłocistej, poszóstnej karocy,
Mojem sercem jak lampą świeciła
        Wśród nocy.

Płacze gorzko ma słodka dziewczyna,
Że ją wiozą przez noc i rozłogi,
Lecz na miedzy już śmiać się zaczyna
        Wśród drogi.

I znalazłem tam dzisiaj o świcie,
Porzucone w wielkiej poniewierce,
Jak mak krwawy w przydrożnem gdzieś życie,
        Me serce.

A jednak, gdy we wspomnień przeźroczy,
Widzieć ją zechcę, choćby najdłużej,
Położę tylko na spłakane oczy
        Dwie róże.

POŻEGNANIE.

Czekałam dziś na ciebie cały dzień, od rana,
Długi, długi dzień cały, aż do późnej nocy.
Gościńcem najpierw zorza przebiegła rumiana,
Słońce potem w złocistej jechało karocy.

Przegonił drogą rycerz w damasceńskiej stali,
Król przyjechał brodaty z swą królewną miłą,

Rybałt w cień swój wpatrzony, w złotej znikł oddali...
Wszyscy szli dziś gościńcem, a ciebie nie było.

Aże nadszedł zdaleka ojciec nocy siwy,
Mrok, — w pustej sakwie myśli noszący i rady:
— Czy nie wiesz, gdzie kochanek mój jest mi-
[łościwy? —
Odrzekł mi, i że nie zna miłości bez zdrady.

Luby mój! Potem przyszła milcząca zgryzota,
Wędrująca do miasta, co o smętku nie wie;
Rzekła mi, że cię w zamku widziała ze złota,
Gdzie ucztujesz przy lutni i radosnym śpiewie.

Potem śmierć, wędrująca po nieznanym kraju,
Rzekła mi, że widziała ciebie nad otchłanią...
Miły mój! gdy nie będzie mnie dziś na rozstaju,
Wiedz, że oczy zamknąwszy, za nią poszłam... za nią..

JAN PIETRZYCKI
(ur. 1880).

UPOJENIE.

Drżą kwiatów srebrne okiście
Na wietrze...
W miesięcznym blasku wciąż bledsze
Drżą liście...

Wiatr na rozgranej drzew lirze
Pieśni gędzie —
Budząc w jeziora szafirze
Łabędzie...

Upojny powiew rozchwiewa
Traw plusze —
Dusza się moja przelewa
W twą duszę!

EDWARD LESZCZYŃSKI
(1880—1921).

POŻEGNANIE KOCHANKI.

— Trzeba, abym cię opuściła luby —
Nim dla naszej miłości nadejdzie dzień zguby.

Powiedział mi pustelnik, przemądry obłąkaniec,
Że się nam w palcach porwie miłości różaniec.

Przeliczyliśmy razem wszystkie cudne ziarna
Rozsypie nam się z brzękiem koronka niezdarna.

Kwieciła nam się miłość w tym leśnym szałasie
Dzisiaj żadnej pieszczoty już nie mam w zapasie.

Noc w noc ognie twych oczu były bardziej chciwe,
Dziś już ich nie rozpoi moje ciało żywe.

Trzeba naszej miłości innych całopaleń,
Żywicy wyciśniętej z tęsknoty oddaleń.

— Przepadnę ciemną nocą w nieprzejrzanym lesie
I oto ci się łkaniem ciemny las zaniesie.

Echa błędnych twych kroków rozbiegną się [w głuszy
I będziesz w mrocznym lesie szukać swojej duszy.

— Warg purpurę w dziewiczą wiklinę wcałuję,
Las cały ci się mgłami rozkoszy zasnuje.

— Zatopię się oczyma w przejasnej krynicy
I będziesz z każdą kroplą pić blask mej źrenicy.

— Wonny balsam mych włosów pieszczotą wiatr
[zetrze
I będziesz mię nozdrzami chwytać, jak powietrze.

— Na polanach miesięcznych w tęsknoty udręce
Błagalne i bezsilne załamię ci ręce.

A gdy las zadygocze w burzy opętańczej,
Ostatni twój się obłęd z wichurą roztańczy.

— Trzeba, abym cię opuściła, luby —
Nim dla naszej miłości nadejdzie dzień zguby.

BAROKOWA ROMANZA.

Królewicz barokowy
Z twarzyczką porcelanową
Przywdziewa szatę godową;
Chce zabawić się szczerze...
— Hej, uderzyć w moździerze.

Kochanka go zdradziła —
Nocami mu się śniła.

Noc w noc mara wybladła
Usta na usta kładła,
Krew serdeczną z nich piła.

Dziś zapomniał, zapomniał,
Może śmiać się tak szczerze...
— Hej, uderzyć w moździerze.

Fanfary dają hasło
Weselnych tonów,
Gwiazd lśnienie zgasło
W świetle lampionów.

Myśl o donnach niewiernych
Nikogo już nie dręczy;
Suną pary w misternych
Menuetów obręczy.

Niejedna nęci główka
Ujęta w brabanckie kryzy,
Krzyżują się półsłówka,
Śmieją się z za wachlarzy
Wytworne markizy.

A w ogrodów zacisza
Amor cicho się skrada,
Cicho sidła rozwiesza,
Na gałęzi przysiada:
Przez wiotkich liści szpary
Patrzy, szuka ofiary.

— A w tanecznym rozgwarze
Sunie para przy parze,

Płoną życia rumieńce godowe,
Lecz królewicz znikł w tłumie...
— Czy się bawić nie umie?
Szepczą zcicha damy koronkowe.

Idą szukać rycerze,
Idą w tajne alkierze,
Idą w ciemne dziedzińca krużganki —
Tam w cieniu kolumnady
Królewicz leży blady,
Szepcąc imię niewiernej kochanki.

BRONISŁAWA OSTROWSKA
(ur. 1881).

W KSIĘŻYCU.

Miłości mojej widziadlane sady
Okwiatem wspomnień pruszą w serce moje:
O, łez spłakanych rozszemrane zdroje
Wśród niezabudek cienistej lewady!
O, snów prześnionych błękitne spokoje!

Nad cichą falą w sadzie wspomnień stoję!
I jak szaleniec łowię srebrne ślady,
Które tu niegdyś posiał księżyc blady
Miłości mojej...

Czas mi! Ptak szary odbity z gromady
Wrócę na nowe tułactwa i znoje...
Czas mi! Gwiazd błędnych niebieskie wyroje
Brzęczą jak bożych strzał promienne grady,
Bijąc w zetlałą księżycową zbroję
Miłości mojej...

ŁZY.

Patrz, kropelka srebrna, Janku,
Na tym czarnym bratku drży...

Myślisz, że to łzy poranku?
Nie... to, Janku, moje łzy.
Weź ten kwiatek! Co cię lęka?
Twarz ci blednie? Głos twój drży?
Weź ten kwiatek! Drży ci ręka...
Patrz... strząsnąłeś z bratka łzy.

KRÓLEWICZ MAJ.

Otwórz, dziewczę, ktoś cię woła:
To królewicz maj!
Pęki blasków ma u czoła
I porannych mgieł zawoje.
Otwórz, dziewczę, okna twoje —
To królewicz maj!

Patrz, gałęzią czeremchową
Puka w okna twe
I kochania cudne słowo
Śle z jutrzenką do twej chaty...
Zbudź się dziewczę — maj skrzydlaty
Puka w okno twe!

Czy nie słyszysz nic, dziewczyno!
Czy nie czujesz nic?
Pocałunków szmery płyną,
Jak piosenka wiosny pusta...
Czy ci we śnie nie drżą usta?
Czy nie czujesz nic?

Czy ci w piersi żar nie wstaje,
Nie przerywa snu?
Upojeniem szumią gaje,
Upojeniem ziemia płonie...
Czy ci krew bijąca w skronie
Nie przerywa snu?

Zbudź się, cicha i pragnąca,
Niech nie czeka maj!
Z pocałunkiem złotym słońca,
Z pieśnią bujną, niby wino,
Niech nie czeka maj, dziewczyno —
Niech nie czeka maj!

ZYGMUNT RÓŻYCKI
(ur. 1882).

SERCE.

Smutne serce, gdy powiesz tylko jedno słowo:
Ja znowu cierpię!... kocham!... ja znoszę katusze!...
Wtedy cię strącę w otchłań milczącą, grobową
I w pył najnikczemniejszy przepych twój pokruszę!...

Milczeć ci każę! konać!... Niech krwią purpurową
Napłyną twe zakątki, tajniki i głusze!
Co?.. Pragniesz znowu kochać?... ubóstwiać
[nanowo?
Nigdy!... Gdy mi się oprzesz — to cię siłą zmuszę!

Bezwstydne, smutne serce.. akordy najłzawsze
Wydobyć dzisiaj pragniesz z głębin skrytych w tobie,
By niemą wzbudzić litość na tym marnym globie!

Wprzódy cię zemnę! Przeklnę na wieki, na zawsze!
Bo znieść-bym tego nie mógł, że ty, moje serce,
Tracisz swe świetne blaski w podłej poniewierce!

GDYBY MI ŻYCIE.

Gdyby mi życie było nie męką
Ale rozlewną,

Cichą piosenką,
Tobym ci, moja jasna królewno,
Dał tę piosenkę.

Gdyby mi życie było nie jękiem,
Lecz blaskiem słońca
I kwiecia pękiem,
Tobym pod twoje stopy bez końca
Sypał tym kwiatem.

Lecz niema blasków na mojem niebie,
Ból żre mi duszę,
Więc tylko ciebie
Ostatnim jękiem pożegnać muszę,
Odejść od ciebie.

KAZIMIERZ WROCZYŃSKI
(ur. 1883).

PRELUDYUM.

Wszystko przyrzeknę — tylko nie patrz dłużej
Temi szaremi, smutnemi oczyma.
Ja — nie utrzymam wzrokiem tej łzy dużej,
Którą twa miłość drżącą rzęsą trzyma.
O! — bo strząśnięta z ócz przez beznadzieje
Ta łza mi duszę rozpaczą zaleje.
. . . .
Wszystko przyrzeknę — tylko spójrz radośnie
Przez srebrne tonie łez, jak przez mgły słonko,
Niech ci na ustach kwiat uśmiechu wzrośnie —
Potem czar oczu przysłoń rzęs koronką —
Tak stój przede mną chwilę zapłoniona —
A potem — kiedy spłyniesz mi w ramiona

Wszystko przyrzeknę — — —

OCZEKIWANIE.

Południa szarą, upalną godziną
Czekam na ciebie.

Zżółkłe rzek pasy tak powoli płyną —
Wirów podwodnych dławią ich obręcze —

Już ledwie dźwigam południa godziną
Pragnień naręcze —

W słońca promieniach jak w szuwarach brodzę, —
Syczą — wężowe, wiją się — zdeptane,
Pasy rzek w słońca iskrzącej pożodze
Płoną — miedziane.

Fata morgana sinieją po niebie —
Czekam na ciebie.

Tam — za rzekami — pośród pustyń, w skwarach
Prastarych świątyń zwisają ruiny
Na karyatyd skamieniałych barach.

Czekam, — a może we wrota pylonów
Jak w gong, nadbiegłszy z zapustynnych dali,
Głową uderzy najkrwawszy z cyklonów —

Uderzył?! — brzmi gong — świątynia się wali!
. . . . Idziesz?!

FELIKS PRZYSIECKI
(ur. 1883).

EROTYK.

Czarne ogrody wtedy nocą
Wiatr rozkołysał w całem mieście...
Pocoś ty przyszła do mnie — poco,
I gdzieś zdobyła o mnie wieści?

W smutku przeczułem cię głębinach!...
Gdy pustych kątów tkliwe mroki
Koiły serce w burz godzinach —
Na schodach brzmiały twoje kroki.

Wówczas słyszałem, pełen lęku,
Jak ktoś biletu na drzwiach szuka
I już trzymając klamkę w ręku —
Cicho, tak cicho, puka... puka.

Gdy pani smutnych serc, rozpusta
Sny o czemś lepszem popaliła —
Nocą szeptały mi twe usta,
Żeś mi to wszystko przebaczyła.

I płacz twój smutny był nade mną,
W noce bezsenne, noce słotne,
Kiedy w przeznaczeń pustkę ciemną
Zbłądziło serce me samotne...

SAVITRI (HANNA ZAHORSKA)
(ur. 1883).

UST TWOICH MŁODYCH.

Ust twoich młodych kielich rubinowy
Niech mnie ominie,
Niech się nie stopi myśl — kryształ lodowy
W pienistem winie.
Jam łan bezpłodny: złotego ci snopu
Nie rzucę w darze.
Jam skuta rzeka: nie pragnę roztopu
W wiosennym żarze.
Nie podchodź: łatwo runąć z gór w parowy
Groźnej lawinie...
Ust twoich młodych kielich rubinowy
Niech mnie ominie.

MA MIŁOŚĆ BEZBRZEŻNA...

Ma miłość bezbrzeżna, bezbrzeżna, jak morze,
I szumi, i rwie się, i rwie, jak ocean,
I gubi się w dalach, w nieznanym przestworze,
I szumi, i szumi bezsłowny swój pean.

I dziwne tajnice skrywają jej wnętrza:
Konch barwnych, korali i pereł skarbnice...
Ma miłość, jak morze: w szał fali się spiętrza,
I cichnie: Na wodach igrają ognice.

I świeci się morze — mięczaków miryady
Lśnią światłem bajecznem, niebiesko-zielonem,
A w głęb się roją potwory i gady,
A otchłań jej grozi zniszczeniem i skonem!

Ma miłość, jak morze, jak morze-tęsknica,
Jak wieczny nieukój, jak wieczny ocean,
Którego dna nigdy nie sięgnie kotwica...
I szumi, i szumi bezsłowny swój pean.

ZYGMUNT ZENON IDZIKOWSKI
(1884—1911).

LIST.

W twoim sadzie — kędy nikt nie chodzi
I różowe kwitną tulipany —
List kochany
Upadł z wiatru łodzi —

A w tym liście szeptem ust znaczono,
Żeś ty moją panią ukochaną,
Że mi dano
W tobie szczęście pono — —

I słów jeszcze zamknięto kilkoro:
Gdzie różowe kwitną tulipany
Do altany
Przyjdź miesięczną porą — —

Będę mówił ci pod srebrną zorzą,
Jak słowiki miłośnie rozjękły,
Jako zlękły
O ciebie się trwożę — —

Potem zbiegnę do rzecznej przystani:
Łódź uniesie mnie na oceany;
Tulipany
Krwią zakwitną pani — —

W twoim sadzie — kędy nikt nie chodzi,
Może zbłąka się gołąb wędrowny:
List cudowny
Padnie z wiatru łodzi — —

WITOLD BUNIKIEWICZ
(ur. 1884).

BALLADA UŁAŃSKA.

Gdyby wojskom otrąbili
Koniec wojny, koniec biedy,
Nie straciłbym ani chwili,
Ale dosiadł konia wtedy
I do krwi go bódł ostrogą,
Lotem wichru gnał z oddali,
Nieznajomą śmigał drogą,
Byle mi cię nie zabrali.

Rozerwałbym wrota domu,
Przecwałował przez dziedziniec
I zawołał głosem gromu,
Że przywiozłem ci gościniec,
Ażby cię pokusa zwiodła,
Wyszłabyś ochotą gnana,
A wtedybym wyskoczył z siodła,
Padł przed tobą na kolana.

Choćbyś była jako skała,
Co się wszystkim łzom ostoi,
Rączkę byś mi swoją dała
I powiodła w cień pokoi
I słuchała zadziwiona,
Słów, co płoną jako race,
Że mi dusza mrze i kona,
Że w tęsknocie się zatracę.

Gdyby dobosz chciał ogłosić
Koniec walki, koniec celu,
Szedłbym cię o serce prosić
I przy twoim stał apelu
Od świtania do północy,
Od północy aż do świtu,
Pieściłbym cię z całej mocy,
Pełen złudy i zachwytu.

Nie bawiłbym mową słodką
I nie żebrał zmiłowania,
Ale ujął postać wiotką,
Co się niby lilia słania,
Co jak powój w gęstym borze
Pnie się poprzez mroczne jary
I w ócz twoich patrzał zorze
I wypijał ust puhary.

Nie straciłbym okamgnienia,
Nie rozstrwonił ani chwili,
Lecz całował bez wytchnienia,
Bo wojenkę odtrąbili
I już ziemia w słońcu tonie
I umilkła wraża zbroja,
Kwiat oprószył wskroś jabłonie
A tyś moja... moja... moja.

REMIGIUSZ KWIATKOWSKI
(1884).

W ALTANIE.

Zamierzch zachodu... Cisza... W altanie bluszczowej
Siedzisz, w zadumie tonąc, samotna, marząca...
Wpełzają szare smugi... Gasnący blask słońca,
Drżąc, ozłocił purpurą owal twojej głowy...

Wyjdź z altany! Chodź ze mną!... W alei lipowej
Już marzy się upojnie słodka, czarująca
Baśń nocy... Zmierzch roztopi poświata miesiąca...
Wichr wionie... Drzewa ciche rozpoczną rozmowy...

Nikt nas tam nie zobaczy!... Biała mgła się skłębi,
Na krzewach błyszczą perły brylantowej rosy...
Słyszysz?... Głuche westchnienie płynie z parku głębi.

Ach, jak zawrotnie pachną wonne twoje włosy!...
Pozwól, królowo moja, rozplotę ci kosy...
Całuj, nikt nas nie widzi, próżny lęk gołębi!...

PRELUDYUM.

Widzę siebie, jak znowu zasłuchany w ciszę
Stoję przy oknie, w nocne wpatrując się ciemnie,
I czekam, aż twe granie tęskność zbudzi we mnie
I słodką baśnią szczęścia serce rozkołysze...

A chociaż dziś nie dla mnie rzucisz na klawisze
Swe białe ręce, ongi pieszczone tajemnie,
Przez chwilę marzyć będę, że znów pieśń twą słyszę,
Choć wiem, że łzą przesłonię oczy swe i ściemnię...

Noc dziś taka upojna!... Spowite mgłą siną
Gwiazdy, jak haftem, mleczną wyzłociły drogę,
Tam wśród nich mi błysnęło twe lice, dziewczyno...

I znowu mi zagrało łkające pianino
Tak smutno... Chcę zapomnieć!... Nie mam sił, nie
Twe ostatnie akordy, nie zmilkając płyną... [mogę..

ROMAN ZRĘBOWICZ
(ur. 1884).

NIE WIEM, CZY...

Nie wiem, czy Twe marzenie znam,
Którego westchnień sam
Jestem twórcą, co wciska
Pożądania w twe dłonie.
Lecz wiem, że miłość moja duszy twojej bliska—
Tak ją każdem pragnieniem po raz pierwszy zmąca,
I tak o nią igraszką bezszelestnie trąca,
Jako liść, gdy na senne wody nocą spadł.
I wiem, że kiedy zechcę—z twych przeróżnych szat
Zdejmuję fałdy zwiewne:
Raz dumne, to znów rzewne,
Namiętne i niewinne,
Kobiece i dziecinne,
Jak i te wszystkie inne,
Które twe ramię już mdlejące tka,
Gdy twoich oczu skra
Gaśnie w słodkiej niemocy.

Ty myśli moich nocy
Pierwsza, nieodgadniona.
Ty ufna i zdziwiona
Każdem mem pożądaniem.
Ty gdy strwożeni staniem —
Nie wiesz, czym zaprzeczeniem minionych twoich
[marzeń,

Czylim tylko zwidzeniem wzajemnych słów, oskarżeń?
I nie wiesz, czy dać mi dłoń —
Czy swoich oczu toń,
Czy usta swoje;
I nie wiemy oboje,
Co moje a co twoje?...

PROŚBA NIEMA.

Tulisz się do mej piersi bez tchu i tak drżąca,
Dając w słodkiej ufności swoją wiotką postać — —

Jak ty prosisz:

Żeby to można coś od szczęścia dostać,
Przynajmniej tyle, ile ma promieni słońca
Na swych lotkach błękitnych skrzętno-szczęsna
[ważka.
Toć to dla tego dawcy zaledwie igraszka
Rzucić mi z swego spichrza choć najmniejszy pył,
Tak trwały jako skrzydła motyli, nie dłużej.
On by już sobie na mych rzęsach śnił,
Że znalazł strzechę ojczystego domu
Po wytężonej gonitwie i burzy.
On by tam żył —
On by tam żył nieznany nikomu,
Wiedząc, że tylko swej zagrodzie służy.
On by rozchylał kwiaty w opuszczonej grzędzie,
I pszczołom opowiadał tułaczkę swych dróg — —
A jabym czuła, jak me oko przędzie
Czar szczęsnych spojrzeń, szepcących mej rzęsie,

Że kwiatem jeno wiew rozkoszy trzęsie,
Ale nie wicher wróg.
Któżby go zmógł?
Któżby go potem przed mą duszą skrył?
Bo któżby wiedział, że ten lichy pył
Służy mi jako dobrotliwy Bóg.

NIERAZ.

Nieraz, gdy pocałunkiem przesłonisz mi oczy,
Jakaś rozlewna fala szczęścia we mnie błyska —
I zblizka się do ciebie tulę, więcej zblizka,
Aż mnie szał mroczy...

Nieraz, gdy się ust dotkniesz płomiennym oddechem,
Chciałabym się, jak ogień, w krąg ciebie owinąć —
W zapamiętań otchłani zatonąć, zaginąć,
Drżąc pragnień echem...

Nieraz, gdy śnię w przesłodkich omdlewań godzinie
Nieuchwytnym całunkiem łono pieścisz skrycie...
Chciałabym tej krwi twojej, która we mnie płynie,
Krwi tej — dać życie...

ZUZANNA RABSKA.

POWRÓT MARZENIA.

Skradasz się ku mnie znowu... Głos twój poprzez wrzosy
Jesienne, bladolice, przez piasków pustynie
Z szumem wichrów jesiennych płynie ku mnie.. płynie...
A przed chwilą zdał mi się ten wieczór bezgłosy.

Powiedz, czy to łzy moje, czy dyamenty rosy
Lśnią wśród żałobnych bluszczów w mej duszy ruinie?
I czy w półmroku Wspomnień, w tęsknoty godzinie,
Błyska nagle mi słońce, czy twe złote włosy?

...Wracasz, dziwne marzenie!... Twa łódź się kolebie
Na morza fali czystej, jak twe oczy modre...
Zanim jej żagiel biały znów zerwę i podrę —

Chcę odpłynąć w mą przeszłość—w mórz dale—do ciebie!
I pogrążyć się w głębię — by perły z połowu
Przynieść — i w wód głębinę cisnąć wszystkie znowu!...

TADEUSZ NALEPIŃSKI
(1885—1918).

O, WIERZ MI DROGA...

O wierz mi droga, że w te białe noce,
Gdyś ty przed ogniem krwi swej miała lęk,
Mój duch był czysty w gwieździstej powłoce —
Byłem jak dźwięk...
W owe białe, białe nasze noce...

O wierz mi piękna, że w te chwile złudne
Rozkoszy, czarów, zwiastujących szał,
Patrzyłem tylko w twoje oczy cudne —
A duch mój łkał...
W owe chwile tęskne, chwile złudne...

O wierz mi dziś, gdy wiem, żeś mnie kochała,
Chciałbym się rozwiać płaczem morskich fal,
Nie przeto, że być moją mogłaś cała,
Nie to mój żal,
Ale żeś ty — ty — ty mnie kochała...

NIE WIEM, KIM JESTEŚ...

Nie wiem, kim jesteś, piękna i przejasna,
Ty, co mi byłaś ostatnią,
Lecz dusza twoja i ta moja własna
Krwią połączyły się bratnią...

Nie wiem, co niosłaś mi w ciche wieczory,
Kiedym całował twe oczy,
Bo duch mój w wizyach skłębiony i chory
Rozpiął cię w mglistej roztoczy...

I nie wiem, czy przez litość dziwną, świętą,
Dałaś mi usta swe czyste,
Czyżeś też miała chwilę wniebowziętą,
A piersi żarem ogniste?...

Nie wiem... lecz gdy cię w myślach przywołuję
I śnię o twoim uśmiechu,
Widzę cię śnieżną, ty moja, i czuję,
Żeśmy kochali bez grzechu...

ZYGMUNT MICHAŁOWSKI
(ur. 1885).

NIE DAM CI NIC...

Nie dam ci nic, choć szczerozłoty
Mam skarbiec — szatą lśni wspaniałą...
Kiedyś rzuciłem w świat klejnoty —
Życie je śmiechem podeptało
I dalej szło w wir bałamutny...
Zostałem wtedy sam, sam — smutny...

Nie dam ci nic, choć kwiatów dużo
W ogrodzie moim tchnie tęsknotą...
Raz bawił się zerwaną różą
Ktoś... Potem rzucił kwiat mój w błoto
I odszedł... A ja, pan rozrzutny,
Zostałem wtedy sam, sam — smutny...

Nie dam ci nic, bo dać się boję...
Ty sama bierz, bierz skarby moje!

ZAPOMNIAŁAŚ...

Zapomniałaś ty o mnie... Czyż warto
Myśl swą długo przykuwać płochliwą! —
Przecie życie nie jedną jest kartą
I nie jedno jest wspomnień ogniwo —

Trzeba wypić czar z każdej złud chwili,
Bo najsłodszy z żywotów — motyli...

Zapomniałaś ty o mnie... I za to
Mam do ciebie żal jakiś ukryty,
Żeś jest wszystkich snów moich zatratą,
Żeś ty skryła przedemną błękity,
Że przez ciebie dziś myśl ma żałobna...
Choć... choć...
Jakaś ty do mnie podobna.

STANISŁAW MIŁASZEWSKI
(ur. 1886).

SŁONECZNA GRA.

Usnęła... Kształt dziewczęcy cudny, skamieniały
W posąg wiosny, snu ciszą, jak szronem, obielon,
Bezbronną moc piękności głosi w hymnie chwały,
Tuląc zmysły rozgrane w mglistej żądzy welon.

W tętnach krwi żar ekstazy czując niespożytej,
Patrzę w straconych rajów podwoje rozwarte...
Pragnę... Pójdź zwiewny kształcie nagiej Afrodyty,
Pójdź krwawa, kazirodcza, lubieżna Astarte.

W oczach zamęt wizyjny. Madon Rafaela
Rysy i wraz brutalne Rubensowskie cielska...
O pokuso uśpiona! Twój wdzięk onieśmiela,

A nęci, jak czarowna gędźba archanielska.
Chylę się do ust wonnych,—szał rozpuszcza wodze,—
Gdy dotknę, cud się spełni... Żegnaj mi. Odchodzę.

EDWARD LIGOCKI
(ur. 1887).

PONIOSĘ CIEBIE W MROCZNE GÓRY...

Poniosę ciebie w mroczne góry
Na skrzydłach wichru i śnieżycy,
W kraj bezsłoneczny i ponury
Jak cela zmarłej pokutnicy...

I pójdziesz ze mną w chmur podniebie,
Gdzie nawet orzeł nie dolata
— Byś zobaczyła, że dla ciebie
Lśni w moich oczach słońce świata...

Porwałbym ciebie gdzieś — wbrew niebu
I w Tamten Brzeg się łodzią worał,
— Bo szum żałobnych drzew Erebu
Grzmiałby ci jak weselny chorał...

Cóż stąd, że Parki nici przędą
Na skał Tarpejskich mrocznym zrębie —
— Do rąk Twych świętych lecieć będą
Błękitnych myśli mych gołębie...

I jak gołębie, ptaki Boże
Napełnią serce twe radością —
A ja się u twych stóp położę
Z dziecinną wiarą i ufnością...

JAN SOKOLICZ WROCZYŃSKI
(ur. 1887).

JUŻ NIEMA SŁOŃCA...

I.

Bądź zdrowa, ty moja lalko...
Zegary znaczą swój czas —
Mych cudnych marzeń westalko,
W ołtarzach — patrz — ogień zgasł.
Och, lalko — już niema słońca —
Przekwitły róże i bez —
Nadeszła jesień milcząca,
. .Z drzew strząsa kaskady łez...

II.

Bądź zdrowa — chwila cierpienia —
Z moich nie wraca się dróg...
Niechaj cię strzegą wspomnienia
I ludzie dobrzy — i Bóg...
Przypomnij — czasem — wieczorem —
Że odszedł daleko ktoś...
Dla duszy, o sercu chorem,
O wieczny spoczynek proś.

III.

Pośród cmentarzy pamiątek
Zachowaj nasz pierwszy bal —

To był złudzenia początek,
Dziś tylko jesień i żal...
Orkiestra cichutko łkała
Półsenny — quand l'amour meurt...
Och, lalko — moja ty mała,
Wachlarzy pieścił nas szmer.

IV.

O lalko — wspomnienia mary
Usiadły — dokoła — wkrąg —
Spowite w cichy zmierzch szary,
Krew mają na bieli rąk...
I płaczą — płaczą żałośnie —
Spadają, jak rosy łzy,
Śni im się bajka o wiośnie —
Śnisz mi się, lalko, i ty...

V.

I ty przypomnij — czasami
Zbyt wcześnie umarły sen,
I kwiaty — zatrute łzami
I pierwszy bal cudny ten...
Przypomnij — lalko — wieczorem
Że odszedł daleko ktoś —
Dla duszy o sercu chorem
O wieczny spoczynek proś...

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI
(ur. 1890).

ROZSTANIE.

Nie było, nie było mi spokoju —
    Nie było spokoju tobie.
Dziś się już wszystko skończyło:
Miłość nasza leży w grobie.
Złożyliśmy ją pod świętym obrazem
— I pochowaliśmy razem.
Ja rzuciłem biały kwiat,
    Ty — dwie łzy...
A poszliśmy w świat,
Każde za własną tęsknotą...
Ja — i ty.
Spotkaliśmy się po wielu, wielu latach.
Jesień rozrzuciła złoto.
Spadały ostatnie liście.
Po szeleszczących makatach podeszłaś posuwiście,
Prześliczna (w czarnej woalce).
Milczenie. Uśmiechy wspólne.
— Podałaś mi dwa palce.
Poruszaliśmy kwestje ogólne.
— Jak źle jest w życiowej loterji
    Brać bilet w ostatniej serji;
— Jak źle jest kochać za bardzo:
    Przecież się wszystko przemienia —
    Umarłymi żywi gardzą —

Z prześlicznym, lekkim uśmiechem
Podałaś mi ot, dwa palce,
Mówiąc: do widzenia.
Chwila przykra była i przydługa,
Więc ja — po krótkiej walce
Powiedziałem: sługa.

— — — — — — — — —

Nie było, nie było mi spokoju,
Nie było spokoju tobie.
Dziś się już wszystko skończyło,
Miłość nasza leży w grobie.
Złożyliśmy ją pod świętym obrazem
I pochowaliśmy razem.
Ja rzuciłem biały kwiat,
Ty — dwie łzy...
A potem poszliśmy w świat,
Każde za własną tęsknotą.
Ja — i ty.

IŁŁA KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA
(ur. 1892).

TWOJE SĄ USTA.

Twoje są usta i ręce i oczy,
I serce moje, które we krwi broczy.

Szepcą spalone usta nocą skrycie:
»Lepsza śmierć z tobą, niż bez ciebie—życie«.

Ręce, codziennej zrzekły się roboty
I tęsknią, tęsknią do twojej pieszczoty.

Oczy, jak lampy płonące na straży,
Coraz goręcej w bladej świecą twarzy.

Przyjdź i codziennej połóż koniec męce,
Bo zmilkną usta i opadną ręce;

Przyjdź jeszcze dzisiaj, o moje kochanie,
Bo oczy zgasną i serce ustanie.

KOCHANKOWIE SZUKAJĄ OCALENIA W ŚMIERCI.

Nic ode złego zbawić nas nie może...
Lekko ci ręce na włosach położę,
Moje kochanie,

Wdzięczny, że dzisiaj dobiegło do końca,
Bo jutro dla nas promienna twarz słońca
Więcej nie wstanie.

Odpuść mi gorzkie łzy twe i męczarnie
Nim słońce zgaśnie, nim nas noc ogarnie,
Ciemność zabije,
Za wszystkie męki i za wszystkie winy
Ramiona białe, ptaku mój jedyny,
Zarzuć na szyję!

Upłynął w przeszłość dzień, radością żyzny,
Zostało w ręku troszeczkę trucizny,
Dosyć na dwoje.
Rozchyl ust bladych żałosne korale,
Razem pójdziemy pod najgłębszą falę,
O szczęście moje!

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ
(ur. 1894).

PIOSENKI.

I.

Dwa opalowe gołębie
Lecą nad złotym lasem,
Jak dwa spojrzenia,
Ku niebu przejrzystemu,
Bladosinemu.

Zaczaruj mnie, zaczaruj
Twoim uśmiechem.

II.

Młode ptaki czarne
Wśród czerwonych pąków
Wiją gniazda.

Czekam chwili, gdy w niebie
Zabłyśnie kryształowa
Pierwsza gwiazda.

III.

Królewny się uśmiechają,
Kładąc białe dłonie
Na ramionach swoich
Długim szeregiem.

Ktoś gra na gitarze.
Młodziutkich drzew bazie
Brzęczą od pszczół
Złocistych.

Całować będę wieczyście,
Na wieki wieki wieczne,
Twych rzęs jedwabne pasma
W nieskończoność.

IV.

Brylantowe sznury,
I perłowe sznury,
I rubinów sznury...

Białe jak puch obłoki,
Białe jak puch szrony...
I słodycz twoich ust.

V.

Stawy są bardzo głębokie...
Chadzają nad nimi smutki,
Chadzają i uśmiechy,
Radość słonecznych promieni,
Lekkość słonecznej ważki.
I wielka spokojna słodycz.

I chodzi nad nimi
Cisza.

Stawy są bardzo głębokie...
Oczy są bardzo głębokie...

VI.

Aleją złotych strun
idę
— lutnista

Aby zobaczyć jak woda
drży
szklista.

A na dnie leży purpurowa
Róża.

VII.

Nic nie wiem rzeczywiście —
Płody czy tylko liście?
Niczegom nie jest pewny —
Pazie czyli królewny?
nie wiem, skąd frasunki —
Uśmiechy czy pocałunki?

VIII.

Pójdę drogą śpiewający,
Będę patrzeć w szczyty gór:
Jaśniejący, jaśniejący
Wyjdzie ku mnie miesiąc z chmur..

A ze szczytów lodowych
Ktoś spogląda.

IX.

Łany złotych kłosów.
Łany złotych gwiazd.

Śmierć wybawicielka.
Śmierć pocieszycielka.

Łany białych kwiatów.
Łany srebrnych łez.

Śmierć ukoicielka.
(...puszysty bez...)

IN MODO D'UNA CANZONA.

Już niema tej wody wiosennej, Marysiu, ej niema...
Zostało nam tylko dusz naszych głębokie problema.

Spłynęła, Marysiu, z tą wodą i przyjaźń i miłość...
Dróg życia spotkanie,—splątanie zostało, zawiłość.

A gdzież są te zdroje, i drzewa, i bzy u rozkwitu?
Jest tylko śmiertelnie męcząca zagadka wszechbytu.

Gdzie dawna i dobra piosenka, przez ciebie nucona?
Została nam, Maryś, dziwaczna a trudna canzona.

JULIAN TUWIM
(ur. 1894).

IMIĘ.

Moje życie miało imię dziewczęce,
Imię jasne, jak konwalje pierwsze,
Rwane w trawie błyszczącej o świcie
Przez lilijne, szopenowe ręce.

Tem imieniem, promieniami tkanem,
Lśniące liście leśne szeleściły,
Bzy majowe, zroszone perliście,
Tem imieniem pachniały kochanem...

A gdy niebo zwolna wieczorniało,
Gdy przez wyże wiała cisza polna,
W ciepłym wiewie i w jaskółczym świrze,
W każdem drzewie to imię szumiało.

...W opalowym mgieł zmierzchowych dymie
Coś rozwiało się obłokiem zwiewnym,
Smętkiem rzewnym duszę rozśpiewało:
Jakże było memu życiu na imię?

JESTEŚ ZNOWU...

Jesteś znowu! Mój Boże! Jak mi serce bije!
Jak mi się wzrok owiośnił! Jak świat rozradował!
Tylem nocy Cię w snach, nazbyt krótkich, całował!
Tylem dni dzień ten tęsknił, co przyszedł i żyje!

I jest! O — teraz właśnie! Jest ten dzień powrotny,
Wypłakany, kochany, nowy dzień spotkania.
Dzień wszystkiej mej nadziei, całego czekania,
Gdym Cię piastował w sercu, stęskniony, samotny!

I jakże to wypowiem? I jakiemu słowu
Powierzę ową radość, drżącą, niespodzianą,
Że obudzę się jutro z duszą rozkochaną,
Z uśmiechem szczęścia w ustach: »Jesteś! jesteś
[znowu!«

DYALOG.

Jeślisię zejdą w biały, b iały dzień prorocy,
Jakiż to sąd?
— Święty.

Jeśli jest kwiat, co kwitnie, kwitnie o północy
Jakiż to kwiat?
— Tajny.

Jeśli o morzu gwiazda drżąca drżąco śniła,
Jakież to sny?
— Ciche.

Jeślim po tobie płakał, płakał, moja miła,
Jakież to łzy?
— Smutne.

A dal, co miłość w niepamięci śle odmęty,
Jakaż to dal?
— Straszna...

A żal po tobie — smutnej, cichej, tajnej, świętej,
Jakiż to żal?
— Chryste!!

JESZCZE MI NAZBYT...

Jeszcze mi nazbyt jesteś anielicą
I duchem jasnym, na ziemię zesłanym,
Jeszcze mi nazbyt Bogiem tchnie twe lico,
Nazbyt zjawieniem mi jesteś świetlanem.

Jeszcze zbyt często zdziwionemi oczy
Patrzę na Ciebie z niepewnością świętą:
Czyli to dusza moja przy mnie kroczy,
A w twoje ciało tę duszę zaklęto;

Jeszcze zbyt często, jako lilia biała
Kwitniesz w mych myślach zwiewnem napomk-
[nieniem,
By się przed tobą moja pieśń rozlała
Krwi purpurowej gorącym strumieniem.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI
(ur. 1894).

W SŁONECZNYM BLASKU.

W słonecznym blasku
Pozostał stopy twojej ślad
Na piasku
Przy moim domu
Pokryjomu,
Jak pocałunek cichy, spadł.
I — wiesz — na złotym ścieżek mych kobiercu
Twój ślad ma kształt podobny sercu.
Pewnie gdyś w nocy mi się śniła,
Tyś go tu jakoś zagubiła,
Mijając mój stęskniony próg,
I dziś znalazłem wśród kobierca
Mych dróg
Złocisty ślad twojego serca.

TYŚ JEST, JAK DZIEŃ WIOSENNY.

Tyś jest, jak dzień wiosenny z pogodą błękitną
I majowe w swej duszy nosisz poematy,
Radością zasadzone myśli w tobie kwitną
Ruchliwe, jak motyle, i wonne jak kwiaty.

Lubię wspominać twoje miłosne spojrzenia
Zatulone w powiekach, jak stokrocie w trawie,
I krągły śmiech, co z warg ci zęby wypłomienia,
Białe, jak miąższ jabłeczny, w czerwonej oprawie.

Kiedyś potem — jesienią bez ciebie żałosną,
Gdy smutek serce ścichłe napełni po brzegi,
Niech mi się przyśnią twoje, w białych sukniach
[wiosno,
Pocałunki słoneczne, twe maleńkie piegi.

OKNA.

Szukam cię w pustych nocach jesiennych,
Latarnie oblepia śliska mgła,
W tem wielkiem mieście szukam twych okien,
W tem wielkiem mieście jeden ja.

Ciebie tu niema, chodzę jak błędny,
Do których pukać, wołać drzwi?!
Jak szkło rozbite, przez palce się sypie
Proch przetęsknionych za tobą dni.

Nic ci już nie mam do powiedzenia,
Ani radości, ani łez,
Bezsilnie za twoją najdroższą pamięcią
Skomlę, wyszczuty pies.

Gdzie podziać miłość moją zgniecioną
I żal mój zły i bez dna?
W tej wielkiej nocy szukam twych okien,
W tej wielkiej nocy jeden ja.

Chodzę i męczę się w pustem mieście
Kroki ciężko odrywam od płyt,
Jestem pełny upokorzenia
I jest mi ciebie wstyd.

ANTONI SŁONIMSKI
(ur. 1895).

GRA W ZIELONE.

Czy masz zielone? — Nigdy go nie zapominam..
A ty czy masz je? — Zawsze je na piersi noszę...
Wiem, jakie lubisz liście, zobacz tedy, proszę,
Codzień oto bez świeży w butonierkę wpinam.

Kochasz mnie jako wprzódy? Nic-żeś niezmieniona?
Nie zapomnisz mnie nigdy? — Nigdy nie zapomnę!
— Dziś o pamięć nie prosisz, oczy spuszczasz
[skromne
I lubo nic nie mówisz, wiem... już gra skończona...

Lecz nie masz zielonego, — wszak jak dzisiaj pomnę,
Gdyś prosiła o pamięć, rzekłem: nie zapomnę...
I do końcam na piersiach nosił liść zielony.
Dzisiaj zbędny odpinam — zakład nasz skończony...
Owa gra osobliwa, w której bardziej bywa
Smutnym wygrywający, niż ten, co przegrywa.

LEDWOM CIĘ POCAŁOWAŁ...

Ledwom cię pocałował, wnet czyniłem śluby,
Że już nigdy nie wolno mi dotknąć ust innych.
Pamięć w sercu, o luba, twoich warg niewinnych
Smutne rozstań najdłuższych przetrzymała próby.

Jenom dzisiaj miłosnej nie odnalazł zguby;
Czar twych bladych usteczek, napoły dziecinnych,
W słodkie złoto się zmienił dojrzałych gron winnych.
Co nie ku mnie się kłonią w swej szczodrości lubej,

Do tych chwil odtąd często moja myśl polata,
Gdy ustami nieśmiele zeszliśmy się — czyści.
U nóg drżąca nam cieniów błąkała się krata,

Cicho było, pamiętam, jeno był szmer liści...
— Oto znowu minione przypominam lata,
Zaręczyny wspominam, choć się ślub nie ziści.

SPIS RZECZY

(CHRONOLOGICZNY)

SKOROWIDZ AUTORÓW.

ANONIMY:

DOSTRZEŻONE OMYŁKI DRUKU.

Str.	wiersz:	wydrukowano:	powinno być:
17	2 od góry	Na niesłową	Na niesłowną
23	1 „ „	Pieśń... pierwsze	Pieśń... pierwsza
50	1 od dołu	Toż persi omaciała	Toż samo cierpiała
59	12 „ „	wspominać	wspomnieć
77	2 „ „	z jaką okropną	z jak okropną
77	3 „ „	przywłaszczysz	przywłaszczym
78	4 od góry	lube	łuba
85	3 od dołu	Bóg osnął	Bóg osnuł
120	4 od góry	nie warte	nic warte
140	8 „ „	żem znikną	żem zniknął
141	5 „ „	nieśmierć	ni śmierć
143	6 „ „	Czemuś	Czemściś
144	3 „ „	napoił się	napił się
148	13 od dołu	byłbym	I byłbym
160	3 od góry	. . . .	powstania
161	9 od dołu	szalele	szaleje
170	6 od góry	przyjaciej	przyjaciel
251	tytuł	Quasi-Eklega	Quasi-Ekloga
277	4 od góry	chmur za chmurą	chmura z chmurą
310	7 „ „	na niebie sklepienia	na niebios sklepienie
311	1 „ „	do twego	do twojego
319	w tytule	1864—1922)	(1864—1921)
343	2 od dołu	czas	czar
345	9 od góry	jak widm	jak wid
375	w naz. autora	Wikszewski	Wikszemski